Okólnik Komisyi Klimatycznej L. 74.

„Wzywa się P. T. Publiczność, by donosiła wypożyczalniom książek o domach, nawiedzonych chorobą zakaźną, celem wstrzymania wydawania książek do tych domów.

Kontrolę w tym kierunku prowadzić się będzie z urzędu".

PRZESTROGA.

Książka może być łatwo przenosicielką gruźlicy i ostrych chorób zakaźnych.

By uniknąć zakażenia:

Obłóż okładkę czystym papierem.

Nie odwracaj kartek poślinionym palcem.

Po skończonem czytaniu myj ręce dokładnie mydłem, lub lepiej rozczynem lizolu.

Gdy kaszlesz, oddal książkę od siebie.

Pamiętaj, że chroniąc siebie, chronisz bliźnich!

O łaskawe zastosowanie się do powyższego rozporządzenia prosi uprzejmie

KSIĘGARNIA L. ZWOLIŃSKIEGO.

B/1874/1
1754

1755 3/1874/1

BIAŁY GRZEGORZ.

SZKIC HISTORYCZNY

PRZEZ

Jana Nepomucena Czarnowskiego.

Tom I.

WARSZAWA.
Nakład **A. Pajewskiego,** ulica Niecała № 12.
Druk i Lit. F. Kasprzykiewicza, Miodowa № 6.

1900.

A099284

884-3

091325

MAGAZYN

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ

Варшава, 18 Октября 1900 года.

Dolnośląska Biblioteka Publiczna
we Wrocławiu

14301-100275324

D22-30.5.75

ROZDZIAŁ I.

Lipcowe słońce chyliło się za bory, a przyśpieszając zgon skwarnego dnia, rzucało ukośne, złociste promienie na ciche zagrody kmiotków, rozsiane u podnóża pagórka, na którym wznosił się starożytny zamek Kromidów, należący do kasztelana Białobrzeskiego.

Zielone łąki, niwy, okryte dojrzewającem zbożem, szare mury groźnego zamku, odległy las, a nawet błękit nieba, wszystko przybrało tę jednostajną purpurową barwę, jak całun żałoby po gasnącem słońcu — córkę gorącego lata, poprzedniczkę susz. O jak cudowny jest widok zachodzącego słońca! chociaż tysiące lat, może tysiące wieków, jednakowo się powtarza!

A przecież spojrzyj na ten zachód duszą, w to słońce, tego świadka tysiąca pokoleń i zmian, ono objawi ci obraz przeszłości, historyę milionów narodów i lat, wypisaną bez słów głoskami Baltazara na błękitnem sklepieniu nieba. Bo żadne słowo nie potrafi objąć jej w swe ramy; życie życiem tylko się określa... życia

nie natchniesz, według woli, w łono brata, bo nie jesteś panem onego, ale dłużnikiem tylko.

Na tarasie zamkowym, wsparta o kamienną balustradę, stała Aniela, młoda córka kasztelana. Jej wejrzenie zwrócone na zachód, lecz oczy tylko patrzały na ten zachwycający widok natury, jej dusza uleciała gdzieindziej, bo dusza kobiety dąży za jej sercem, jeżeli sercu godzi się jakąś inną władzę, prócz przepuszczania krwi, nadać.

Mocno wznoszące się łono Anieli, baczność jej na najmniejszy szelest, zdradzały przedmiot jej dum i kazały domyślać się, że kasztelanka oczekuje kogoś. Jakoż po kilku chwilach wbiegła do ogrodu młoda dziewczyna, na jej widok żywszy rumieniec wystąpił na lice Anieli.

— No cóż, widziałaś go, Róziu? — zapytała z żywością.

— Widziałam, proszę pani — odpowiedziała sługa — pan Stanisław powiedział: dobrze. Ach gdybyś go pani widziała, jak zmizerniał, jak pobladł, aż się serce kraje, spojrzawszy na tego dobrego człowieka tak zmienionego.

Aniela słuchała jej z zajęciem i współczuciem, potem spuściła oczy, ciężkie westchnienie wydarło się z jej łona i podparłszy się na ramieniu Rózi, postępowała zwolna w głąb ogrodu. Wtem z bocznej alei wyszedł mężczyzna dorodny; blade nieco lice ocieniały ciemne włosy, dodając mu coś smętnego — śmiałe jego wejrzenie i wysokie czoło przyćmiła lekka chmura smutku; lecz skoro ujrzał Anielę; gdy spotkało się ich wejrzenie, twarz jego wypogodziła się i wzrok zajaśniał.

— Stanisławie! — zawołała, wyciągając do niego swą rękę. — Młodzieniec z zapałem pochwycił ją i tysiącem okrył pocałowań.

— O, dziękuję ci pani za te chwile szczęścia, dziękuję za twą... przyjaźń, Bóg ci ją wynagrodzi.

— Czy mówiłeś z moim ojcem?

— Tak, Anielo, mówiłem i usłyszałem mój wyrok. Twój ojciec wie zapewnie o wszystkiem, spostrzegł naszą przyjaźń i usiłuje ją rozerwać. Odebrałem od niego rozkaz, abym z chorągwią nadworną udał się do obozu króla. Jutro może opuszczę te miejsca...

— Stanisławie, ty nie zapomnisz o Anieli?

— Pani, twoja tylko przyjaźń została mi na świecie, straciłem rodziców, braci, wydarto mi majątek przodków. Twoja przyjaźń jest dla mnie tem, czem oblicze Boga dla Jego aniołów! I ty możesz przypuszczać, aby tak krótki rozdział wygładził mi ciebie z pamięci? O Anielo, nie myśl tak! podobne przypuszczenie ubliża naszej przyjaźni, bo czyż dla serc, wzajemnie się pojmujących, istnieje rozłączenie? Czyż ten śpiew słowika nie będzie mi przypominał ciebie? Te obłoki, które wiatr przyniesie z południa, te gwiazdy, które teraz na nas patrzą, a nawet bicie mego serca, nie mówisz mi o tobie?

— Przebacz mi, bojaźń utraty ciebie, wycisnęła te wyrazy! Stanisławie, ja wprzód o życiu mojem zwątpię, jak o twem przywiązaniu!

— Wszak tem tylko, Anielo, mogę ci się wywdzięczyć za tyle dobroci, za twą wzajemność! O ja

pojmuję, jak wielki przedział jest między córką kasztelana a ubogim towarzyszem.

— Nie majątek, Stanisławie, stanowi prawdziwą wartość człowieka!

— Lecz twój ojciec, Anielo, inaczej myśli!

Podczas tej rozmowy słońce zaszło i zupełna ciemność okryła ziemię. Niebo obsiane było iskrzącemi się gwiazdami, lecz księżyc jeszcze nie wszedł.

— Pani! panie Stanisławie! gore! — zawołała, nadbiegając, Rózia.

Młodzi kochankowie udali się ku balustradzie tarasu, zkąd widać było stronę południową ku Kamieńcowi Podolskiemu. Niebo zarumienione było purpurową łuną pożaru, czasami nawet dojrzeć można było urywające się snopy płomieni, iskry, niesione wiatrem, i wystrzały z ręcznej broni.

— Ach, to tatarzy! — zawołał Stanisław.

— O nieszczęśliwy kraju! — wymówiła młoda dziewica.

— Anielo, muszę cię opuścić, święty obowiązek mnie wzywa, dzicy muzułmanie rabują mieszkania naszych braci, trzeba z chorągwią twego ojca biedz na pomoc... Bądź zdrowa! jeżeli Bóg pozwoli, zobaczymy się niedługo — zawołał z zapałem młodzieniec.

Przycisnął jej rękę do swych ust i pobiegł uwiadomić kasztelana o najściu tatarów.

W niewielkiej komnacie, której ściany były pokryte różnego rodzaju zbrojami i bronią, na niedźwiedzich i turowych skórach pozawieszaną, przy dębowym stole siedział mężczyzna w średnim jeszcze wieku, lecz

jego twarz i szerokie czoło już było pokryte mnogiemi zmarszczkami. Oczy zapadłe ocieniały gęste brwi, dające twarzy piętno cierpienia i surowości zarazem, a czarny kolor kontusza, przepasanego srebrnym pasem, tem więcej posępną czynił jego fizjonomię.

Mężczyzna ten był kasztelan Białobrzeski. W ręku trzymał rozpieczętowany list, a kilka innych leżało przed nim na stole. Wzrok jego zwrócony był na pismo, którego jednak nie czytał, ale błyszczące niezwykłym ogniem oczy i błąkający na ustach uśmiech okazywały wewnętrzną radość, jaką sprawiała zapewne wiadomość z owego pisma wyczytana. Umysł jego tak mocno był zajęty, że Białobrzeski nie spostrzegł wejścia Stanisława, który, nie śmiąc może przerwać dumań jego, zatrzymał się u drzwi.

— Kasztelanie!.. — odezwał się nareszcie młodzieniec.

— Ach, to ty, Stanisławie, dobrze żeś przyszedł, właśnie miałem rozkazać cię przywołać. Odebrałem pomyślne wiadomości od wojska królewskiego — już tam nie potrzebny jesteś, wojna zapewne niedługo za łaską Boga da się pomyślnie ukończyć. Ciągłe szczęście towarzyszy orężowi króla Władysława. Nieprzyjaciel odpędzony od Smoleńska, miasta zajęte odzyskane zostały *).

— O dzięki Bogu, że przynajmniej z jednej strony krew braci płynąć przestaje, bo tatarzy wpadli do kraju i już muszą być za Kamieńcem, łunę widać aż od nas.

---

*) Kwiatkowski, historja Władysława IV.

Kasztelan, przerażony tą wiadomością, zerwał się z krzesła.

— Ach na koń! na koń, Stanisławie! biegnij, weź nadwornego żołnierza, wezwij do wspólnej obrony szlachtę, zgromadzoną w Krasach pod Żabickim. Bieżcie co żywo na pomoc nieszczęśliwym, nie puszczajcie bisurmanów w głąb kraju, ja tymczasem wyślę posłańca o pomoc do Kijowa!

Wkrótce na placu zamkowym odezwał się odgłos trąby wojennej, dwustu rycerzy stanęło w szeregu, chorągiew z herbem Białobrzeskiego rozwinęła się w powietrze, i szczupły ten poczet wyruszył na nieprzyjaciela.

W drodze spotkali oddział szlachty z powiatu pod naczelnictwem Grzegorza Żabickiego, doświadczonego wojaka.

— O chwała Bogu, panie Stanisławie! — zawołał Żabicki — że cię spotykam gotowego do boju! śpieszmy, mój młodzieńcze! patrz, jak te łotry świecą sobie do biesiady! Oj sprawiemy my im łaźnię, dalej, naprzód bracia!..

Żabicki, mąż kolosalnej postawy, twarz miał ściągłą i ogorzałą: wysokie czoło, ozdobione promieniem nieustraszonego męztwa, nos orli a nad sokolem okiem gęste brwi, na których osiadł jakiś wyraz nieugiętej woli. Spojrzawszy na to oblicze, można sądzić o odwadze Grzegorza, a słysząc jego mowę, trzeba być pewnym niezłomnego charakteru.

Ta mała garstka, występująca przeciw tak ogromnej masie nieprzyjaciół, zdawałaby się zbiorem awanturni-

ków, lecz męztwo, jakie ożywiało każdego z nich, lecz myśl, że idą bronić własnego kraju, żon i dzieci, że będą walczyli za króla, równała ich siły z nieprzeliczonemi tłumami tatarów, bijących się tylko z rozkazu, lub z żądzy rabunku i bogatych łupów.

Łuna coraz stawała się okropniejszą, a płomienie większą ogarniały przestrzeń. Nasi wojownicy przyśpieszali pochodu, spinając konie ostrogami, aż nareszcie po parogodzinnej jeździe zbliżyli się pod wioskę, którą nieprzyjaciel już zajął. Żabicki, wjechawszy na mały wzgórek, chciał przejrzeć położenie tatarów i ich czynność, nim wytchną konie. Stanisław tymczasem szykował żołnierzy.

Chaty wieśniaków jeszcze stały nienaruszone, przededworem tylko zgromadziły się ogromne tłumy bisurmanów, ładując na konie różne sprzęty i kosztowne rzeczy, gdy inni wyprowadzali bydło z obór, lub zapalali gumna. Zewsząd dziki wrzask, rżenie koni i płacz uciekających z swych mieszkań matek z dziećmi, napełniały powietrze. Tylne zabudowania dworu już zajęły płomienie, rozszerzając pożar, którego nikt nie ratował.

— Bracia, teraz uderzmy na łotrów! — zawołał Zabicki; może Bóg dozwoli nie wypuścić ich z temi łupami! Ty, Stanisławie natrzyj od dworu, a ja uderzę z pod lasu.

I rozłączyli się dowódzcy, każdy udał się w swoją stronę.

Żabicki brzegiem lasu posuwał się ku wsi, aby potem znienacka całą siłą napaść nieprzyjaciela, i już

był bliskim swego kresu, gdy o kilka kroków rozległ się wystrzał.

— Baczność! — zawołał, a w tejże samej chwili z lasu wysypała się chmura tatarów. — Jezus Marja! hura!

Na to hasło kilka tysięcy wystrzałów wstrząsnęło powietrze i oba wojska uderzyły na siebie. Głuchy tętent przygłuszył wszystko, nie było słychać ani wołania, ani komendy, ani zadawanych ciosów — okropna, piekielna harmonja towarzyszyła walce: zawoje, hełmy, rogate czapki, wszystko to zmieszane było w jednę masę, którą oświecał spokojny blask księżyca. Bitwa była okropną i morderczą. Tatarzy o kilka razy przewyższali liczbę naszych i pomimo ich rozpaczającego męztwa wygrana już była niewątpliwą. Żabicki walczył za dziesięciu, zachęcał braci radą i przykładem, po kilka razy ślepa odwaga zaniosła go aż w środek nieprzyjaciół, po kilka razy śmierć wisiała nad jego głową; lecz szlachetny jakiś młodzieniec, będący ciągle przy jego boku, odbijał te śmierć niosące razy i wstrzymywał natarczywość muzułmanów.

Odgłos tej bitwy ostrzegł tatarów, zajętych rabunkiem przy dworze, i nim Stanisław zdołał nadbiedz, ci już uciekli ze zdobyczą. Lecz tenże sam odgłos sprowadził go na pomoc mężnemu rotmistrzowi. Nieprzyjaciel, tak niespodzianie napadnięty z drugiej strony, traci męstwo i zaczyna się cofać. Żabicki, pokrzepiony pomocą Stanisława, naciera z większą zaciętością, wtem kula nieprzyjacielska zabija jego konia. Upadł mężny rotmistrz, przywalony ciężarem swego rumaka, wódz

tatarów, uniesiony wściekłością, że tak pewna wygrana wydartą mu zostanie, nadbiega w to miejsce, już wzniósł swój krzywy bułat, mając zadać śmiertelny cios w głowę Grzegorza, gdy nieodstępny obrońca jego dobywa pistolet i strzela do tatara. Kula trafia jego prawą rękę i pałasz upada bezwładnie — muzułmanin ścinając zęby, zionął okropne przekleństwo i lewą ręką wyciąga obosieczny kindżał, aby przebić przeciwnika.

Młodzieniec w zamieszaniu stracił szablę, więc rzuca się w pośrodek, swemi piersiami zasłania rotmistrza i pada z żelazem po samą rękojeść, wbitem w łono.

Wszystko to trwało jedną chwilę. Żabicki nie stracił wcale przytomności i widział tę piekielną walkę, widział upadającego obrońcę i pierzchających tatarów.

Uczyniwszy wysilenie, wydobył się z pod konia i pobiegł ku swemu zbawcy, aby nieść mu pomoc. Młodzieniec jeszcze oddychał, upływ krwi pozbawił go przytomności.

Rotmistrz spojrzał wokoło siebie, chcąc wezwać kogo, aby mu pomógł przenieść rannego, lecz nie widzi żyjącej istoty. Nieprzyjaciel zrejterował, nasi pognali za nim, pobojowisko zasłane było trupami, gdzie niegdzie błyszczał goły miecz w ręku wojownika, lub pancerz, zakrywający zimną już pierś rycerza.

Wtem zdala ujrzał kilka postaci i domyślając się, że to muszą być z czeladzi wojska polskiego, którzy przyszli obdzierać poległych, zawołał na nich. Ci, usłyszawszy go, rozbiegli się zapewne przelęknieni.

Rotmistrz, nie widząc innego sposobu, wziął młodzieńca na ramiona i zaniósł do najbliższej chałupy.

Drzwi były zamknięte, lecz Żabicki jednem uderzeniem nogi wybił je i rannego złożył na posłaniu. Najprzód zajął się opatrzeniem jego rany, która mimo swej wielkości nie była niebezpieczną.

W kilka chwil młodzieniec przyszedł do przytomności; spojrzawszy wokoło siebie, zapytał z trwogą, gdzie się znajduje, i usiłował się podnieść.

— Nie trwóż się, bracie — odrzekł Żabicki — jesteś raniony i nie powinieneś wstawać, lecz wkrótce zapewne wrócą nasi i odwieziemy cię do domu.

— Do domu! — powtórzył z obłąkaniem młodzieniec — ach, gdzie mój dom, ci dzicy łupieżcy zabili mego dobroczyńcę, mego ojca i ja nie mogłem się zemścić — przyjacielu, powiedz mi, czy zginął i waleczny rotmistrz Żabicki?

— O kogo pytasz? ja się tak nazywam, kto ty jesteś, młodzieńcze?

— O przebacz mi, rotmistrzu, nie poznałem cię. Czy znałeś ty Sieniutę?

— Sieniuta, mój przyjaciel! cóż mu się stało?

— Widziałeś, jak gorzał jego dwór! on tam poległ, klęczącego zabił tatar, a jego żona i małe dziecię spaliły się w gruzach swego mieszkania.

— Wszechmocny Boże!

— A znałeś Jana, jego przybranego syna?

— Jan. Ach, przypominam sobie, znałem go dzieckiem — rzekł Żabicki, wpatrując się w oblicze młodzieńca. — Przyjacielu, mój obrońco, to ty nim jesteś!..

— Dziś powróciłem z zagranicy, gdzie na nauki wysłał mnie opiekun, z bijącem sercem śpieszyłem do

domu mego drugiego ojca. Zbliżam się... słońce już zaszło, wtem niebo rumieni się, widzę kłęby dymu... śpieszę... spotykam uciekających włościan... zapytuję ich... To dziki tatarzyn pustoszy kraj! Utopiłem ostrogi w boku mego konia... przybywam — dwór się pali!.. Dreszcz mnie przeszedł... nie mogę dobiedz bramy... przełażę mur, bo tędy bliżej... biegnę przez ogród... na wschodach tłumy tatarów... przesunęłem się między nimi, nikt mnie nie zatrzymał... było ciemno... wpadam do pokoju ojca... przy kolebce, tuląc do swego łona dziecię i żonę, które muzułman usiłował mu wydrzeć, klęczał Sieniuta... Tatarzyn, rozgniewany oporem, strzelił, błysnęło... spostrzegłem zmienioną twarz opiekuna, spostrzegłem, jak upadł... wściekły rzuciłem się na mordercę... zabiłem go... wtem pułap trzeszczy, zawala się i głownie przysypują wszystkich!.. Ja wyskoczyłem oknem i ocalałem, bom pragnął pomścić śmierć mego dobroczyńcy!... Wy jużeście przybyli i walka się wszczęła, pobiegłem tam... poznałem ciebie, przyjaciela Sieniuty... lecz resztę już wiesz.

Młodzieniec, wyczerpawszy resztę sił tem opowiadaniem, upadł na ręce rotmistrza. Żabicki złożył go na posłaniu i okrył skórą tygrysią, a sam wyszedł przed chatę, czy nie ujrzy kogo ze swoich.

Niebo na wschodzie już zarumieniła zorza poranku, pożary ugasły, a z dworu Sieniuty, pozostała tylko kupa dymiących gruzów. Ścisnęło się serce Grzegorza, na widok tego grobowca rodziny przyjaciela. Cisza panowała głęboka, zdala na pobojowisku słychać było wycie psów i rżenie błąkającego się rumaka. Czasem wiatr

przyniósł odgłos, podobny do pochodu konnicy; rotmistrz z niecierpliwością oczekiwał jej przybycia, lecz po godzinnem przeciągu czasu nikt nie przybył i odgłos ten ucichł zupełnie, a Żabicki, domyślając się, że polacy bliższą drogą musieli wrócić do Kras, albo stanąć obozem w polu, postanowił czekać do rana, aż trafi się sposobność przeniesienia młodego swego zbawcy do własnego domu.

Stanisław tymczasem, na czele oddziału odpędziwszy łupieżców, a nie śmiejąc ścigać ich dalej z tak szczupłemi siłami, tym bardziej, że był pewnym iż tatarzy z małym tylko oddziałem byli pod Sieniawą i niepodobieństwem byłoby walczyć z nimi, gdy się połączą; postanowił przepędzić noc w polu, a nazajutrz zrana cofnąć się ku Krassom. Ale gdy nadedniem wysłane zwiady doniosły, że tatarzy przeszli Dniestr pod wioską Rinczugą i wrócili do Multan*), ucieszony tą wieścią, wesoło wracał do domu.

Odgłos marszu wojska, wyrwał Żabickiego z jego przykrego zamyślenia. Z radością wybiegł przed chatę, zawołał na towarzyszy, prosząc aby mu pomogli przenieść rannego do Kras. Wszyscy rozumieli, że mężny ich rotmistrz poległ w tej potyczce, jakaż była radość, gdy ujrzeli go zdrowym, jakaż wdzięczność i współczucie dla młodego bohatera, jego zbawcy; gdy im opowiedział Żabicki jego smutne położenie, wszyscy zajęli się losem młodzieńca.

---

*) Piasecki, Chronica gestorum in Europa singularum in fol. editio 3—pag. 463.

ROZDZIAŁ II.

Już kilka upłynęło godzin od wyjazdu walecznych rycerzy z Kromidowa, zamku Marcina Białobrzeskiego, przeciwko tatarom, już noc ciemna, noc głucha rozpościera swoje panowanie na około, blady księżyc czasem rzuci z pod zasłony ciemnych chmur ciekawe wejrzenie na świat, na ludzi, czołgających się po ziemi. W zamku kasztelana wszystko ucichło, niekiedy tylko wołanie straży na wałach echem się odezwie po równinie, i ginie w stepie. W obszernym gmachu pusto i ciemno, w jednem oknie migoce ogień, lecz ciszy nic nie przerywa.

W tej komnacie w bogatem krześle siedzi kasztelan, obok niego stoi Aniela. On marzy o minionych czasach, o młodości, sławie i troskach — dziewica nie wiem o czem, lecz oboje milczą. A lampa roztacza dzikie, ponure światło, błyszczy po ścianach, obitych makatami; czerwonym płomieniem ożywia oblicze obrazu Boga Rodzicy, zamyśloną twarz pana zamku i lice jego córki.

Wiatr zawył na dziedzińcu i wstrząsnął szybami okien. Piękne oczy Anieli szybko zwróciły się w tę stronę, a po chwili, gdy szum ucichł, jej wejrzenie wróciło na ojca, uśmiech anielski, słodki, z jakimś niemym smutkiem roztaczający się po obliczu z lekkim rumieńcem, z błędną myślą, w jednę całość złączony — zrodzony w duszy i odbity na obliczu, zdradził tajemnicę jej dum. W tym szumie zdawało jej się słyszeć tętent koni, powracających żołnierzy, a z nimi i Stanisława.

Wicher zaszumiał powtórnie.

— Jakaż straszna burza! — odezwał się Białobrzeski — zdaje się, iż sama natura zostaje w ponurym smutku nad nieszczęściami naszego kraju. Anielo, zobacz, czy ugasły już pożary, czy zbladła łuna na niebie?

Córka Marcina przystąpiła do okna i jej wzrok utonął w ciemności.

— Tak ojcze! już zupełna cisza. Nic nie widzę, ani jedna nawet gwiazda nie świeci na niebie... ale tam na południe pod lasem jakieś migocą światełka.

— To zapewne wieśniacy, co zbiegli ze swych chat i schronili się do boru przed dzikim wrogiem — odrzekł ze smutkiem kasztelan.

Wicher zawył na nowo i przyniósł przewlekły, wrzaskliwy odgłos, podobny do wesołego okrzyku biesiadujących szatanów.

— Ach! ojcze słyszysz? co to za głosy odezwały się tym ponurym wrzaskiem w stepie!

— Nie, moja córko, to wiatr wyje swym szalonym śpiewem.

— O drogi ojcze, to ludzkie głosy!.. i znów!.. to jakaś dzika radosna pieśń!.. słyszysz głuchy tętent końskich kopyt?.. patrz, ojcze! — zawołała przerażona dziewica — już są na równinie... już pod murami!..

— Kto! — zawołał, zerwawszy się, kasztelan.

— Jakieś tłumy z ogniami! — zawołała z najwyższym przestrachem Aniela, i, upadłszy na kolana u nóg ojca, ukryła swe oblicze na rodzicielskiem łonie.

Wtem kilka wystrzałów rozległo się na wale zamkowym, głośna wrzawa się szerzy, okna błyszczą ogniem

pochodni, dzikie okrzyki odzywają się coraz głośniej, coraz okropniej. Teraz dopiero zrozumiał je Białobrzeski — zrozumiał i zdrętwiał. Porywa miecz, chce wybiedz na dziedziniec, ale już za późno. Zbyt szczupła załoga zamku nie zdołała się bronić ani jednej chwili o kilkaset razy przewyższającej sile najeźdzców.

Tatarzy już wpadli do zamku. Kilkunastu sług kasztelana cofa się aż do pańskiej komnaty, aby nieść pomoc jemu i jego młodej córce. Stanęli rzędem przeciw szerokich podwoi — w długim kurytarzu ukazała się tłuszcza rozjuszonych tatarów.

— Stójcie, łotry! po trupach tylko naszych zdołacie wejść tutaj! stójcie!..

Bisurmani zawyli na odpowiedź okropnym wrzaskiem i rzucili się we drzwi. Rozległ się szczęk mieczów... lecą głowy tatarów, padają i dzielni żołnierze kasztelana, ale ich mniejsza liczba... rozpaczna waleczność na nic się nie przyda... co chwila uszczupla się mały hufiec dworzan Marcina. Nareszcie wpadają bisurmani do obszernej komnaty... obrońcy kasztelana otaczają go... Białobrzeski w pośrodku lewą ręką przyciska do łona struchlałą córkę, a w prawej trzyma wzniesiony miecz. Już ostatni sługa kasztelana upadł w jego obronie... Dziki tatar wznosi swą krzywą szablę na ojca Anieli, lecz dziewica porwawszy miecz jednego ze swych poległych obrońców, odbija cios śmiertelny; muzułmanin, zachwycony jej pięknością, wyciąga swą krwawą prawicę, chcąc ująć w swe objęcia cudną zdobycz, lecz dziewica z rozpaczą wydziera się i uderza go żelazem w piersi. Tatarzyn upada z przekleństwem

na ustach, ale tysiące innych cisną się, aby zająć jego miejsce. A gdy jeden porywa Anielę, inni zdzierają obicia, zabierają srebra, bogate ubiory, drobniejsze sprzęty, uchodzą w las i nikną wśród ciemnej nocy...

Nazajutrz Stanisław na czele chorągwi kasztelana wrócił do zamku. Wybita brama, zaraz przy wjeździe wzrok jego przeraziła, wjeżdża na dziedziniec, lecz nikogo nie spotyka... wszędzie pusto i głucho. Okropny domysł zmroził krew w jego żyłach, bieży do komnat kasztelana, w sieni spostrzega kilka trupów, domysł zamienia się w pewność. Dąży śpieszniej po wschodach, wejście do mieszkania pana zamku zawalone trupami... wchodzi dalej, lecz nie spostrzega ani jednej żyjącej istoty... Okropna trwoga i rozpacz ścisnęła mu serce. Gdzie jest Aniela!.. zapewne porwali ją tatarzy. Chce biedz napowrót.

— Stanisławie!.. Stanisławie! odezwał się konający jęk.

Młodzieniec odwrócił się, i wśród poległych sług kasztelana i tatarów, spostrzega ojca Anieli z okropną raną w głowie. Stanisław podnosi go, opatruje jak może ranę i pyta o sprawców tego okropnego spustoszenia.

— Porwali ją!.. — odrzekł obłąkany starzec, jakby niezdolny o niczem innem myśleć, niczego więcej żałować — bo ta strata przewyższała wszystkie inne.

— Tatarzy!.. kiedy?

— W nocy... porwali z mych rąk!..

Jęknął okropnie młodzieniec i ukrył oblicze w swych dłoniach.

— Jakim sposobem aż tu przeniknęli ci obmierzli niszczyciele... — zawołał z rozpaczy — gdy na własne oczy widziałem uciekających do Multan... sam ścigałem ich aż do granicy!

— Zapewne ci chytrzy najeźdzcy — rzekł smutno kasztelan — dla szybszego rabunku jeszcze przed waszym przybyciem rozdzielili się na dwa oddziały i gdyś jeden ścigał do Multan, drugi Bóg zesłał na zniszczenie mego zamku. O Stwórco wszechmocny! ukarz mnie grzesznego, lecz wyswobódź niewinne moje dziecko!..

— Panie, ja ją wydrę z rąk tych nikczemnych łotrów! Bóg litościwy dopomoże mi w mojem przedsięwzięciu! — zawołał z zapałem młodzieniec — wydrę ją, choćbym miał ścigać aż do środka kraju tych włóczęgów!.. — i porwawszy się chciał biedz.

— O chwilę jeszcze!.. Stanisławie, nie opuszczaj mnie tak, przywołaj kogo z mej służby!..

— Gdzież oni są? — zapytał młodzieniec.

— Gdzie są?.. gdzie są?.. — powtórzył z okropnym wyrazem rozpaczy kasztelan — ach ja nie mam nikogo!.. słudzy polegli w mej obronie... córkę mi wydarto!.. Jedź, jedź, młodzieńcze, niech umrę, Bóg mnie ukarał, bom musiał mocno zawinić.

— Powściągnij, panie, twą rozpacz, sług mieć możesz innych tysiąc, a córkę ja ci powrócę!

— Niech cię Bóg błogosławi, młodzieńcze...

— W Nim miej nadzieję, panie, powrócę przywożąc ci córkę, lub umrę!

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Mikuleckiego we Wrocławiu
1002753 24

ROZDZIAŁ III.

W Turcji panował podówczas Amurat IV, człowiek młody, dumny, popędliwy, łatwowierny, bo niedoświadczony i cudzym radom powodować się dający. Złudzony obietnicami sąsiadów, niezważając na zawarty niedawno wieczysty pokój [1]) zrywa go i rozkazuje Albasie, baszy erzerumskiemu, swemu faworytowi i głównej sprężynie tej wyprawy, aby wezwał hordę tatarską, oraz wojewodów multańskiego i wołoszskiego i wkroczył do Polski.

Albasi wysłał naprzód tatarów budziackich, którzy, przeszedłszy Dniestr po niżej Chocima na Podolu, z nadzwyczajną szybkością około Kamieńca na sześć mil kraj spustoszyli i gdyby nie słaba zapora wojska nadwornego kasztelana Białobrzeskiego, byliby dalej zagony swoje posuwali, bo nim wiadomość ta doszła króla, ci już z łupami powracali.

Władysław IV, będąc zatrudniony wojną na północy, obronę kraju od Turków poruczył wielkiemu hetmanowi Stanisławowi Koniecpolskiemu.

Biegł śpiesznie ku Dniestrowi mąż ten, pełen męztwa i doświadczenia, na odgłos strat, poniesionych przez rodaków, lecz gdy dowiedział się o ucieczce tatarów, nawet za granicę Rzeczypospolitej, ścigać ich postanowił, a wziąwszy z sobą 2500 jazdy z wojska kwarcianego i kozaków, wkroczył do Multan [2]).

---

[1]) Po bitwie Chocimskiej.
[2]) Piasecki pag. 463.

Trzeciego dnia po opuszczeniu Polski, tatarzy, wracając do swoich siedzib, stanęli koczowiskiem na obszernej i żyznej równinie pod Sasowym-rogiem. Nazajutrz przypadał dzień piątkowy, który wyznawcy Machometa święcą uroczyście. Tatarzy rozłożyli swobodnie tabor, mając zamiar aż do soboty spocząć w tem miejscu, po trudach niebezpiecznej wyprawy, i rozdzielić się łupami, zabranemi w Polsce.

Konający dzień ustąpił panowania chłodnemu wieczorowi, dwurożny księżyc przerzynał pasma przechodnich chmur i jak zwycięzca, przed którym wszystko pierzcha, zawsze powolnym, dumnym krokiem postępował wdłuż rozsianych gromad śnieżnych obłoków. A wkoło niego biegały drobniuchne śmiejące się gwiazdy, jak płoche dziewice, igrające w koło swej matki. Spojrzyj teraz na ziemię, na ten step rozległy? — czy widzisz i tu gwiazd światła drżące, lekkie, migające, także przesiane swemi obłokami dymu?

To jest koczowisko dzikich tatarów, biesiadujących po krwawym napadzie. W pośrodku siedzi han, przed nim stosy złota, bogatych materji i klejnotów zabranych po dworach i kościołach polskich; dalej stoją murzowie i znaczniejsi hordy. Każdy przedstawia swą zdobycz panu, a on według upodobania, oddaje część zdobywcy, resztę zatrzymuje sobie.

Przyszła kolej na starego Hasana; ten, schyliwszy do ziemi czoło, przemówił:

— Władzco prawowiernych synów stepu! — składam u twych stóp dar droższy od złota i klejnotów, przedstawiam ci dziewicę, jakiej podobnej nawet seraj sułtana

nie posiada. Dla jej ocalenia poświęciłem plony całej wyprawy, bo wierzyłem, że oddałbyś, panie, skarby swego państwa za tę brankę.

— Gdzież ona jest, synu Ibrahima? — przemówił han.

Hassan dał znak i przyprowadzono rumaka, na którym siedziała Aniela Białobrzeska, owinięta bogatemi szatami.

— Allach! co za piękność, to musi być córka samego hetmana.

— Polko, jak się nazywasz? — przemówił łaskawie pan hordy do Anieli, a tłómacz powtórzył brance zapytanie hana.

Aniela spojrzała przed siebie łzawem okiem, a na jej ustach osiadła pogarda

— Jestem córką polskiego szlachcica, co umie umrzeć, by zasłonić się od poniżenia i niewoli.

— Nędzna zginiesz, choć jesteś piękniejszą niż cały harem hurysków wielkiego Mahometa, jeżeli nie będziesz pokorną; jestem panem ludu, który okrywa tę równinę! — rzekł han.

Aniela milczała. Tłómacz oświadczył panu, iż branka nie chce wyznać nazwiska.

— Ona jest córką króla lub hetmana, dlatego tai swe imię — rzekł han. — Hassanie, branka twoja jest piękną, jak księżyc w pełni, lecz jej zatrzymać nie mogę, prześlę ją Albasi, baszy erzerumskiemu, będzie to perła seraju Amurata.

Skinął i odprowadzono rumaka z branką, a władzca hordy przyjmował dalej dary, aż obwołano wieczorną modlitwę.

Nazajutrz tatarzy bezpiecznie spoczywali w koczowisku, gdy nagle powstał zgiełk, wrzawa, zewsząd było słychać wołania: do broni! do broni!..

Potem odezwał się tętent koński i szczęk oręża. Spłoszeni najeźdzcy porwali się do obrony, ale już było zapóźno, obóz ze wszech stron był otoczony przez rycerstwo polskie pod naczelnictwem hetmana.

Sam han znalazł się w niebezpieczeństwie. Wszystkie siły kupią się w tę stronę, gdzie wznosi się namiot władzcy hordy, aby, choć życiem kilkuset nieprzyjaciół, pomścić utratę pana. Lecz han już zdala od obozu. Ostrzeżony przez niewolnika, pasącego konie o zbliżeniu się polaków, zdołał z małym pocztem wymknąć się, nim cały tabor został okrążony. Hassan z swoim hufcem zasłania jego ucieczkę i w razie potrzeby postanowił choć kosztem swego życia zatrzymać pogoń, ale wkrótce zostaje odcięty przez oddział walecznego Stanisława i zabrany do niewoli.

Cały obóz nieprzyjacielski dostał się w ręce hetmana, bo tatarzy, widząc niepodobieństwo ratunku, w ucieczce tylko szukali ocalenia, zostawiając zwycięzcy łupy, zabrane w jego kraju*).

Już dawno słońce zaszło, a wojownicy polscy jeszcze ścigali rozpierzchnięte tłumy muzułmanów. Stanisław był jednym z najsroższych prześladowców, pokonanych tatarów, ratujących swe życie lub wolność ucieczką. Rzecz osobliwa, iż mocniej gnębił pogonią stróży, uwożących sprzęty obozowe i zdobycze, zabrane w Polsce,

*) Piasecki pag. 464.

niż samych żołnierzy nieprzyjaciół. I cóż, zgadujecie zapewne dlaczego.

Młodzieniec pragnął wydrzeć z rąk najeźdców najdroższy skarb — pragnął odzyskać Anielę.

Już zciemniało. Ucichł odgłos bitwy. Oddziały zwyciężonych albo uszły pogoni zwycięzców, albo z arkanami na szyi zmuszeni byli biedz obok koni swych pogromców.

Szczupły poczet żołnierzy Stanisława wiódł dwa razy liczniejszy tłum jeńców, z ich bogatemi plonami, z ich końmi i sługami.

Ponieważ do głównej kwatery wielkiego hetmana było jeszcze daleko, Stanisław zatrzymał się z swym hufcem na małej równinie, aby dać wytchnąć znużonym rumakom, i rozkazawszy zgromadzić niewolników, zapytał przez tłómacza, czy który nie wiedział o młodej brance; opisał jej powierzchowność, oświadczył, że udaruje tego wolnością, który udzieli o niej pewną wiadomość.

Lecz nic dowiedzieć się nie mógł.

W tem, na biodrach jednego starca spostrzegł przewiązany znajomy sobie błękitny szal Anieli.

— Skąd masz ten szal? — zapytał go z żywością.

Muzułmanin nic nie odrzekł.

— Skąd masz ten szal? — mów, nędzniku! — zawołał młodzieniec porywczo, bo w jego umyśle błysnął promień nadziei — wyznaj, gdzie jest jego właścicielka, zostaniesz wolnym, powiedz, gdzie jest Aniela?

Lecz starzec milczał uporczywie — prośby błagania, i zagrożenia były bezskuteczne. Nareszcie zniecierpli-

wiony Stanisław, rozkazał zdjąć z niego szaty i chłostać go rózgami, ale tatarzyn, ścisnąwszy zęby, nie wydał ani jednego jęku, ani jednej oznaki boleści. Zdawało się, iż ciało jego pozbawione jest czucia, z taką rezygnacją znosił starzec katusze.

Słudzy kasztelana, będący w orszaku Stanisława, kochający młodą swą panią, coraz nowe wynajdywali męczarnie, aby zmusić bisurmana do wyznania prawdy o losie ich pani, lecz wszystko było nadaremne.

Nareszcie wyczerpały się siły nieszczęśliwego, męczarnie pozbawiły go zmysłów, lecz nie zmiękczyły jego uporczywego umysłu. Stanisław, zdjęty litością nad jego stanem, rozkazał go uwolnić, rozumiejąc przytem, że łaska rozbroi tę zatwardziałość. Lecz tatarzyn nie miał sił stać na nogach.

Opatrzono go, obwiązano rany i złożono na łożu, usłanem z trawy, ale te starania były już niepotrzebne. Starzec był konającym.

W kilka chwil ożywiło się jego oblicze, dziki uśmiech skrzywił usta i starzec przemówił wyraźnym głosem:

— Teraz już wam mogę powiedzieć, gdzie jest ta kobieta, bo jej stróże już z nią daleko być muszą... Już i stu wiatronogiemi końmi jej nie dopędzicie... Młodzieńcze, słuchaj! twoja kochanka będzie odaliską Sułtana!.. płacz, drzyj twoje włosy, ona teraz już zapewne w jego objęciach!.. to jam ją wydarł ojcu, jam oddał baszy i przezemnie dostała się Amuratowi!

— Boże! zlituj się nademną! — zawołał młodzieniec, kryjąc oblicze w dłoniach.

— Ha! płacz młody giaurze, płacz, płacz!.. twoje łzy, jak balsam niebieskiej rosy, chłodzą moje serce!.. szczęśliwym, bo przy zgonie Bóg udarował mnie takim widokiem!.. oto moja zemsta za wasze katusze!.. twoja rozpacz raduje moje serce, jak żarłocznego sępa, zgon wędrowca w pustyni!.. Giaurze! Mahomet woła mnie do raju, szczęśliwym, żem pomścił porażkę mych braci!..

I błogi uśmiech uleciał wraz z życiem z lica konającego Hassana.

Wkrótce nadciągnął oddział towarzyszy pancernych pod Grzegorzem Żabickim i, połączywszy się ze Stanisławem, pośpieszył ku głównemu stanowisku wielkiego hetmana.

Noc była, gdy przybyli do obozu.

Nazajutrz raniuteńko polecił Koniecpolski Maksymiljanowi Brzozowskiemu, namiestnikowi pułku wojewody ruskiego, odebrać od dowódzców oddzielnych hufców jeńca i spędzić go w jeden tabor. Żabicki pomiędzy zabranymi niewolnikami miał jakiegoś znakomitego tatarzyna i dlatego domagał się osobiście oddać go wielkiemu hetmanowi, lecz Brzozowski nie dopuścił tego, tłomacząc się wyraźnem poleceniem wodza.

Grzegorz był posłusznym.

W kilka godzin później, Żabicki został przeznaczony do eskortowania jeńców, a kiedy wieczorem w gronie towarzyszy siedział pod namiotem, rozmawiając o losie wojny, wbiegł jeden z rotmistrzów będących u wielkiego hetmana.

— Koledzy, czyście słyszeli, że Brzozowski zabrał wczoraj Murzę, teścia hana Kantemira, z ośmioma wielbłądami i całym obozem? *).

— Czy doprawdy? — zawołali obecni, otaczając z ciekawością nowo przybyłego.

— Tak jest, niezawodnie, a hetman przyrzekł mu za to wyrobić u króla starostwo.

— Jest za co, piękny niewolnik.

— A nawet Murza miał z sobą żonę z małem dziecięciem.

— Bracia, to jest mój jeniec — zawołał Żabicki — ten sam, którego dziś powierzyłem Brzozowskiemu, z ośmiu wielbłądami, żoną i całą służbą.

— Niepodobna, panie bracie! Brzozowski nie zdolny do takiej nikczemności.

— Zdolny! kiedy tak uczynił! przysięgam na Najświętszą Pannę, że to jest mój jeniec, będę protestował przed hetmanem.

— Maszże świadków?

— Moi towarzysze mogą potwierdzić rzetelność protestacyi.

— A wiedzieliż oni, kto jest ten jeniec?

— Nie, ja sam nie wiedziałem.

— Trudna sprawa — a odróżnią przynajmniej jego oblicze?

— I tego nie wiem, już zmierzchało kiedyśmy go dognali, ale widzieli wielbłądy i kobietę.

---

*) Kwiatkowski, historya Władysława IV.

— Alboż to jedną kobietę zabrano z obozem tatarów?

— Lecz widzieli bogato ubraną służbę.

— I to nie dowód — odrzekł nowoprzybyły.

A Żabicki zamilkł i pogrążył się w myślach.

Są postępki które przez swą nizkość nie zapalają naszego gniewu, nie wywołują zemsty — lecz są powodem wzgardy; takie właśnie uczucie obudził w Grzegorzu postępek Brzozowskiego. Jednak ta chytrość i nikczemność jakieś przykre wrażenie wywarły na sercu Żabickiego. Może boleśniej mu było, iż brat skalał się podłością, niż że wydarł mu korzyść, w krwawym nabytą boju.

Teraz towarzystwo wesołych kolegów, ciężarem mu się stało, przyjaźń nieznośną, a głośne śmiechy i radość męczarnią. Wyszedłszy przeto przed namiot, usiadł na kamieniu i utonął w dumach, ale wkrótce przykry i piskliwy głos wywiódł go z zamyślenia.

Żabicki podniósł głowę i ujrzał przed sobą jednę z tułających się po Multanach sybil okrytych, łachmanami, których rzemiosłem są leki i wróżba.

— Łaskawy panie! — rzekła ta kobieta — zlitujcie się nad nieszczęśliwą matką, zgrzybiałą staruszką! Wasi zabrali mi syna w niewolę, który służył u wojewody multańskiego, on był całą podporą starej matki, uwolnijcie go! bo ja umrę z głodu bez jego pomocy!

Żabicki, jakeśmy mówili, był w dziwnym stanie oburzenia przeciwko nikczemności Brzozowskiego, a rozjątrzony, że mu natrętnie przerwano myśli, odepchnął z gniewem starą, lecz ona nie zwracając na to uwagi, błagała z uporem.

— O bądźcie litościwym panie, przez miłość wspólnego nam wszystkim Boga, uwolnijcie mego syna, on jest pod waszą strażą, powróćcie moje dziecko.

I upadła do nóg Grzegorza, objęła je swojemi ramionami i całowała jego stopy.

Potrzebaby mieć miększe serce, niż mieli żołnierze XVII wieku i więcej cierpliwości, niż miał w tej chwili nasz rotmistrz, aby spokojnie znieść takie natręctwo.

— Precz, włóczęgo — zawołał, zrywając się — precz odemnie! — lecz stara tak mocno ściskała jego nogi, iż był przymuszony usiąść, co tem większy gniew zapaliło w sercu wojaka.

— Precz na gorące piekło, nikczemna czarownico! — zawołał i z wysileniem wydarłszy z jej więzów nogę, kopnął w głowę proszącą.

Stara sybila potoczyła się i upadła o kilka kroków, zbroczona krwią własną.

— Niegodny! — zawołała Meduza głosem, na który zadrżało serce rotmistrza pod jego żelazną zbroją — ty mnie przeklinasz za moje prośby! O niech ci niebo pomści za to! Niech gniew Jego spadnie na twoją głowę, pyszny, zwycięzki żołnierzu!.. Przekląłeś mnie... odpłacę ci to!

Mimowolny dreszcz przebiegł po ciele Grzegorza, spojrzał na rozgniewaną furję, a na widok tego potworu, którego iskrzące oczy jakby pragnęły go przebóść, zlodowaciała krew w jego żyłach.

Gruba oliwkowa twarz, otoczona roztarganemi siwych włosów promieniami, rozwarte usta, w których bieliły się dwa rzędy świetnych jak kość słoniowa zę-

bów i wściekłość wyryta na wszystkich rysach tego oblicza, powiększały jeszcze dziwną trwogę Grzegorza, który postąpił kilka kroków, aby się oddalić, lecz sybila zastąpiła mu drogę.

— Ha, uciekasz przedemną, małoduszny! — zawołała silnym głosem, uchwyciwszy go za rękę — niepodobna ci się moje krwią zbroczone lice, wszak to twoje dzieło!... Słuchaj, w twem życiu ujrzysz mnie jeszcze kilka razy, lecz każde to widzenie będzie przepowiednią nieszczęścia lub twej śmierci!

Trudno opisać wrażenie, jakie wywarła na Żabickim przepowiednia starej, ten uroczysty głos wstrząsnął całem jego jestestwem. Grzegorz nie był zabobonnym, pragnął śmiać się z tej groźby, lecz uśmiech skonał na jego ustach, a dusza została pod wpływem dziwnego przeczucia i czuła się skrępowaną. Znikła dawna lekkość i odwaga, posiwiały wojak uległ wpływowi groźby starej włóczęgi.

Niechże kto powie, że nie jest zabobonnym.

ROZDZIAŁ IV.

Niedługo po ostatniej bitwie, rozeszła się wieść, że Albasi basza erzerumski z ogromnem wojskiem przeszedł Dunaj i dąży ku Polsce. Wielki hetman, nie mając dostatecznych sił do oparcia się tak licznemu nieprzyjacielowi, wezwał panów polskich o przysłanie w posiłek swego nadwornego żołnierza, tudzież ściągnąwszy kozaków zaporowskich, pośpieszył pod Kamieniec Podol-

ski, dokąd turcy się zbliżali i na wyniosłem miejscu z którego okolice aż do Chocima widzieć można było, obóz swój założył.

Na wezwanie hetmana, ze wszech stron gromadziły się liczne zastępy wojowników, a rotmistrz Żabicki zaledwie powrócił do domu, już usłyszawszy rozkaz Koniecpolskiego, pożegnał swą żonę, młodą Annę, którą niedawno z klasztoru panien Bernardynek w małżeństwo pojął i poruczywszy jej staraniom Jana, swego wybawcę, który jeszcze leżał chory z odebranych ran, wyruszył pod Kamieniec.

Już zgromadzone były nadworne wojska księcia Janusza Wiśniowieckiego, koniuszego koronnego, Lubomirskiego, wojewody krakowskiego, Tomasza Zamojskiego kanclerza koronnego, Jana Tyszkiewicza, wojewody kijowskiego, Hieronima Sieniawskiego, księcia Jerzego Zasławskiego, i innych. Już i obóz zupełnie był zabezpieczony rowami i wałem; lada dzień spodziewano się przybycia nieprzyjaciela.

Nareszcie dnia 21 października wysłane zwiady doniosły, że nieprzyjaciel o małą milę znajduje się od obozu polskiego i nazajutrz o świcie zamyśla nań uderzyć.

Na równinie, o kilkanaście staj od obozu polskiego, sączył się mały strumień wpadający do Dniestru, a przeciwne jego brzegi porosłe były krzakami wierzby. Hetman rozkazał tam stanąć artyleryi, aby przeszkodzić przeprawie nieprzyjaciela.

Nazajutrz zrana to jest w sobotę, Albasi uszykowawszy swe wojsko pod wioską Paniowcami o małe pół milki od obozu polskiego, zaczął się ku strumieniowi

podsuwać. Lecz niespodziewany gęsty kartaczowy ogień, pomieszał jego szyki. Hetman wysłał ochotników na czele rotmistrza Niemiryca, który, spotkawszy się z przednią strażą nieprzyjaciół, do 500 ludzi trupem położył.

Albasi, widząc niekorzystne położenie swych hufców, cofnął się ku dolinie Muksza, tędy podstąpił pod sam obóz, postawiwszy na prawem skrzydle tatarów, na lewem wołochów i multańczyków, sam zajął środek z wojskiem tureckiem. Lecz gdy polacy stali nieporuszeni pod chorągwiami swemi, na pojedyńcze, tylko harce z za wałów, wybiegając, rozkazał basza tatarom na lewe skrzydło obozu polskiego, bronione przez Mikołaja Potockiego uderzyć, wołochom na stanowisko księcia Wiśniowieckiego, sam zaś natarł na środek, będący pod wielkim hetmanem.

Gwałtowny ten atak byłby przełamał wszelkie przeszkody i zwyciężył odpór polaków, tem bardziej, że niejedność i kłótnie tak pospolite między szlachtą naszą i tu się wcisnęły: Rotmistrz Żabicki i Maksymiljan Brzozowski, namiestnik pułku wojewody Ruskiego, poróżnili się z sobą o miejsce i dozwolili tatarom wedrzeć się do obozu, lecz Stanisław nadbiegłszy z Krysztofem Wichrowskim rotmistrzem piechoty księcia Janusza Wiśniowieckiego, zapęd ich wstrzymali, a ogień kartaczowy z wałów do reszty zbliżonych rozproszył. Wołosi zaś, sądząc, iż za turków z chrześcianami bić się nie godzi, dla formy tylko zaledwie się starli i natychmiast cofnęli *).

*) Cały opis historyczny. Ob. Piasecki kar. 464.

Albasi, spostrzegłszy swoje niepowodzenie i omyloną nadzieję łatwości, oraz widząc, że polacy jedną bramą, z tyłu będącą, wybiegali i powracali, a spodziewając się, że nagłym obrotem zmiesza porządek w szykach, wszystkiemi siłami na nią uderzył. Lecz hetman obrócił front bez najmniejszego zamieszania, a krzyżowy ogień z dział, strzegących bramę, wstrzymał gwałtowny atak muzułmanów.

Turcy, widząc jak wielu padło w ich szeregach, zaczęli się cofać. Rozgniewany Albasi zachęca swoich i na czele janczarów znów pod wały podstępuje, lecz kula zabija pod nim konia; upadek wodza zradza postrach jego żołnierzy. Muzułmanie mieszają się i odstępują w nieporządku, a basza, obawiając się zupełnej porażki, kazał zatrąbić do odwrotu *).

Wtedy ciężka jazda husarzy polskich, wybiegłszy z obozu, wpadła na bezładnie uciekających bisurmanów; ten cios do reszty zniszczył szyk bojowy i rozproszył uciekających. O obronie już myśleć było niepodobna, jęki, trwoga, coraz większy zradzały nieporządek, żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony, nie stawiając najmniejszego oporu tratującej ich kawaleryi.

Stanisław ze swym oddziałem ścigał hufiec Albasiego, chcąc samego baszę do niewoli pojmać. Już żołnierze jego dopędzali gromadę janczarów, otaczających wodza, gdy z pomiędzy nich wystąpił młodzieniec

*) Z rękopisu księcia Albrychta Radziwiłła, pod tytułem: Dyaryusz znakomitszych wypadków od śmierci Zygmunta III-go do roku 1656.

w bogatym ubiorze i zatrzymując się, aby zabawić naszych czas jakiś, rozkazał swoim uciekać.

Oblicze jego ożywiała nadludzka odwaga, oczy błyszczały dzikim ogniem męztwa i w całej postawie widać było rozpacz i rezygnacyą, jaka odznacza więźnia, skazanego na walczenie ze lwem w cyrku.

Z wściekłością rzucił się na Stanisława, kilku jego żołnierzy dotrzymywało mu towarzystwa, jednak bitwa była nierówną. Młody turek, czując ustające swe siły, pochwycił obiema rękami za bary Stanisława i konwulsyjnie przypiął się do jego ciała.

To rozpaczające męztwo wzruszyło nawet żołnierzy polskich, żaden niemiał odwagi zadać mu śmiertelnego ciosu. Wtem koń Stanisława, wspiąwszy się, oswobodził go od młodego turka, lecz ten, zerwawszy się z ziemi, uchwycił miecz i biegł powtórnie natrzeć, ale kula przeszyła mu piersi, krew pociekła po bogato-złoconym kaftanie i młodzieniec upadł na wznak.

Albasi wstrzymał się także i zdaleka przyglądał się bitwie, a ujrzawszy padającego młodzieńca, jęknął boleśnie, wahając się przez chwilę w którą ma się udać stronę, czy uderzyć na nieprzyjaciela i pomścić śmierć młodego rycerza, czy ratować życie, lecz rozsądek widać przemógł, bo basza, spiąwszy rumaka, puścił się wcwał.

Młodzieniec ten był synem Albasego.

Postrach, wzniecony w nieprzyjacielu po tej bitwie, był tak wielki, iż turcy cofnęli się aż pod Rynczugę, na drugą stronę Dniestru w Multanach, a Albasi, aby nasycić swą zemstę, rozkazał szturmować miasteczko Stu-

dziennice, którą po trzech dniowem oblężeniu wziąwszy, spalił i dopiero za Dunaj uszedł.

Już ucichła wrzawa bitwy, polacy zajęli obóz nieprzyjacielski, rozbito naprędce namioty i rozłożono ogniska; Żabicki przy jednem z nich spoczywał zadumany, niepowodzenia uczyniły go małomównym, ponurym i odludkiem, w czasie bitwy tylko zapał ożywiał jego duszę, wracało dawne męztwo i odwaga, walecznością zadziwiał wszystkich, dlatego mimo swego ponurego i cierpkiego charakteru, był lubionym, przyjaciele dziwili się jego zmianie, choć jej nie pojmowali.

Grzegorz czuł się skrępowanym jakby czarodziejską siłą, spokojne chwile były dla niego męczarnią, a przyjaźń natrętną. Gdy był sam, tonął w dziwnych dumach, choć te dręczyły go, a jednak zamiast ich unikać, szukał samotności.

W takim stanie znajdował się nasz rotmistrz, gdy głos przyjaciela wywiódł go z tego przykrego zamyślenia.

— Cóż to, panie bracie, usnąłeś czy co, u licha? od dawna stoję nad tobą, przemawiam i nie odezwiesz się nawet.

— Ach, panie Bonifacy, to wy jesteście, wybacz mi, zadumałem się i nie zważałem, że do mnie mówiłeś. Cóż słychać nowego?

— Przed chwilą panowie bracia wyszli z namiotu wielkiego hetmana, gdzie byli zgromadzeni na radzie wojennej.

— No, no? i cóż postanowili?

— Mam przy sobie uniwersał, wydany do szlachty i wojska.

— Ach pozwól, lub przeczytaj mi!

— Dobrze, — odrzekł Bonifacy i wyjąwszy papier, zaczął czytać:

„Działo się na radzie wojennej“...

— Ach opuść to! — zawołał Grzegorz.

„Zgromadzeni panowie bracia i“...

— Jeszcze dalej! pragnę wiedzieć sam rezultat.

„Zdaniem naszem, wtargnięcie Albasego, które lubo jest wyraźnem zgwałceniem pokoju, pokryć tymczasowo cierpliwością i raczej dochodzić krzywdy przez poselstwo do Porty, niż narażać pomyślność rzeczypospolitej na wątpliwy los wojny, zwłaszcza, że jeszcze z jednej strony nie zawarty jest stały pokój. Przeto wniosek ten, wspólnem zdaniem panów braci uczyniony, ma być przedstawiony jego królewskiej mości Władysławowi, z prośbą o potwierdzenie i wyznaczenie posła. Dalej składając Bogu Najwyższemu dzięki, za szczęśliwie stoczone bitwy“...

I nagle ustał pan Bonifacy, zarumieniwszy się pod same oczy.

— No, czemuż nie kończysz — zawołał Żabicki, widząc, że Bonifacy nagle uciął czytanie i śpiesznie zwija papier.

— Już niema nic ważnego — odrzekł pomieszany przyjaciel Grzegorza.

— Dokończże przecie coś zaczął, *że, składając Bogu dzięki*...

— Kiedy udarty jest róg pisma i nie mogę dalej czytać.

— Eh, żartujesz panie bracie, pozwólże mi — rzekł Grzegorz, i nim Bonifacy mógł się spostrzedz, on wyjął mu z ręki zwój papieru i zaczął czytać na głos:

„Składając Bogu Najwyższemu dzięki za szczęśliwie stoczoną bitwę, naganiamy niewczesny spór rotmistrza Żabickiego, który omało nie stał się przyczyną przegranej i powodem nieszczęścia dla rzeczypospolitej.

Zamarł głos w piersiach czytającego z ostatnim wyrazem, oblicze poczerwieniało, na czole wystąpiły sine żyły, i ściśnięte ręce drgały konwulsyjnie.

— Oto sprawiedliwość u nas! — rzekł przytłumionym głosem — kiedy młokos zawini przed posiwiałym w usługach ojczyzny żołnierzem, zostanie uznanym za niewinnego, bo jest ulubieńcem hetmana i ma zasłonę w osobie księcia, a pokrzywdzony będzie ukaranym, bo tylko przez swe zasługi jest protegowany...

— Uspokój się, Grzegorzu — rzekł zakłopotany Bonifacy.

— Czyż nie jestem spokojny, czy narzekam? oddawnam się tego spodziewał... Okryto sromotą moje siwe włosy przed całym krajem, lecz ja potrafię zrzucić z siebie to niezasłużone piętno wstydu!!.. aż do króla pójdę domagać się sprawiedliwości, a jeżeli nie otrzymam zadosyć uczynienia, porzucę oręż, wrócę do domu! moi przyjaciele pójdą za mną, wszystka szlachta, których karabela jest jedynym protektorem, a nieskażone imię całym skarbem, uda się za nami, niech sami młokosy, niech ich ulubieńce wojują z turkiem!..

ROZDZIAŁ V.

Już upłynęło kilka tygodni od wyjazdu Żabickiego pod Kamieniec Podolski, już ranny wychowaniec Sieniuty przyszedł do zdrowia, a młoda Anna, młoda żona rotmistrza, z niecierpliwością oczekiwała powrotu Grzegorza. Każdego prawie wieczora wychodziła przed sień, patrząc na drogę, czy nie ujrzy poczetu powracających rycerzy, lecz napróżno. Często wschodzący księżyc zastawał ją na ganku ze wzrokiem, machinalnie wlepionym w gościniec.

Zwykle młody Jan wyrywał ją z tego zamyślenia, ostrzegając, że jesienne powietrze i zimny wiatr mogą szkodzić jej wątłemu zdrowiu. Wtedy Anna ze łzą w oku i uśmiechem na ustach, dziękując mu za troskliwość, podawała rękę i oboje wracali do komnaty.

Żabicka, wychowana w zaciszu klasztornem, nieznająca świata, ani ludzi, nieznająca miłości ani jej powabów, występku ani zdrady, była łagodną, czułą i pobożną. Idąc za mąż, jedynie z uczucia wdzięczności, jaką była obowiązana dla Grzegorza, i posłuszeństwa dla ksieni klasztoru Bernardynek, ciotki rotmistrza Żabickiego: kochała swego męża, jak opiekuna, jak ojca, bo był od niej przeszło dwa razy starszy, nareszcie przywykła do Grzegorza i dlatego nieobecność jego niepokoiła ją i zasmucała.

Przywiązujemy się do ludzi, z którymi nas łączy wspólność wieku, charakteru i położenia, i młoda Anna przywykła do swego gościa. Jego smętna postać, łagodny charakter, któremu nieszczęścia więcej powabu

dodały, jego blade oblicze, ocienione czarnemi włosami, ciemne i ogniste, chociaż zapadłe, oczy: tworzyły tak zajmującą powierzchowność, iż nawet doświadczeńsza kobieta, niż Anna, byłaby polubiła młodego Jana. Do tego zgodność ich temperamentów, zbliżony wiek, wspólne sieroctwo, zbliżały ku sobie serca młodych ludzi.

Jan był sierotą i Anna także nie znała swych rodziców, lecz Jan nie miał opiekuna, przyjaciela, nikogo na świecie.

— Więc ja — mówiła sobie Anna — powinnam wynagrodzić mu to wszystko, ja powinnam być jego przyjaciółką, bo on zachował mi męża, jego pocieszycielką, bo on tak nieszczęśliwy, o bardzo nieszczęśliwy!

Długie jesienne wieczory młodzieniec umilał jej opowiadaniem, mówił o swej młodości, o swych podróżach po obcych krajach, o wspaniałym Rzymie i jego ładnych mieszkańcach, o pysznej Wenecji, o wytwornym Paryżu i jego zbytkach, o spokojnej Szwajcaryi i jej niebotycznych śniegiem pokrytych górach.

Anna drżała, gdy Jan mówił jej, jak płynącego okrętem zaskoczyła burza, jak wiatry rzucały jego statkiem, raz wynosząc go do góry, to znów strącając w przepaść. Jego opowiadania były tak żywe, tak namiętne, że Anna nieraz w zapomnieniu przyciskała jego rękę do bijącego łona, sądząc, że wzburzony żywioł pochłonie odważnego wędrowca.

Żabicka z początku słuchała opowiadań Jana jedynie z ciekawości, właściwej kobietom, później więcej zwracała uwagi na jego miły głos, aniżeli wypadki podróży; nareszcie tak przywykła do jego mowy, do jego

namiętnego wzroku, który ożywiał się w czasie opowiadania, iż towarzystwo Jana stało się dla niej niezbędnem, jak modlitwa i powietrze.

Tak upływały dnie i tygodnie wśród cichego szczęścia i niewiadomości dwojga młodych ludzi, bo Anna sądziła, że pełni powinność, będąc gościnną dla zbawcy swego męża, a udając się na spoczynek i odmawiając modlitwę, z chlubą powtarzała wyrazy: „Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego“.

Lecz Jan spostrzegł swą miłość dla żony rotmistrza, wiedział, że źle czyni, lecz nie przewidywał w tem niebezpieczeństwa dla młodej kobiety, nie myślał, aby cnotliwa Anna podzielała jego uczucia, nie myślał, że posiada wzajemność, że jest kochanym.

Pewnego wieczora Żabicka, rozmawiając z Janem, siedziała przy oknie, niebo było pochmurzone, jesienny wiatr, świszcząc, pomiatał tumanami śniegu, rozmowa młodych ludzi coraz stawała się mniej żywą, bo jakiś smutek zabijał ich wesołość, oboje wpadli w jakiś rodzaj melancholijnego zamyślenia, mimo, że oboje byli szczęśliwi, bo nie spoglądali na przyszłość. Jedna ręka Anny spoczywała w dłoni młodzieńca, na drugiej wsparta była o brzeg okna jej ładna główka. Oczy zwrócone miała na ziemię, a jej myśli błądziły, albo raczej przykute były do jedynego przedmiotu, który pomimo jej woli i wiedzy, wyłącznie zajmował całą jej istność — do Jana.

Wtem u wrót odezwał się głośny hałas, Anna podniosła oczy i przez płot, ogradzający podwórze, ujrzała kilka głów mężczyzn, siedzących na koniach.

— Mój mąż wraca! — zawołała — zrywając się, a Jan uczuł, jak jej ręka zadrżała w jego dłoni!

— Żabicki? — powtórzył młodzieniec.

Anna podniosła na niego wejrzenie, jakieś pomieszanie malowało się na jej twarzy, a w oczach miała łzy, wzrok obojga spotkał się, lecz Anna zarumieniona spuściła źrenice, zakrywając twarz rękami.

— O mój przyjacielu, mój Janie! — rzekła zmienionym głosem, spuszczając głowę na ramię młodzieńca, potem jakby sobie coś przypominając, cofnęła się nagle i pobiegła ku sieni.

Wtem drzwi się otworzyły i Julja Śladkowska, córka zamożnego szlachcica z Kras w towarzystwie sług weszła do komnaty. Anna z zadziwieniem spojrzała na przybyłych, potem oczy zwróciła na Jana.

— O jakżem się omyliła — rzekła z trudnym do opisania uśmiechem, ledwie dosłyszanym głosem przyciskając rękę do wznoszącego się łona.

— Jak się masz, Anno! — zawołała Śladkowska, ściskając Żabicką — co tobie jest? ty drżysz cała, rękę masz zimną?

— Nic moja Juljo, ujrzawszy przez płot twych ludzi, rozumiałam, że tomój mąż wraca.

— Ach już kilka miesięcy jak wyszli z domu — rzekła dziewica. — Jakże się ma pan Jan? — dodała, spostrzegając młodzieńca stojącego w głębi komnaty.

— Codzień czuję się zdrowszym i jestem szczęśliwy, że niedługo będę w stanie dobyć oręża.

— Jakto zamyślasz?.. O nie! — zawołała Anna — tak prędko nie przyjdziesz do zdrowia, abyś mógł bez narażenia go ponosić trudy wojenne.

— Na cóż przydałoby mi się to zdrowie, gdybym go nie mógł użyć dla zaspokojenia jedynego uczucia, którem oddycham, tej zemsty, która mnie dręczy, która pali moje serce!.. o nie! nie będę szczęśliwym, dopóki nie nasycę się krwią tych, którzy wydarli mi opiekuna i szczęście, którzy uczynili mnie tułaczem, bez domu, rodziny i przyjaciół!..

— Janie! — przerwała mu Anna smutnie.

— O wybacz mi pani, jestem niesprawiedliwy, o! umiem czuć wdzięczność, jaką winienem tobie i twemu mężowi! nie wierz temu, co mówiłem, to są tylko czcze wyrazy, które wycisneła mi boleść i wspomnienie mych nieszczęść!.. jestem niewdzięczny... ty jesteś aniołem!

— Czy nie masz Anno żadnej wiadomości od Żabickiego? — zapytała Julja, przerywając milczenie.

— Żadnej.

— Musisz tęsknić bez męża?

Żabicka, zmieszana, zarumieniona, spuściła oczy, potem spostrzegając się, odrzekła nieśmiało:

— O tak... jestem niespokojną.

— Rozumiałam, że rotmistrz przysłał ci jaką wiadomość, tak byłam niecierpliwą dowiedzieć się coś pewnego o powodzeniu naszych, ledwie uprosiłam ojca, żeby mi pozwolił odwiedzić ciebie. Mój brat Kazimierz także nic nie donosi, kilka dni temu jak powrócił jeden żołnierz z naszej chorągwi, który był rannym pod Ka-

mieńcem. Mówił, że nasi zwyciężyli zupełnie turków, ale twój mąż na drugi dzień po bitwie opuścił wojsko i gdzieś znikł.

— Ach, mój Boże! może poległ.

— O nie, po bitwie widziano go zupełnie zdrowym.

— Więc cóż się z nim stało, jużby powinien być w domu.

— Może udał się gdzieindziej, mówiono, że w dzień bitwy poróżnił się z Brzozowskim, namiestnikiem pułku wojewody ruskiego.

— Pojedynek!...

— Nie, Anno, Żabicki został oburzony niesprawiedliwością wielkiego hetmana, który sądził ich sprawę, i zapewne z zażaleniem udał się do króla.

ROZDZIAŁ VI.

Na przedstawienie wielkiego hetmana, wkrótce po bitwie pod Kamieńcem wyznaczony był od króla posłem do Stambułu Aleksander Trzebiński, podkomorzy Lwowski.

Stanisław, usłyszawszy tę pocieszającą wieść, postanowił zaciągnąć się do orszaku posła, mając nadzieję, jakimkolwiek sposobem uwolnić Anielę z więzów niewoli; życzeniu swemu z łatwością mógł zadosyć uczynić, bo jego wspaniała postawa, ujmujące wejrzenie i szczerością tchnące rysy twarzy zobowiązywały każdego na pierwsze wejrzenie.

Trzebiński pragnął się otoczyć wyborową młodzieżą, dlatego z wielką radością przyjął do swego orszaku

Stanisława. Spodziewano się powszechnie, że to poselstwo pomyślny uwieńczy skutek, że pokój zostanie na nowo utrwalony i jeńcy z obu stron wydani.

W końcu stycznia 1633 r. wyjechał Trzebiński z dóbr swoich około Lwowa, na czele świetnego orszaku, z podarunkami dla sułtana i znaczniejszych dywanu.

W pierwszych dniach lutego wkroczył w granice ziemi Wołoskiej, gdzie przyjęty był od wojewody Mojżesza Mohiły.

— Składam Najwyższemu dzięki — rzekł starzec, spotykając Trzebińskiego — iż dla ustalenia pokoju poseł polski śpieszy do Carogrodu, że krainy te świeżemi znużone wojnami będą mogły wypocząć. Nadmienił także, iż nie było bezpiecznie w obecnym czasie jechać do Carogrodu, bo Albasi, wystawiwszy sułtanowi w zupełnie innem świetle los swej wyprawy, zapewne będzie się starał utrudnić podróż posła, aby fałsze jego na jaw nie wyszły.

Zaprowadził potem Trzebińskiego do rozbitych namiotów, gdzie na wspaniałą zaprosił ucztę. Późno w noc bawił poseł ze swoim orszakiem, Stanisław tylko daleki szczęścia obcym był wśród powszechnej radości. Spełniano kielichy za zdrowie cesarza tureckiego, króla polskiego, gości i gospodarza; a wśród toastów dowiedział się Trzebiński, że Albasi swoją niepomyślną wyprawę za świetne zwycięztwo nad polakami w Carogrodzie przed sułtanem udawał. Więźniów, nabranych z gminu za znakomitych brańców Amuratowi zasłał, darował mu także dziewicę w Polsce przez tatarów zabraną, nad-

zwyczaj piękną, jako córkę wielkiego hetmana, który wcale córki nie miał *).

Na tę wiadomość zadrżało serce biednego Stanisława, bo z opisu powierzchowności tej branki poznał Anielę Białobrzeską, a owa pewność odzyskania jej i powrócenia ojcu stawała się coraz bledszą. Jednak nadzieja naprzekór rozumowi ukazywała nieszczęśliwemu młodzieńcowi swe uśmiechające oblicze.

Nazajutrz Trzebiński w towarzystwie wojewody przybył na równinę, gdzie mała rzeczka Multany od Wołoch oddziela; tu, pożegnawszy Mohiła posła, polecając opiece Boskiej jego osobę, powrócił do domu, a Trzebiński ruszył dalej.

W końcu lutego zaczęły się roztopy śniegów w górach, w tej porze drogi w Bulgaryi stają się nieprzebyte. Trudno opisać wszystkie trudności, znoje niewygody i niebezpieczeństwa, jakich doznali wszyscy członkowie orszaku poselstwa.

Każdego dnia prawie ogromne tumany mgły, skroplonej w drobną, gęstą rosę marznącą w powietrzu, osiadając na górach, tamowały drogę. W czasie ich nadejścia zwykle zrywał się szalony wicher, spychający ze skał śnieżne lawiny. Tumany te zasłaniają zupełnie wzrok podróżnego, a biada temu, kogo na spadzistym napotkają zjeździe! Żadna ludzka siła nie zdoła się oprzeć ich gwałtowności. Po godzinnej czasem zawierusze, uspakaja się wszystko i tylko nowa warstwa śniegu świadczy o jej przejściu.

*) Kwiatkowski, historya Władysława IV.

Czasem po stromej jak ściana skale, trzeba się było wdzierać na jej wierzchołek. Innym razem droga stawała się szeroką zaledwie na trzy stopy, a zawsze była pokryta śliską gołoledzią.

Zaledwie pokonali tyle trudności, tyle wycierpieli niewygód, gdy w miasteczku Prowadja niedaleko Adrjanopolu zatrzymani zostali z rozkazu baszy erzerumskiego, który domagał się, aby przed nim Trzebiński poselstwo swoje odbył i tam na odpowiedź czekał.

Dumny ten człowiek, usłyszawszy o rozumie i charakterze posła, obawiał się, aby słusznemi przedstawieniami nie odwiódł sułtana od podniesienia wojny, aby nie użył wstawienia się posłów cudzoziemskich, u Porty będących, i aby fałsze jego na jaw nie wyszły. Lecz Trzebiński nie dał się żadnym sposobem odwieść od podróży do Carogrodu, uprzątając wszelkie zawady i sidła, stawiane przez chytrego baszę, wyrzekł stanowczo, że przed samym tylko sułtanem zda swoje poselstwo i postanowił skrytemi drogami zasłać listy do Stambułu i zanieść skargę do Porty o swoje zatrzymanie.

Ale dopełnienie tego zamiaru było bardzo trudnem, agenci baszy czyhali na wszelkie korespondencye ze strony posła, i żadne pismo nie mogło ujść ich baczności. Już blisko trzy tygodnie zostawał Trzebiński w Prowadyi, już zaczął powątpiewać o pomyślnem skutku swego poselstwa, gdy niespodzianie zabłysła mu nadzieja pomyślności.

Na jednej z bocznych ulic miasta utrzymywał gospodę pewien ormianin; tam zbierali się zwykle cudzo-

ziemcy, mieszkający w Prowadyi i przejeżdżający podróżni. W orszaku posła znajdował się jeden stary weteran, który, będąc w niewoli u Turków, nauczył się ich języka. Jednego wieczora przybyło do gospody kilku pielgrzymujących derwiszów, sekty Fakirów *) przy kuflu stary wojak, wybadawszy zasady i uczucia rozpustnych pielgrzymów, wyjawił im trudność w przesłaniu papierów do Stambułu i, przyrzekłszy znaczną nagrodę ze strony posła, prosił o radę. Derwisze obowiązali się ułatwić przesłanie skargi, przyjmując do swego grona człowieka, któremu poseł powierzy papiery, a na pewność pożądanego skutku zostawić jednego z pomiędzy siebie, jako zakładnika.

Stanisław żądał być wyznaczonym do tej tajnej podróży i stało się zadość jego żądaniu; a przybrawszy sobie owego starego żołnierza w ubiorze fakira, wyruszył w drogę.

Podróż jego, prócz małego niebezpieczeństwa zostania wykrytym, była bardzo wygodną. Jego pokutujący towarzysze opływali we wszystko, na odgłos ich grze-

*) Fakirowie — Sekta derwiszów, prowadzących bardzo ostre życie, lecz tylko pozornie — po większej części są to obłudnicy. Chodzą od kraju do kraju, żyjąc z jałmużny, nigdy długo nie zatrzymują się na jednem miejscu. Wchodzą wszędzie, gdzie im się tylko podoba, i są bardzo poważani od ludu. Ubiór ich jest następujący: koszula bez rękawów, długa aż do kostek i obszyta u dołu falbanami, na ogolonej głowie czapeczka z żółtego sukna z kutasikiem, pas ze lwich łap, a przy nim wiszą: długi nóż, róg bawoli i grzechotka na sznurku, przy której odgłosie powtarzają słowa: *Laillah allallach Hindi fagir allah*, co znaczy: niema innego Boga tylko Bóg, a fakir jest żebrakiem Boga! na to wołanie zbierają się ze wszech stron mahometanie, obdarzając ich jałmużną, w ręku noszą kosztór, obwinięty wstążkami.

chotek pobożni ziemianie ze wszech stron znosili obfitą jałmużnę, która nietylko starczyła do dostatniego życia, ale nawet do zbytku, a kiedy stanęli w której gospodzie, derwisze, uprzedzając podejrzenie mówili, iż ich młody towarzysz uczynił ślub milczenia.

Po dwutygodniowej takiej podróży stanęli szczęśliwie nasi pielgrzymi w Stambule i Stanisław przez jednego z fakirów został przedstawiony wezyrowi Murtazie baszy. Minister ten był człowiekiem charakteru umiarkowanego, rozsądny i jak wszyscy współzawodnicy dywanu, zawistnem okiem patrzący na wyniesienie się Albasi. Za jego pośrednictwem Stanisław osiągnął cel swego wysłannictwa i Trzebiński uzyskał najwyższe pozwolenie bezpiecznego do Carogrodu przejazdu *).

Na ten niespodziewanie otrzymany firman zapalił się gniewem Albasi i, uprzedzając przyjazd posła, śpiesznie udał się do Stambułu, gdzie przybywszy wystawił go u Porty jako człowieka burzliwego, nieograniczonego w swoich żądaniach i niebezpiecznego dyplomatę.

W kilka dni później nadjechał Trzebiński i według zwyczaju stanął na przedmieściu Galata, zajmowanem przez europejczyków.

Niedługo po przybyciu swojem stawił się u Kaimakana, miejsce wielkiego wezyra zastępującego i przez niego uzyskał naznaczenie czasu audjencyi u sułtana.

W wigilię tego dnia wezwał Trzebiński wszystkich członków poselstwa do siebie i oznajmił, że nazajutrz

*) Piasecki w kronice karta 414.

przypada dzień przedstawienia się, że cały orszak w paradzie będzie mu towarzyszył do pałacu cesarskiego.

— Pamiętajcie waszmość — rzekł do nich — w dniu tym na swobody ojczyste, na sławę przodków i na własną godność waszą. Niech się nic nie stanie, coby im uwłaczać miało, lub z czegobym ja nie kontent być musiał.

Potem rozporządził orszak cały i naznaczył czas wystąpienia. Nazajutrz około godziny 10 zrana całe poselstwo wyruszyło do pałacu Amurata.

Naprzód postępował pieszy oddział cudzoziemskiego zaciągu z dobranych wzrostem ludzi, za nim wozy z herbami Alexandra Trzebińskiego, dalej dworscy, za tymi jechali synowie krewnych i przyjaciół posła, błyszczący złotem i kamieniami; rzędy na ich rumakach były nasadzane perłami, haftowane czapraki i rzadkiej rasy wierzchowce. Sam Trzebiński siedział na dzielnym śnieżnym koniu w złotolitej todze, za nim dziesięciu pacholąt w kozackim ubiorze niosło hełmy i sajdaki, po nich zamykało poczet trzydziestu sług Trzebińskiego.

Zaledwie orszak był na wpół drogi, gdy wyjechało naprzeciw posłowi 50 dworzan sułtana, mających polecenie towarzyszenia mu do bram pałacowych. A wszystkie domy i mury ulic, któremi przechodził orszak poselstwa, napełnione były ludem, przyglądającym się z ciekawością świetności, jakiej nawet sam sułtan rzadkie dawał przykłady.

W takim porządku wjechał Trzebiński na dziedziniec serajowy, gdzie powitany od wielkiego wezyra

i siedmiu. pierwszych urzędników dworu, wprowadzony został do altany, tam w złocisty obleczono go kaftan i 10 podobnych rozdano pomiędzy znaczniejszych z poselstwa i w tym dopiero stroju wprowadzono przed oblicze cesarza *).

Wokoło wielkiej sali stali baszowie i dworzanie dywanu, sam sułtan siedział na lśniącym drogiemi kamieniami tronie, otoczony przez ministrów. Jego oblicze nieco wycieńczone roskoszami haremu zdobił wdzięk młodości i lubo jakaś przymuszona powaga i martwa nieruchomość rysów, trzymały w więzach żywe jego oczy, lubo wesołe czoło, w piękny łuk zakreślone hebanowe brwi, zmarszczył przymus a może i gniew, rozdęty poduszczeniami baszy erzerumskiego, lice jednak młodego sułtana miało w sobie coś mocno zniewalającego, wyglądało pomiędzy zimnemi twarzami wezyrów, nacechowanemi chytrością i podstępem a nawet nikczemnością, jak oblicze anioła w pośród duchów ciemności.

Poselski orszak zatrzymał się na środku sali. Trzebiński postąpił kilka kroków do tronu, a dworzanin, asystujący orszakowi polskiemu, pokłoniwszy się nisko sułtanowi, rzekł:

— Rządzco wiernych, cesarzu Amuracie, synu Mustafy, wielki monarcho i samowładzco wschodu! przybyli tu posłowie Władysława, syna Zygmunta króla polskiego wielkiego księcia Litewskiego i innych, uderzają

*) Zwyczaj ten od dawna zachowany był ściśle przy przedstawianiu się u porty posłów zagranicznych. Opór polaków stał się tylko nieraz powodem odroczenia audjencyi.

czołem waszej cesarskiej mości i proszą o pozwolenie złożenia przełożenia swego pana.

Na te słowa Amurat mimo zwyczaju innych sułtanów zapytał posła z groźnem obliczem, czego żąda, a w tem porywczem zapytaniu widać było poduszczenia cudzej rady.

— Przybyłem — odrzekł spokojnie i z godnością Trzebiński — od nowo ukoronowanego króla, do nowego cesarza, dla oznajmienia dawnym obyczajem sąsiedzkiej przyjaźni, dla utwierdzenia przymierza, niegdyś zawartego z cesarzem Solimanem.

— Nie o pokoju i utwierdzeniu przymierza — zawołał znów z podobną porywczością Amurat — ale o krwawej wojnie mówić nam potrzeba, między mną a królem polskim nie może inaczej istnieć sąsiedztwo, ani przyjaźń, chyba gdy on z całym ludem przyjmie wiarę wielkiego Mahometa, haracz płacić mi będzie, każe zburzyć zamki nad Dniestrem i kozaków zupełnie zniesie!

Na te słowa, wyrzeczone przez sułtana, zabrzękły ponuro szable u boków towarzyszy Trzebińskiego, jakby tłómacząc tajemniczą swą mową uczucia, władnące w tej chwili ich wrzącemi sercami.

— Polakom — odrzekł poseł — narodowi, od najdawniejszych czasów przywykłemu do swobód, samo wspomnienie płacenia haraczu, zmienienia wiary, którą pierwszy z ich królów im nadał i zburzenie zamków jest niepodobne, nie zrozumiałe, bo niezgodne z ich pojęciem, zwłaszcza póki prawice ich oręża imać mogą. I choć tu sam dla utwierdzenia pokoju od pana mego

przybyłem, brzydzę się temi trzema haniebnemi warunkami i wojnę mam za najuczciwszy środek!

— Niewierny — zawołał z gniewem Amurat, sięgając ręką do bułata — mówisz do monarchy, przed którym drżą wszystkie na świecie narody!

— Wiem, cesarzu — odpowiedział spokojnie Trzebiński — żeś wielkim mocarzem, lecz pamiętam także, że tu od pana mego przysłany jestem, jako od równego innym monarchy...

— A więc — przerwał żywo Amurat — wnijdę do Polski z niezliczonemi memi wojskami, dobędę oręża, ogniem i mieczem obrócę ją w perzynę, a jej mieszkańców w mych eunuchów!

Głęboka cichość nastała w sali po ostatnich słowach sułtana. Gdy na morzu ma powstać wściekły orkan, wtedy powietrze i wody ogarnia martwa spokojność, przed małą tylko burzą świszczą głośne wiatry.

— W twojej jest mocy, cesarzu — odrzekł zimno poseł — podnieść wojnę, lecz w mocy Boga zwycięztwami władać. Dobędzie i król Władysław swój znany już ze zwycięztw miecz a z naszej strony lepsza sprawa stanie ku pomocy i wesprze jak niegdyś pod Chocimem i w Wołoszech.

Zadrżeli tureccy ministrzy na wspomnienie okropnych klęsk, zadrżał Kaimakan o swą głowę, iż monarcha wdał się w nieprzyjemną rozmowę z posłannikiem.

Amurat zdziwiony spojrzał w oczy posła, zmarszczone jego czoło wypogodziło się, ujęty śmiałą szlachetnością Trzebińskiego, rzekł do otaczających go baszów.

— Oto takiemi powinniście być sługami! — potem skinieniem głowy pozdrowiwszy posła, odejść mu rozkazał, a swoim ministrom polecił, aby go z komnat przyzwoicie wywiedli *).

Tak odprawiony od sułtana Trzebiński, jeszcze czas niejaki pozostawał w Stambule w nadziei, że, za pośrednictwem posłów mocarstw europejskich bawiących u Porty, zdoła wyjednać pokój pod przyzwoitszemi warunkami. Ale Albasi tak swemi sieciami zdołał go otoczyć, iż nietylko do sułtana więcej przystępu mu nie dozwolił, lecz nawet wszelką komunikacyę z innymi chrześciańskimi ambasadorami przeciął.

W tej wojnie bowiem widział Albasi wyniesienie swoje, młodość zbytnia i niedoświadczenie sułtana, wśród roskoszy tylko seraju wychowanego, czyniła mu nadzieję, że, skoro ster państwa w tak ważnej sprawie obejmie, łatwo mu przyjdzie pod imieniem Amurata władać całym krajem.

Tymczasem w oczach jeszcze posła polskiego zaczęli turcy śpiesznie szykować się do wojny. Ogromne swoje wojska ściągali nad brzegi Dunaju, ciężkie działa spławiali tąż rzeką ku Wołoszczyźnie. Sam nawet Amurat 8 kwietnia przybył do Adrjanopolu, gdzie zebrane były ogólne siły tureckie, 200,000 żołnierza przenoszące.

Najwyższe dowództwo w tej sprawie odebrał Albasi. Teraz cała nadzieja Stanisława wyrwania Anieli z więzów niewoli spełzła na niczem. Gdyby pokój został

*) Wszystko historyczne, obacz Everhardi Wasemberggi gestorum Vladislai IV poloni regis — Godani 1643 in 4 pag. 154 część II.

przywrócony, nastąpiłaby zamiana lub wykup jeńców, lecz wojna gotowała się zapalona, gniew Amurata niszczył wszelką otuchę... Nieszczęśliwa dziewica na zawsze stracona dla biednego ojca, swych poddanych i... Stanisława.

Trapiony tą okropną myślą młodzieniec wracał do swej gospody, gdy na drodze spotkał jednego z fakirów, z którymi przybył do Carogrodu.

— Jak się masz, drogi kolego! — zawołał pielgrzym, rozweselony nieco zakazanym trunkiem — jakżem rad, że cię widzę, ale na ofiarę góry Arafat *) jakżeś zmieniony, smutny, co to znaczy?.. słuchaj, muszę rozjaśnić twe czoło, jutro opuszczamy ten nudny Stambuł, chodź ze mną na naszą biesiadę, może już nigdy nie ujrzymy się z sobą na ziemi, tak zimno rozstać się z sobą nie powinniśmy!

— O wybacz mi, derwiszu — odrzekł smutnie Stanisław — jestem znużony i my także zapewne jutro wrócimy do ojczyzny, śpieszę spocząć do gospody.

---

*) Arafat, góra blisko Mekki leżąca, znaczy *poznanie*, gdzie Adam i Ewa po wypędzeniu z raju pierwszy raz się spotkali i poznali. Dziesiątego dnia miesiąca *Zuhlaja* który jest ostatnim z dwunastu Arabskiego roku. W dzień nazwany *Aidaladka*, to jest święto ofiary, pielgrzymi z Mekki odprawiają tam processyę zwaną Taraf. Każdy zabija barana lub wielbłąda i mięso ich zabiera do domu, czcząc jak relikwie. Trzeciego dnia po ofierze zwykle bywa wielki deszcz, który spłukuje krew z zarzniętych bydląt. Mahometanie uważają to za cud, co jest tylko skutkiem zgęszczonych par, ze krwi zebranych w powietrzu, liczba bowiem ofiar wynosi zwyczajnie do kilka miljonów. Dlatego przysięga na górę Arafat bywa dowodem zupełnej szczerości twierdzenia.

— Wstydź się, jesteś młody a już opuściłeś skrzydła jak sęp po biesiadzie; bierz oto przykład z nas, pokutujących pielgrzymów, czyś widział którego z tak kwaśną miną, chyba w meczecie lub na rynku w pośród tysiąca ludu...

— Dobry derwiszu, jestem nieszczęśliwy, bardzo nieszczęśliwy! czy ty pojmujesz znaczenie tego wyrazu?

— Szczęście lub niedola od nas samych zależy, bracie: Ja jestem szczęśliwy, choć nie posiadam ani ojca, ani domu, ani kochanki, słowem nic, prócz wesołego humoru i mej grzechotki, a zapytaj bogacza, co mieszka w tym pysznym pałacu, on w pośród dostatków, rozkoszy i złota powie, że jest nieszczęśliwy.

— Lecz moje nieszczęście jest wyższe nad wszelkie wyrazy!.. nie pochodzi ono z nienasyconej chciwości, nie pochodzi z urojenia bujnej imaginacyi, lecz jest nieszczęściem, które kruszy najtwardsze dusze, które mnie zabija!..

— Mężu i nie wstydzisz się tej niewieściej rozpaczy? — rzuć ten niewdzięczny smutek, wejdź między nas, a życiodawczy sok wina rozproszy te posępne myśli!.. Wiesz, bracie, że Mahomet był wielkim, lecz jeszcze większe popełnił głupstwo, zabraniając tego prawdziwie królewskiego napoju... Lecz chociaż ze mną, zapomnisz o zmartwieniu.

— Fakirze, ty mnie nie pojmujesz, ty sobie nie wyobrażasz ogromu mych cierpień! — czy kochałeś ty kiedy?

— Czy kochałem? — powtórzył zmarszczywszy brwi derwisz — o nie pytaj mnie o to... już zapomniałem...

po co zasmucać chwile, poświęcone radości.. Ale chodźmy do gospody, lud zwraca na nas uwagę... chodź, chodź do nas, będziemy mówili o twojem nieszczęściu, może ja lub bracia moi zdołają przynieść ci ulgę, pomoc... I dotąd nalegał na młodzieńca aż przełamał jego upór.

Stanisław nie zdołał się wymówić tym przyjacielskim prośbom. Fakirowie przyjęli ich z okrzykiem radości i przyjacielskiem wylaniem, zapraszając do wspólnej biesiady.

— Młody żołnierzu — rzekł do Stanisława towarzysz jego, widząc go pogrążonym w myślach — powiedz mi, co spędza wesołość z twego czoła?.. powiedz, nic nie taj przed przyjaciołmi, czy błyszczące oczy z pod zasłony zraniły twe młode serce w Stambule, i jak słowik tęsknisz za twą różą *). Możemy temu zaradzić, wkrótce wyjeżdżacie z miasta... drabinka do muru i w nogi z lubą... a wszystko jak kamień w wodę. Lecz jak sobie przypominam, w drodze do Stambułu byłeś równie ponurym. Czy przeczucie nieszczęść dręczy twą duszę? drżysz na myśl niewoli twych ziomków.

— Niewoli?.. o prędzej Bóg zrządzi, iż świat ujrzy waszych żołnierzy w kajdanach, jako jeńców w Warszawie, niż naszych w Carogrodzie! — zawołał z zapałem młodzieniec.

— O nie urażaj się, młody sokole, wcale nie mam zamiaru toczyć sporu, która strona zwycięży, proszę

*) Narody wschodnie utrzymują, iż słowik kocha się w róży. Wszyscy poeci tureccy śpiewają o tej miłosci, a pisząc o słowiku, nie zapomną wspomnieć i o róży.

cię, odkryj nam twe serce, a nalejemy na rany balsamu pociechy, lub je zagojemy, jeżeli to podobna uczynić śmiertelnikowi.

Ta wesołość fakirów wydawała się nieszczęśliwemu młodzieńcowi urąganiem i oburzała go; lecz z drugiej znów strony, przyjacielskie obejście się i serdeczność łagodziły niecierpliwość jego i czyniły znośniejszemi ich żarty i natrętną ciekawość.

Jest w naturze ludzkiej jakaś próżność w samem nawet cierpieniu. Patrz, jak jestem nieszczęśliwy, jak okropne są moje rany, mówi znękany niedolą do przyjaciela, a to wyjawienie bratu swych cierpień, to zwierzenie się czyni ulgę jego sercu, jest to niejako rozłożenie ciężaru na dwie osoby, który tem samem zdaje się lżejszym. Dlatego też i Stanisław uległ temu powszechnemu prawu.

— Dziękuję, dobry derwiszu, za waszą życzliwość — odrzekł wzruszony — lecz cóż wam przyjdzie z odkrycia przyczyny mego smutku... pociechy wasze nie przylgną do mego serca, rady, jakiekolwiek będą, wątpię, abym z nich mógł korzystać, bo ten, przeciw komu walczyć bym powinien, jest...

— I któż?.. przecież nie sam Pan Bóg?

— Ani wielki Mahomet? — dodał drugi.

— Lecz sułtan Amurat! — rzekł Stanisław.

— Co mówisz?.. więc sprawę twej ojczyzny przyjąłeś na siebie samego? wytłomacz nam twoje wyrazy.

— Nie, przyjaciele! sprawa ta jest moją własną, jest moją i mego dobroczyńcy, mego drugiego ojca!.. słuchajcie mnie!

Tu grono pijących, postawiwszy puhary, otoczyło młodzieńca.

— Byłem dzieckiem, kiedym został sierotą. Możny pan, kasztelan, przyjął mnie pod swój dach i karmił swym chlebem. Kasztelan miał piękną i dobrą jak anioł córkę, która też takie nosiła imię. Aniela z każdym dniem była piękniejszą, codzień ją widywałem, podziwiałem tę piękność, wielbiłem cnoty sercem i duszą, i ja, nędzny sierota bez domu i imienia pokochałem córkę możnego kasztelana, pokochałem ją całą duszą, całą istnością moją, Aniela była mi wzajemną, zdawało się, że kasztelan spostrzegł nasze przywiązanie zobopólne i nie obrażało go ono, zawsze był dla mnie łaskawym i dobrym jak ojciec nie jak pan.

Nasze szczęście trwało lat parę i nie skończyłoby się zapewne aż z życiem. Wtem, z rozkazu pysznego baszy erzerumskiego, dzicy tatarzy naszli naszą ziemię, kasztelan, posiwiały starzec, wysłał mnie z swym nadwornym żołnierzem na obronę kraju, a sam z córką pozostał w domu. Dzień, w którym ich opuściłem, był ostatnim mego szczęścia; powróciwszy, już nie zastałem Anieli!

Tatarzy wydarli ją z objęć ojca!

Albasi, podle kłamiąc przed swym monarchą, dla pokrycia swego niedołęztwa i strat, jakich stał się przyczyną, darował Anielę Amuratowi, jako córkę hetmana polaków.

— O nędzny kłamca! — zawołał fakir z oburzeniem.

— Poselstwo nasze do Porty błysnęło mi promieniem nadziei — mówi dalej Stanisław, nie uważając na wykrzyknienie derwiszów — biegłem z bijącem sercem do Stambułu, gdzie jęczy w srogiem zamknięciu nieszczęśliwa dziewica, rozumiałem, że za pośrednictwem dobrowolnych układów powróci zgoda między dwoma dworami, a wtedy brańcy zostaną wydani; lecz chytrość Albasego i te zniszczyła nadzieje, jadowitemi podszeptami rozniecił płomień gniewu w duszy sułtana, nie dopuścił zgody!..

— Twoja Aniela znajduje się tu w Stambule? — zapytał fakir.

— Tak sądzę, lecz pewności nie mam żadnej.

— Ale o tem wiesz pewno, iż została oddaną sułtanowi pod imieniem córki hetmana?

— Niezawodnie.

— Młodzieńcze, bądź dobrej myśli! dla ciebie gotówbym wedrzeć się do haremu Mahometa. Widziałeś, z jakim zapałem lud przyjmuje nas wszędzie, nasza suknia otwiera nam każde drzwi, pójdę dowiedzieć się... zostań z Bogiem, przyjacielu, wrócę po północy, aby cię nazwać szczęśliwym, dziś może uściśniesz twoją kochankę.

To mówiąc, wychylił puhar wina i wyszedł.

Towarzysze jego nie zwracali na to żadnej uwagi i znów zaczęli biesiadować z całą swą wyuzdaną wesołością, żaden z nich nie umiał innego języka prócz rodowitego, dlatego Stanisław zostawał niemym tylko świadkiem tej sceny. Niecierpliwość, z jaką oczekiwał północy, nie dozwalała mu zwracać wcale uwagi na rozpustę i zbytki fakirów, lecz oni za to często zwracali swą baczność na jego bezczynność i starali się na-

kłonić do naśladowania siebie. Stanisław mimo woli musiał wychylić kilka kielichów.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł fakir.

Na jego czole zajaśniała radość, jak gwiazda poranna.

— Młody sokole, uzbrój twe serce odwagą i chodź z nami, a wy, bracia, przyszykujcie ubiór fakira dla nowego gościa, którego musimy przyjąć do swego grona.

Stanisław jakiemś tajnem przeczuciem ślepo ufał swemu protektorowi, dlatego był posłuszny jego rozkazom, choćby te były najdziwaczniejsze. Wyszedł za nim, lecz nie pojmował, dokąd i po co zostanie zaprowadzonym.

Przeszedłszy kilka wązkich ulic, dwaj awanturnicy zatrzymali się przed wysokim murem, opasującym rozległy pałac. Derwisz rzekł do Stanisława:

— Stój w tem miejscu, mój bracie, dopóki nie usłyszysz znaku, który serce twoje ze drżeniem zrozumie, wtedy uderzysz zcicha trzy razy w dłonie. A stój, jak martwy, ja odejdę, bo gdzieindziej potrzebniejszą jest moja obecność, już wszystko załatwione, do czego ślepy fanatyzm ludu i powaga mej sukni wiele mi pomogła, rzeczy pójdą torem przeznaczenia jakie zapisał Przedwieczny na tablicy światłości *). Zostań z Bogiem — dodał i odszedł. Młodzieniec pozostał sam jeden.

---

*) Louh, *tablica swiatłości*, na której zapisane jest wszystko, co się ma stać na ziemi. Cadar *v.* Caza, samo pismo czyli przeznaczenie.

ROZDZIAŁ VII.

Noc w połowie swego istnienia wisiała z rozpartemi skrzydłami nad miastem Konstantyna wielkiego. Martwa cisza objęła w swe zimne okowy całą okolicę, młody księżyc wypłynął złotą łódką na ciemno błękitny niebios ocean, pluszcząc swem bladem światłem na twarz uśpionej ziemi, na wpół okrytej tkanką mgły i cieni. Na południu morze podobne do przejrzystej ściany, łączyło się ze sklepieniem nieba; na wschodzie ciągnęły się ostre wierzchołki gór, milczące i nieruchome jak senne mary, otaczając łoże Olimpu, owego mieszkania dawnych bogów.

Cicho rozlewał się aromat cyprysowych gajów, tajemniczo szemrały wody Złotego rogu *), wszystko na niebie i na ziemi było w zachwyceniu, powtórzone zwierciadłem duszy.

O któreż młode, kochające serce nie rozpłynęłoby się rozkoszą, jak nocny kwiat, pod świeżym oddechem południowej nocy i nie dało jej swego zapachu w zamian kropel rosy.

Stanisław, wzruszony, zachwycony, w jakimś dziwnym stanie błogiego zapomnienia, które unosi duszę naszą, otrząsając ją z ciężarów ziemskich i dozwalając zawisnąć swobodnie pod niebem: stał wsparty o mur jakiegoś olbrzymiego pałacu, gdzie go postawił jego protektor fakir. I duszą swą widział zamek kasztelana, w którym się wychował, i piękny taras, a pod cieniem

*) Nazwisko portu w Carogrodzie.

rozłożystego wiązu igrała Aniela, a obok niej siedział ojciec i z radością w oku spoglądał na swą dziedziczkę, patrzał, jak biegnąc za motylem, nuciła piosnkę wesela... ale ta pieśń tak smutna, choć radość głoszą wyrazy, ton tak tęskny, tak żałosny, aż łzy potoczyły się po licu młodzieńca. Wtem głos tureckiej mowy obił się o uszy jego, drgnął całem ciałem, i znikło złudzenie. Spojrzał wokoło siebie, czarne wysokie mury otaczają go do koła: przed nim długa, pusta ulica. Lecz śpiew nie ustaje... Stanisław przeciera oczy, to sen być musi; luby, miły sen, to głos Anieli.

Młodzieniec pragnie pochwycić duszą wszystkie wyrazy, to znana mu, jej ulubiona pieśń!

Więc tu jest Aniela? Lecz wysoki, nieprzebyty mur od niej go oddziela. Więc to jest ów znak, o którym mówił łakir, rzekłszy: „Stój, jak martwy, wkrótce usłyszysz znak, który pojmiesz, wtedy zcicha po trzykroć uderz w dłonie i bądź baczny jak jeleń w legowisku“.

Stanisław uderzył w ręce trzy razy, wtem u nóg jego upadł jakiś przedmiot. Młodzieniec schyla się i podnosi sznur przywiązany do jedwabnej drabinki, której koniec zostaje za murem. Zrozumiał znaczenie tego młody chorąży, wyciągnął drżącą ręką z całych sił sznur, który wkrótce zadrżał pod ciężarem osoby i nad murem ukazała się szara postać.

Serce silnie zabiło w piersiach młodziana, wkrótce przyciśnie do łona ukochaną.

— Lecz o nieba! zamiast Anieli, widzi brodatego turka w zawoju z błyszczącą bronią w ręku, chwytającego za wierzch muru.

— Więc jestem zdradzony! pomyślał i w jednej chwili puszcza sznur, utrzymujący drabinę. Szara postać znikła, tylko ciężki odgłos upadku rozległ się w powietrzu, a za nim bolesny, przytłumiony jęk, później szelest i szczęk broni, nareszcie głośne wołania.

Przerażony Stanisław zaczął biedz śpiesznie z tego strasznego miejsca... Wtem słyszy za sobą cichy głos.

— Nieszczęsny, stój, zatrzymaj się!..

Młodzieniec odwraca głowę i poznaje derwisza.

— Cóżeś uczynił nierozważny, dlaczegóżeś puścił drabinę.

— To nie była Aniela, jakiegoś zbrojnego człowieka ujrzałem na murze, i rozumiałem, żeś mnie zdradził.

— To był stróż pałacu, przejednany moją namową, który, unikając kary za swój występek, miał z nami uciekać, teraz wszystko przepadło, odgłos jego upadku i jęk pobudził całą straż, schroń się pod te arkady, bo nas ścigają.

Stanisław był posłuszny, jak dziecko, bo to nowe nieszczęście odjęło mu nawet władzę zastanowienia. Derwisz spokojnym krokiem udał się dalej.

Zaledwie młodzieniec wszedł w ruiny starego wodociągu, gdy nadbiegło kilkunastu żołnierzy, oglądając się na wszystkie strony, lecz minęli wodociąg, a zwolna ucichł odgłos ich kroków. Stanisław wyszedł z swego ukrycia i zaczął biedz śpiesznie, ale nim minął kilka domów, na zakręcie ulicy ukazał się drugi oddział piechoty tureckiej. Młodzieniec zawrócił w przeciwną stronę, głośne wołania obiły się o jego uszy, lecz on biegł dalej, nie zatrzymując się ani chwili. Ten sam głos

powtórzył zapytanie, zapewne *kto idzie,* ale także napróżno. Młodzieniec biegł z całych sił. Wtem rozległ się wystrzał. Stanisław się potoczył, postąpił jeszcze kilka kroków i upadł na bruku.

ROZDZIAŁ VIII.

Już wieczór był późny, czarna noc pokryła wszystkie przedmioty tą jednostajną, wątpliwo-szarą barwą, w której niknie zagłębiony wzrok. Księżyc jeszcze nie wszedł, gwiazdy tylko migotały swem niepewnem światłem po ciemnem niebios sklepieniu, wśród którego kilka rozczochranych obłoków tułało się, jak zbłąkana karawana wśród okropnej pustyni Afryki. Jesienny wicher świszczał około strzech domu Żabickiego, miotając po drodze kurzem i opadłemi liśćmi, tą tak świetną niegdyś ozdobą drzew, temi liśćmi, któremi niedawno tak lubo pieścił się ten zmienny zalotnik, a teraz po kilku miesiącach ich życia ze wzgardą pomiata, bo już okwitły, postarzały i pożółkły.

Anna Żabicka z Janem siedzieli przy kominie, młodzieniec, według zwyczaju, mówił jej o swem życiu, tak bladem, czczem, bez ułudy i celu.

— O nie wiesz, Anno — rzekł z zapałem — ile twoja i twego męża przyjaźń jest dla mnie drogą. Od kolebki sam, zawsze sam, nie znałem nawet rodzicielskich pieszczot... od dzieciństwa tylko zimne ręce podawały mi pożywienie... po śmierci rodziców, z litości wzięty byłem przez godnego proboszcza, mieszkającego we wsi,

gdzie żył mój ojciec. W czternastym roku przeszedłem pod opiekę szanownego Sieniuty, dobry ten człowiek, którego jednego kochałem w życiu, umarł w mych oczach z ręki bisurmana, jam nie był w stanie pomścić się nawet godnie za niego!.. O! przyjaźń wasza, Anno, jest dla mnie, jak źródło dla znużonego w pustyni araba! — zawołał młodzieniec, przyciskając z zapałem do swych ust rękę młodej kobiety.

— Tak, mój Janie — odrzekła czułym głosem Żabicka — życie nasze ma wielkie podobieństwo do siebie, i ja nie znałam rodziców, i ja od dzieciństwa karmiona byłam z litości obcą ręką, w klasztorze panien Karmelitek. Nigdy nie znałam uczucia przyjaźni, miłości braterskiej; nigdy nie widziałam uśmiechu siostry, choć miałam brata!..

— Tak Anno i ja miałem siostrę! — zawołał Jan.

— Co za szczególna zgodność wypadków!.. i cóż się z nią stało?

— Kiedy rodzice moi pomarli na zarazę, siostra była wzięta na opiekę przez jakąś możną panią, która później podobno zamknęła się w klasztorze i od dnia rozłączenia naszego nigdym jej nie widział.

— Ja mojego brata wcale nie znałam, mówili mi tylko o nim, lecz byłam wtedy tak bardzo młodą, że opowiadania zakonnic o mem urodzeniu i bracie zaledwie prześlizgnęły się po mej wyobraźni, a nadto późniejsze lata mego życia były napełnione tyloma udręczeniami, tyloma okropnemi cierpieniami, iż poprzednie zdarzenia tylko jak przez mgłę przypominam sobie.

— Tak młoda i już tyle cierpiała — mówił do siebie Jan, jak człowiek głośno myślący.

— O tak, Janie, bardzo wiele!.. posłuchaj mnie, opowiem ci znaczniejsze wypadki mego życia, bo pragnę być poznaną od przyjaciela, od zbawcy mego męża, pragnę otworzyć ci moją duszę, abyś widział, jak wiele poniosła udręczeń, jak silnie została niemi zahartowaną, jak mocno czuć będzie umiała przyjaźń, którą mnie obdarzasz!

— O mów, Anno, mów — zawołał Jan z uwielbieniem — jestem pewny, że, poznawszy twe życie, jeszcze więcej będę cię szanował.

— Kiedy pomarli moi rodzice — zaczęła Anna — byłam jeszcze dzieckiem i to tylko pamiętam, żem moje dzieciństwo spędziła w klasztorze, a jak niedawno dowiedziałam się, było to w Lublinie. Tam wraz z kilkoma innemi małemi dziewczynkami byłam wychowywana przez lat kilka. Aż jednego poranku, pamiętam było to na wiosnę, o! tego okropnego dnia nigdy nie zapomnę, zostałam przebudzona bardzo rano, jedna z zakonnic ubrała mnie śpiesznie i poprowadziła po wschodach przez kilka długich kurytarzy do jakiejś wielkiej podziemnej sali.

Wszystkie siostry klęczały po obu stronach podziemia, na środku którego wznosił się mały ołtarz, pełen gorejących świec. W całej tej wielkiej sali nie było ani jednego okna i tylko czerwone światło pochodni oświecało wilgotne szare ściany. Wokoło uroczysta panowała cisza, szemranie tylko modlących się zakonnic i skrzyp drzwi, otwieranych przez moją dozorczynię,

przerwał ją na chwilę. Żadna z zakonnic nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, drzwi zatrzaśnięto a odgłos ten, odbijając się o kamienne ściany podziemia, odezwał się echem, które mnie przejmowało jakimś okropnym przestrachem.

Moja przewodniczka kazała mi uklęknąć przy innych, sama zajęła swoje miejsce i znów martwa nastąpiła spokojność.

Cały dzień modlono się żarliwie bez pożywienia i spoczynku. Głód zaczął mi dokuczać, lecz nie śmiałem otworzyć ust. Nad wieczorem jakieś okropne krzyki, huk zrządzony, jakby upadkiem ścian i częste wystrzały, dały się słyszeć nad naszemi głowami. W podziemiu zawsze panowała taż sama jednostajna cisza. Chaos zaś na górnych piętrach coraz się powiększał i przybliżał. Z bojaźni drżałam cała, nie wiedząc przyczyny tej powszechnej trwogi, a nie śmiałam pytać mej dozorczyni, bo czułam, że ona drżała także.

Wtem niesforne te wrzaski odezwały się na korytarzu, prowadzącym do podziemia. W sali powstał szmer, zaczęto modlić się na głos, ksieni powstała i, z krzyżem w ręku zachęcając siostry, przemawiała do nich, aby, położywszy ufność w Jezusie ukrzyżowanym, z odwagą oczekiwały śmierci, dla czci tego Boga, który umarł za nas.

Krzyki zbliżały się pod same drzwi i silne uderzenia wstrząsły je na posadzie. W sali powstał zgiełk. Słaby głos zgrzybiałej ksieni znikł wśród tego chaosu, podwoje wypadły z okropnym łoskotem i tłum dzikich tatarów z zakrwawionemi żelazami wbiegł do podziemia.

Straszny jęk przygłuszył wszystko... przelękniona ukryłam się pod krzesło ksieni, przytwierdzone żelaznemi śrubami do podłogi, i zamrużyłam oczy, aby nie widzieć tej okropnej sceny. Jęki, zgiełk i krzyki trwały z pół godziny, potem wszystko ucichło... Długo nie mogłam się odważyć, aby wyjrzeć z mego ukrycia, lecz jednostajna spokojność ośmieliła mnie nieco. Wychylam głowę, sala przedstawia okropny widok, serce ściska się na samo wspomnienie tego strasznego obrazu. Ołtarz był wywrócony, przy nim leżało martwe ciało ksieni.. biedna staruszka i po śmierci z zapałem przyciskała do ust krucyfix... Posadzka była krwią zbryzgana, wśród której nurzało się kilka zeszpeconych trupów zakonnic. Przejęta okropną trwogą i wstrętem, ujrzałam otwarte drzwi i rzuciłam się ku nim... Wszędzie było ciemno i pusto... trzymając się ścian, wyszłam na górę, wszystkie cele były pootwierane, wszystko poprzewracane i poniszczone, lecz nigdzie nie ujrzałam żadnej z zakonnic, czy się gdzie ukryły, czy rozbiegły. Wychodzę na dziedziniec i tu pusto, wszędzie martwa panuje cisza. Noc już się kończyła, już gwiazdy pobladły i zaczynało świtać, ja drżałam cała z przelęknienia, trwogi i zimna... Gdzie zwrócę oczy, wszędzie ślady spustoszenia, wszędzie krew i pustki. Pragnąc opuścić to miejsce zgrozy, wyszłam przez wybitą bramę na ulicę, długo biegłam z całych sił, wtem ujrzałam palące się budynki. Nikt ich nie bronił, nikogo przy nich nie było... strwożona jeszcze mocniej, wróciłam napowrót, lecz nie mogłam trafić do klasztoru. Bez ustanku biegłam kilka godzin, i znów ujrzałkm się w tem samem miejscu, przed owym pożarem.

Wycieńczona głodem, znużeniem i strachem, upadłam na środku ulicy. Wkrótce rozwidniało, złote słońce wzniosło się do góry i odkryło w całej okropności obraz zniszczenia. Gdzie niegdzie zaczęły się ukazywać strwożone postacie przed domami: zwolna ulice przybrały jakiś znak życia, mieszczanie, przekonawszy się, że nieprzyjaciel opuścił miasto, wychodzili ze swych kryjówek.

Wtem ukazał się na ulicy poczet husarzy polskich, ich świetne zbroje, bogate rzędy na koniach, pyszne tygrysie skóry na barkach, dziwnie odbijały przy tym obrazie spustoszenia. Oddział ten przybył na odsiecz miastu, lecz już było zapóźno. Tatarzy wpadli, zrabowali domy, uprowadzili większą połowę mieszkańców i uszli w swoje strony ze zdobyczą.

Przedemną zatrzymało się kilka osób, pytając, zkąd jestem, i pragnąc zapewne nieść pomoc, omdlała, zaledwie znalazłam dosyć sił na odpowiedź, iż jestem z klasztoru panien Karmelitek.

— Moje dziecko — odezwał się jakiś sędziwy mieszczanin — klasztor cały zburzony, a zakonnice uprowadzili z sobą ci psu braty tatarzy.

Na tę okropną wiadomość zaczęłam płakać, bo myśl, że zostałam bez przytułku, przeraziła mnie okropnie. Oddział rycerzy przejeżdżał wtedy prawie około mnie, ich dowódzca zatrzymał się także przy otaczającej mnie gromadzie.

— Co to za śliczne dziecko! — zawołał na głos — szkoda, że tak młoda, tak za lat cztery dałbym za nią z 10,000 złotych.

— Żartujecie, signor wojewodzicu! za taką summę możnaby całą wieś kupić — odezwała się złą polszczyzną jakaś niziutka, już w podeszłym wieku kobieta.

— Ach to jejmość! signora Angielika, cóż tu robicie?.. i czemuż mi nie wierzycie, signora?

— Bo to mało podobne do prawdy, wojewodzicu.

— Daję słowo szlachcica — odrzekł, patrząc na mnie; potem spiął konia ostrogami i odjechał.

— Dziesięć tysięcy... okropna summa... gdybym nie była tak słabą.. — szeptała sama do siebie Angielika i nachyliła się do mnie. — Moje dziecko, czy jesteś chorą? pójdź ze mną do mego domu, posilisz się... Mój aniołek, jaka piękna, jak znużona... Czy ci się jeść chce?

— Tak — odrzekłam, ledwo mogąc wymówić ten jeden wyraz.

— Pójdź, pójdź ze mną!

To mówiąc, podniosła mnie i, wsparłszy na swem ramieniu, poprowadziła do mieszkania.

Po przyjęciu pożywienia usnęłam snem twardym; silne wstrząśnienie mej młodej duszy przestrachem i utratą osób, dla których się przywiązałam, wywarło tak silne wrażenie na mój umysł, żem zupełnie odrętwiała, stałam się obojętna na wszystko, co się około mnie działo, o nic nie pytałam, niczemu się nie sprzeciwiałam, nie wiem nawet, czym myślała.

Nazajutrz rano moja nowa opiekunka powiedziała mi, że opuścimy to miasto, że pojedziemy do Krakowa, gdzie jest jej stałe mieszkanie. Przyjęłam z zupełną obojętnością tę nową wiadomość, wsadzono mnie na brykę. Signora Angielika usiadła obok mnie i ruszy-

liśmy. Podróż trwała kilka dni, może z tydzień, tego nie pamiętam. Miałam wtedy zapewne z dziesięć lat.

Moja opiekunka mieszkała na jednej z odludnych ulic Krakowa, zajmowałyśmy szczupły domek z ogrodem, mnie przeznaczono mały pokoik z oknem, wychodzącem na ogród, dodano dozorczynię, czyli bonę jak ją nazywała signora Angielika, która mnie nie odstępowała.

Bona ta była to stara Włoszka, współrodaczka mej opiekunki, obie z dworem Zborowskich przybyły do Polski. Ich charaktery, sposób myślenia, upodobania i wiek nawet zupełnie były zgodne. Signora Angielika tylko posiadała więcej przenikliwości i rozumu. Patiencia lubo była podobnie jak tamta chytrą i chciwą, jednak inne zdolności posiadała w daleko niższym stopniu.

Byłam jeszcze bardzo młoda i przyzwyczajona do samotnego życia w klasztorze, jednak obecne odosobnienie gnębiło mnie mocno. W klasztorze miałam tyle towarzyszek, tutaj nikogo, prócz dozorczyni, ogród klasztorny był ogromny i wesoły, tu zaledwie kilkanaście kroków zawierał, a prócz trawnika i kilku drzew, które zasłaniały mi niebo i nie dozwalały widzieć nawet pięknego słońca, nic więcej nie posiadał.

Wzrastałam sama, zawsze sama. Były dni, w których, płacząc, przysłuchiwałam się wesołym śmiechom młodych dziewcząt, co igrały na obszernym placu, a ja z po za muru mego więzienia słyszałam ich wesołą wrzawę. Więdłam z tęsknoty, odgadując całe szczęście swobody, bom jej nigdy nie znała.

Tak upływały dnie i miesiące, opiekunka moja często powtarzała mi, żem piękna, lecz te jej pochwały nie czyniły na mnie żadnego wrażenia. Często signora Angielika, wpiąwszy w moje włosy świetne brylantowe cacka, postawiła mnie przed zwierciadłem, rozkazując przyglądać się, lecz wyznaję, żem wtedy więcej zwracała uwagi na błyszczące brylanty, niż na moje oblicze.

Ale to jednostajne, siedzące życie, ten brak potrzebnego ruchu memu dziecinnemu ciału, zaczął wywierać wpływ na moje zdrowie. Jednego wieczora, siedząc podług .zwyczaju na murawie w moim małym ogródku, usłyszałam wesołe śmiechy bawiących się dziewcząt na ulicy po za murem mego więzienia, jakaś tęsknota objęła moją duszę i łzy w oczach mi stanęły; o jakbym chętnie oddała wszystko, com posiadała, aby zamienić moje więzienne, jednostajne życie, na swobodę, którą tamte się cieszą!

W tej chwili właśnie bawiący się stanęli w bliskości mego grodu, napełniając powietrze swymi wesołymi okrzykami. Przyszło mi do głowy, że, gdybym kilka kamieni, leżących pod murem ułożyła jeden na drugim, mogłabym, wszedłszy na nie, choć zdaleka widzieć te rozrywki.

I w oka mgnieniu pobiegłam uskutecznić mój pomysł. Lecz zaledwiem wstąpiła na to wzniesione przezemnie rusztowanie, kamienie rozsunęły się i upadłam na ziemię, straciwszy zmysły.

Kiedym przyszła do siebie, ujrzałam się na łóżku w moim pokoiku, obok mnie z jednej strony stała moja opiekunka, z drugiej jakaś ogorzała, stara kobieta,

w dziwnem ubraniu, uczułam obandażowanie na głowie i mocne osłabienie.

— Tak, tak, łaskawa pani, niech nas strzeże Najświętsza Panna! lecz usłuchajcie słów moich; temu dziecku potrzeba swobody, rozrywek, jej wiekowi właściwych a nadewszystko ruchu i wolności — mówiła szczególnym akcentem owa obca kobieta.

— Wszakże ze swobodą biega po dziedzińcu i ogrodzie, i bawi się, jak jej samej się podoba — odrzekła z niechęcią moja opiekunka — jakich że jej więcej dostarczyć mogę rozrywek?

— Potrzeba jej towarzystwa rówieniczek, swobody nie w zamkniętym domu, lecz swobody zupełnej, aby mogła biegać po polach, aby znużenie rozwijało jej siły.

— Pleciesz brednie, moja Marto — rzekła z niechęcią Angielika.

— Jak wam się zdaje, moja pani! zostawiam to waszej rozwadze, ale wspomnicie kiedyś, że Marta prawdę mówiła; nim po trzeci raz odrosną rogi księżyca, dziecko to zniknie jak kwiatek podróżnika — rzekła spokojnie stara i wyszła.

Skaleczona moja głowa, dzięki maściom Marty, zgoiła się wkrótce, lecz z każdym dniem stawałam się słabszą.

— Biedna dziewczyna, jak z sił opada, codzień zdaje się być więcej bladą i mizerną — mówiła do siebie moja opiekunka, stojąc jednego dnia obok krzesła na którem siedziałam. — Moja Anno — zapytała mnie z dobrocią — czy czujesz się słabą?

— Nie pani — odrzekłam — jestem tylko jakby znużona.

— Ha — mówiła dalej Angielika — dziecię to stanowi całe moje nadzieje, trzeba dla niego cośkolwiek poświęcić — potem powstała i wyszła.

W kilka dni przenieśliśmy mieszkanie do pięknego domku za miasto. Nazajutrz raniuteńko po przeprowadzeniu naszem, wybiegłam przed sień. Przedemną była rozległa przestrzeń, zielone lasy, strumień, ocieniony gaikami leszczyny; wszystko to było tak piękne! Z radości serce moje gwałtownie bić zaczęło, oczy zrosiły pomimowolne łzy, teraz wolno mi było wychodzić, ilekroć tylko zapragnęłam, bawić się, jak chciałam, iść, dokąd mi się tylko podobało.

Szczęście to zdawało się nieporównanem, ono wywarło na mnie wpływ cudowny. Nagle się rozwijałam, ciało moje nabrało jędrności, serce siły, a wyobraźnia przyjęła jakiś fantastyczny popęd; miałam wówczas lat czternaście.

Całe lato przepędziłam w tem pięknem miejscu, codzień wybiegając w pole i błądząc podług upodobania.

Pewnego wieczora, stojąc na małym wzgórku nad strumykiem, przyglądałam się zachwycona zachodowi słońca, gdy niedaleko siebie usłyszałam odgłos śpiewu; zwróciłam oczy w tę stronę i ujrzałam Martę, ową lekarkę, która nakłoniła Angielikę do wypuszczenia mnie z mej klatki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekła — lecz ja tych słów nie pojmowałam. Nic mi nie

odpowiesz? jak się masz moje dziecko? — zapytała mnie powtórnie z dobrocią.

— Dobrze, o bardzo dobrze! — odrzekłam wesoła, bo wtedy czułam się tak szczęśliwą, tak lekką i swobodną, jak te ptaszki, które w około mnie przelatywały — bardzo dziękuję ci, dobra kobieto, to ty jesteś przyczyną mego szczęścia.

— Niech będzie błogosławiona najświętsza Marya! — odrzekła z pokorą stara — nad czem tak dumałaś, moje dziecko, kiedym się do ciebie zbliżała?

— Przyglądałam się zachodowi słońca; patrz, Marto, jaki to piękny widok.

— Błogosław moja duszo Stwórcę Pana wszech rzeczy, który je stworzył dla nas!

— Nie rozumiem cię Marto, jakto, to słońce ktoś utworzył dla nas?

— Co mówisz dziecko? nie wiesz, że ten ktoś jest Bogiem?

Wyznaję ci ze wstydem Janie, że imię Boga znane mi było tylko jak każde inne nazwanie, wszystko cokolwiek ma związek z religją, obcem było dla mnie.

Nie wiem dlaczego, spuściłam oczy.

— Czy twoja opiekunka nie uczyła cię, że się powinnaś modlić Bogu, bo od niego masz wszystko co posiadasz.

— Nie — odrzekłam zarumieniona.

— Nieszczęśliwe dziecko! pamiętaj, że Bóg, który stworzył wszystkie rzeczy, który czuwa nad nami i widzi najskrytsze myśli naszego serca, który kocha cnotliwych, a brzydzi się występkiem, ukarze ją, ja jej to

przepowiadam! — zawołała stara, podnosząc do góry prawicę, a rysy jej twarzy, oświecone czerwonym światłem zachodzącego słońca, podobne były do ognistego oblicza anioła mściciela.

Długo stałam zamyślona na tem miejscu, słowa Marty dziwne wywarły wrażenie na mój umysł: „*Bóg, który widzi najskrytsze myśli serca naszego, który kocha cnotliwych, a brzydzi się występkiem, ukarze Angielikę*“ wyrazy te przeniknęły do głębi mej duszy.

Cóż jest cnota? zapytałam sama siebie, a co występek.

Kiedy wyświadczę komu jaką przysługę, czuję wewnętrzne zadowolenie, a tajny smutek, gdy uczynię krzywdę. Dlaczego po niektórych postępkach doświadczam podobnego szczęścia, a po innych, zwłaszcza do których nakłania Angielika, czuję jakiś smutek i zgryzoty.

Więc pierwsze muszą być czynami cnotliwemi, a drugie występkami, któremi się brzydzi Stwórca.

Tak rozmyślając, wróciłam do domu i odtąd postanowiłam całe moje życie, wszystkie czyny i postępki, stosować do tego wniosku.

Niedługo jesień ogołociła drzewa z liści, błękit nieba pokrył się gęstemi obłokami, mgliste poranki nastąpiły po pięknych dniach lata, wkrótce też i my powróciłyśmy do dawnego mieszkania. Z roskoszą ujrzałam znów dom, w którym niegdyś tęsknota tak mnie okropnie dręczyła. Mały mój pokoik nie zdawał mi się tak smutnym a martwe drzewa ogrodu witałam jak starych przyjaciół.

Angielika przez całe lato bawiła w Warszawie, załatwiając jakieś ważne interesa, teraz prawie razem ze mną powróciła do domu. Mój widok mile ją zadziwił.

— Jakżeś wyrosła, wyładniała, moja Anno! — zawołała z radością, ujrzawszy mnie w progu swego domu — o już jesteś dorosłą panną! moja droga, jakże się cieszę z takiej przemiany! Wkrótce moje dziecko będziesz miała bogate suknie, perły, stroje. Chwała Bogu, niedługo wynagrodzą się moje trudy.

— Jakim sposobem pani? — zapytałam.

— Ujrzysz pewnego pana, bogatego, grzecznego, dobrego; ale trzeba także dla niego być grzeczną.

— Więc on wynagrodzi ci twoje około mnie starania.

— Tak jest, bo on ciebie kocha.

— Za co? — zapytałam — kiedy mnie nie zna nawet?

— Nie zna cię, jednak kocha, bo jesteś piękną — odrzekła moja opiekunka — o jesteś bardzo piękną, moja Anno! i jeżeli będziesz tyle roztropną, ile ładną, wkrótce tuzinami liczyć będziesz wielbicieli. Dam ci stroje, w których zaćmisz najpiękniejsze kobiety w Krakowie i Warszawie, w koło ciebie cisnąć się będą tłumy współzalotników, każdy, bogaty i hojny, każdy będzie się domagał twego serca. O moje dziecko, ty będziesz bardzo szczęśliwą istotą!

Nie wiem dlaczego, ale słowa Angieliki pokryły oblicze moje rumieńcem, a ona mówiła dalej:

— Takie to jest życie kobiet, ma się rozumieć kobiet ładnych i mądrych, bo wiele z nich gubi zbyt-

nia duma i nierozwaga, która każe im kochać jakiego hołysza z pustą kieszenią, a słodkim i czułym głosem. O strzeż się tego, Anno, jak morowej zarazy. Wprawdzie głównem przeznaczeniem kobiety jest podobać się, podbijać i ulegać, ale...

— Co to znaczy pani — zapytałam, przerywając jej.

— Później się tego dowiesz, moja droga, jak zobaczysz pana wojewodzica, teraz słuchaj mię, moja duszo. Głównem przeznaczeniem jest kochać, lecz kochać tego, kogo jej starsi rozkażą.

— Jakto pani? wszak Pan Bóg każe kochać każdego człowieka.

— Któż ci to powiedział, mój aniołku — zapytała Angielika z szyderskim uśmiechem na ustach — zapewne w klasztorze tak cię uczono?

— Tak — odrzekłam, obrażona jej ironją.

— W klasztorze mieszkają, moja Anno, same fanatyczki, które wpajały w ciebie fałszywe zasady, nie dziw im się, to odosobnione, jednostajne, zamknięte życie, tak spaczyło ich wyobrażenie; zastanówże się, moje dziecko, czy można tak samo kochać starą Martę i pięknego młodzieńca... Dlatego też będziesz kochała wojewodzica, bo jest piękny, a ja uznaję go godnym twej miłości.

Jan w czasie opowiadania młodej kobiety, siedział jak skamieniały. Ohydne rady starej Włoszki przejmowały go zgrozą.

— O zbrodnio! — zawołał nareszcie — co za potwór był z tej nikczemnej kobiety! Ale mów, mów dalej, Anno, widziała, żeś tego wojewodzica? kochałaś

go, jak kazała Angielika? — pytał, drżąc z niecierpliwości młodzieniec, z niecierpliwości, jaką oddycha zbrodzień, słuchający ogłaszających mu wyrok, w którym niepewny jeszcze spodziewa się przebaczenia.

ROZDZIAŁ IX.

Od tego dnia zaczęła się druga część mego życia, mówiła dalej Anna. Nazajutrz, kiedym się obudziła, ujrzałam przy mojem łóżku elegancki strój. Obca jakaś kobieta przyszła mnie ubierać, włożyła nową suknię, której przepaska ściągnęła moją kibić, wolną dotąd od wszelkich więzów, utrefiła mi włosy, a ich pierścienie pierwszy raz w systematycznych lokach spadały na me ramiona. Gdym się ujrzała w lustrze, o mój Janie, nie umiem ci opisać stanu mej duszy. Wykrzyknęłam uradowana, rumieniłam się, uśmiechałam, byłam szczęśliwa i dumna, pierwszy raz obudziło się we mnie uczucie mej piękności. Przez chwilę zostawałam przed zwierciadłem, z dziecinnem upodobaniem przeglądałam się, obracając na wszystkie strony, wtem zcicha drzwi się uchyliły i weszła moja opiekunka. Natychmiast odstąpiłam na bok zawstydzona, że mnie w takiem zastała położeniu.

— Dlaczego się rumienisz, moje dziecko — rzekła z dobrocią Angielika. — Wszak piękność jest największą zasługą kobiety, dlaczegóż więc nie wolnoby jej było pysznić się tą pięknością? owszem, mój aniołku, powinnaś być dumną, że jesteś ładną, i pamiętać o tem zawsze.

Potem oświadczyła mi, że od dziś zacznę brać lekcye tańca i muzyki.

— I cóż mi po tem wszystkiem? — zapytałam Angielikę.

— O! bardzo one będą ci potrzebne, wkrótce wejdziesz w świat, a w towarzystwach, do których cię wprowadzę, kobieta bez tych umiejętności istnieć nie może; później sama się o tem przekonasz. Muzyka, Anno, jest głosem aniołów, mową miłości, a w ręku ładnej kobiety staje się bronią, która ułatwia jej najtrudniejsze zwycięztwa i przyspasabia tysiące tryumfów. Taniec zaś jest duszą zabawy i w tańcu wobec tysiąca bacznych oczu możesz przycisnąć do serca kochaną osobę, w tańcu unosisz się w wirze w inny świat, świat ułudy, wsparta na łonie lubego, i nikt tego nie uważa za złe, gdy tymczasem kiedyindziej potępią cię, gdybyś uścisnęła rękę mężczyzny, lub wsparła się tylko na jego ramieniu! Widzisz, jak nierozsądne są formy towarzyskie, czyż byłoby występkiem, gdyby kobieta rozumna nie stosowała się do nich, dla jakich ważnych pobudek.

— O nędznica! — zawołał uniesiony szlachetną zgrozą Jan — jak zręcznie umiała wykorzeniać z twego młodego serca zarody cnót, aby tem łatwiejszą utorować drogę dla występku! Tyś, nie wiedząc o przepaści, otwierającej się przed twemi nogami, przyjmowała jej rady!

— O nie pogardzaj mną, Janie — mówiła młoda kobieta — jam jej ufała zupełnie, nie obawiając się nieszczęść, jakie mi gotowała, bom o nich nawet wyobrażenia nie miała.

— O nie, Anno, nie zasługujesz na to! tyś zawsze godna uwielbienia! Bo byłażbyś winną, gdybyś pogrążona w głębokiej ciemnocie, dopuściła się najczarniejszej zbrodni. Tak, Anno! wstępowałaś na drogę ohydy, rozumiejąc, iż ona wiedzie do przybytku chwały.

— Tak jest, mój Janie, z posłuszeństwem postępowałam za jej radami, chociaż jakiś nieprzezwyciężony wstręt, jakieś okropne przeczucie wstrzymywało lękliwe moje kroki. A potem, od tego czasu dni moje całe zajęte, nie dozwalały mi nawet zastanowić się nad sobą.

Nie przymuszano mnie do nauki, jednak uczyłam się z zapałem, bo dawne czcze i jednostajne życie, znudziło mnie, a wszystko, co mi pokazywano, było dla mnie zupełnie nowem, i dlatego najmocniej zajmowało moją duszę, pragnącą posiłku.

Nauczyciele dziwili się nadzwyczajnemi postępami, bo przez zimę tylem zkorzystała, iż opiekunka moja uznała mnie za zdolną wyjść na świat w pierwsze dni wiosny.

Tego właśnie roku była koronacya króla Władysława w Krakowie, ze wszech stron królestwa zjeżdżali się panowie i szlachta na tę wspaniałą uroczystość, i Angielika postanowiła korzystać z tego zebrania.

Dom nasz od jakiegoś czasu przybrał postać ożywioną, mieszkanie zostało rozprzestrzenione i ozdobione, a moja opiekunka postanowiła przyjmować u siebie gości z osób znakomitych.

Pewnego wieczora, gdyśmy siedziały przy oknie, przyglądając się wjeżdżającemu do miasta orszakowi

księcia Janusza Wiśniowieckiego, Angielika zapytała mnie z dobrocią:

— Jak ci się podobają, Anno, te świetne ubiory dworzan księcia.

— Bardzo są piękne; zdaje mi się, że cały dzień patrzałabym na nie z przyjemnością.

— O, to jeszcze jest niczem moje dziecko w porównaniu z okazałością dworu, wytworem i gustownemi strojami dam, grzecznością kawalerów, elegancyą posłów zagranicznych, smakiem i przepychem włoskim... przekonasz się, jacy to są moi ziomkowie.

Wkrótce przedstawię ci pewnego młodzieńca, który cię kocha, który jest piękny i czuły, jak pasterz, hojny jak monarcha, a waleczny, jak Bóg wojny! Wkrótce, Anno, pojutrze zapewne, wejdziesz w świat w całym blasku swej piękności, a mężczyzni ujrzawszy cię, uklękną jak przed bóstwem.

Słowa mej opiekunki wprowadziły mie w zamyślenie, ciekawość moja ujrzenia świata, tak ponętnie odmalowanego mi przez Angielikę, zamieniła się w jakąś bojaźń. Pragnęłam ujrzeć tyle cudów i lękałam się tej chwili; sama myśl o zbliżeniu się tej uroczystej godziny przyśpieszała bicie mego serca, przejmowała mnie dreszczem.

Nareszcie nadszedł ów dzień. Całą noc spać nie mogłam. Rano zaledwie świtać poczęło, ulice napełniły się tłumami dworzan i szlachty. Około godziny 9-ej odezwały się dzwony we wszystkich świątyniach Krakowa. Moja opiekunka kazała mi się śpiesznie ubierać,

o 11-ej udaliśmy się do katedry, gdzie zebrane były wszystkie znakomite osoby, znajdujące się w stolicy.

Kiedyśmy weszły do kościoła, jakiś szmer rozszedł się pomiędzy obecnemi i widziałam wszystkich oczy zwrócone na siebie, nie śmiałam podnieść spojrzenia, bo gdziekolwiek rzuciłam wzrokiem, wszędzie spotykałam przenikliwe wejrzenia, pragnące przeniknąć do głębi mej duszy, czułam, że wszystka krew uderzyła mi na twarz, a pot zrosił moje ciało.

Nie byłam zdolna uważać nawet ceremonji uroczystości, nie wiedziałam co się wokoło mnie działo, jakaś dziwna trwoga odjęła mi władzę pojmowania.

Co chwila ktoś ze znajomych mężczyzn przybywał witać Angielikę. Ona przedstawiała mi go, mówiąc iż jestem córką zmarłego hrabiego *** powierzoną jej opiece. Oddawałam ukłony, nie podnosząc oczu, a przed ukończeniem nabożeństwa prosiłam mej opiekunki, aby opuściła kościół, dając za przyczynę mocny ból głowy.

Tłok był nadzwyczajny, tak, że wiele osób omdlało w ścisku, nam jednak utorowano wygodne przejście, bo każdy ustępował z drogi z grzecznością.

Kiedyśmy wróciły do domu, zapytałam Angieliki, dlaczego nadała mi fałszywe nazwisko, wszak oszukaństwo jest rzeczą nikczemną.

— Moje dziecko — odrzekła chytra włoszka — bez tytułu i świetnego imienia byłabyś niczem pośród tego błyszczącego tłumu, byłabyś tylko cackiem, które za byle co nabyć można, bo tytuł, moja duszo, jest jak szumna etykieta na pace towarów. A przytem, dziś cały świat jest zbiorem kłamców, wszystko czynią tylko dla

interesu, dlaczegóż i my dla interesu nie mamy popełnić kłamstwa, nikomu nieszkodzącego?

Takiemi to uwagami Angielika zwykle umiała uśpić we mnie wstręt do postępowania za jej radami.

Od tego dnia nie opuściłyśmy ani jednej uroczystości. Moja opiekunka oprowadzała mnie wszędzie. Tytuł hrabianki *** otwierał mi wstęp do dworu i znakomitych domów stolicy.

W Krakowie zaczęto o mnie mówić; każdy pragnął mnie widzieć, dlatego dom Angieliki co wieczór był napełniony najpierwszemi osobami. Przebiegła włoszka czekała pory, aby uczynić ze mnie ofiarę, nie taiła nawet przedemną swoich zamiarów, ale one mnie nie przerażały, bo nie mogłam pojąć całej ich okropności.

— O stara nędznica! — zawołał prawie mimowoli Jan, słuchając z oburzeniem opowiadania Anny. — I udały się jej brudne zamysły?

Oblicze młodej kobiety powlokło się smutkiem.

— Ach kończ, kończ, Anno, bo oczekiwanie, z jakiem słucham wypadku starań tej nikczemnicy, równa się mękom tortury!

— Jednego dnia — zaczęła dalej słabym głosem Żabicka — oświadczyła mi Angielika, iż spodziewa się wieczorem wielu znakomitych osób i kazała zająć się mym strojem. Anno, staraj się być piękną, wesołą i ujmującą, bo całe nasze szczęście zależy od dzisiejszego wieczoru.

— Jakim sposobem, pani? — zapytałam, nie pojmując jej myśli.

— Moja duszo, nie chciałabym przyniewalać twego serca, lecz już czas, abyś uczyniła wybór, twoi wielbiciele zaczynają się rozjeżdżać, niedługo może wszyscy opuszczą miasto, a nasze zamiary spełzną.

— Co za zamiary?

— Jesteś dziecinna, Anno, młode dziewice nic nie czynią same, ale wola starszych jest ich wolą! Idźże do swego pokoju i zajmij się strojem na wieczór, dziś przedstawię ci tego, który cię kocha oddawna.

Słowa te przejęły mnie jakąś dziwną trwogą, bałam się, a nie znałam przyczyny mej obawy.

Przeszło cztery godziny kobiety moje dręczyły mnie przy tualecie. O jakżem prosiła Boga, abym w tym stroju była jak najbrzydszą, lecz około godziny dziewiątej stanęłam przed lustrem i przekonałam się bez żalu, iż Bóg nie wysłuchał mych modłów.

Wkrótce Angielika wprowadziła mnie do sali, już napełnionej gośćmi.

Moje zjawienie się zrodziło ogólne poruszenie, ze wszystkich stron nas witano, każdy biegł z grzecznością, każdy ubiegał się o wejrzenie lub uśmiech, tak się przynajmniej wyrażali.

Po chwili znudzona, znużona i zniecierpliwiona weszłam odetchnąć do swego pokoju, gdy za mną wbiegła moja opiekunka.

— Ach Anno: wygrana zupełna wygrana! jesteś piękną jak anioł! wielbiciele twoi są w zachwyceniu, wojewodzic pragnie cię widzieć!

— Czegóż on chce odemnie? — zapytałam z trwogą.

— On sam ci to powie. Przygotuj się na jego przyjęcie.

— Jakto, tutaj?

— Tak jest.

— Wszak i w sali może mi to samo powiedzieć.

— Anno, porzuć to udanie, już nie jesteś dzieckiem, dziewczęta w twoim wieku są domyślne, a często nadto domyślne — wołała z gniewem stara włoszka — już czas, abyś mnie zrozumiała! On cię kocha, chce ci to wyznać i pragnie twej wzajemności!

— Lecz ja go nienawidzę! nie chcę go widzieć, ani słyszeć jego wyznania.

— Będziesz słyszała, przyjmiesz go natychmiast — rzekła stanowczo Angielika.

— Nie pani, nie przyjmę! — odpowiedziałam z rezygnacyą — czyń, co ci się podoba!

Zniecierpliwiona włoszka zaczęła biegać po komnacie, targając z gniewem chustkę, nareszcie przystąpiła do mnie i, uchwyciwszy za rękę, zawołała:

— A więc czy będziesz mi posłuszną! mów! mów, dziecko uparte!

— Nie — odrzekłam z ciężkością.

— O już zapóźny opór, moja owieczko! — rzekła z piekielnym uśmiechem, powściągając wściekłość — już zapóźno, już jesteś kupioną! Te bogate suknie, te stroje, te klejnoty, twoje pożywienie nawet, wszystko to jest za jego pieniądze! On ciebie kupił, on jest twoim panem! ma prawo ci rozkazać!

— O mój Boże! — zawołałam, w rozpaczy i zaczęłam zrywać z siebie te obmierzłe świecidła.

Moja opiekunka śmiała się ze mnie szyderczo.

— Ach, jak ci ten gniew do twarzy, gdy cię w tej chwili ujrzy wojewodzic na pewno uwierzy, że w tobie płynie krew włoska... Idę po niego!.. i wyszła.

Jej słowa, to szyderstwo odjęło mi przytomność; lecz myśl, że za chwilę przybędzie mój prześladowca, dodała mi odwagi. Zerwałam się i pędem strzały pobiegłam ku drzwiom, jak na skrzydłach przeleciałam korytarz i w przeciągu sekundy już byłam na ulicy.

Noc była ciemna, wszędzie pusto i spokojnie, przez chwilę biegłam na los, nareszcie opuściły mnie siły i upadłam na bruku. Niedługo usłyszałam odgłos męzkich kroków, chciałam się podnieść i uciekać dalej, lecz nie miałam dosyć siły. Zimny pot oblał moje ciało, gdym uczuła bezskuteczność moich usiłowań, zamknęłam oczy... Wtem zbliżył się do mnie jakiś mężczyzna, był to Grzegórz.

Spojrzawszy na mnie, zatrzymał się, a widząc omdlałą, podniósł i zaczął cucić.

— Ach, panie, ratuj mnie, na miłość Boską ratuj! — zawołałam, całując jego nogi.

— Przed kim mam cię ratować, moje dziecko?

— O schroń mnie gdzie, bo mnie ścigają! nikczemna kobieta sprzedała mnie mimo mej wiedzy!..

Dalej nie mogłam mówić, zabrakło mi tchu i znów upadłam na ziemię.

Grzegorz podniósł mnie na ręce i zaniósł do klasztoru pp. Karmelitek, gdzie jego ciotka była przełożoną. Lecz jakaż była moja radość i zadziwienie, gdy w niej

poznałem jednę z zakonnic klasztoru w którym się wychowałam.

Matka Michalina przyjęła mnie z czułą dobrocią, otoczyła swoją macierzyńską pieczołowitością, oświeciła mój zaniedbany umysł i wzniosła szczytnemi naukami duszę. Od niej dowiedziałam się, że moi rodzice byli posiadaczami wioski w lubelskim, że umarli razem w czasie grasującej zarazy...

— I nazywali się! — zawołał Jan, nagle przerywając opowiadanie Anny.

— Nazwiska nie pamiętała, bo jej zgrzybiały wiek osłabił pamięć, lecz oddała mi szkaplerze, które miałam na szyi, gdy mnie przywieziono do klasztoru. Na nich jest napis. Patrz, Janie — rzekła młoda kobieta, zdejmując z szyi czarną tasiemkę z wiszącemi u niej dwoma kawałkami czarnego sukna.

Jan uchwycił chciwie owe szkaplerze i wyczytał.

„Módlcie się za waszych rodziców, Annę i Mateusza“.

— Anna i Mateusz, to imiona moich rodziców!.. wioska w której mieszkali nazywała się Trościannice...

— Tak, tak, Janie.

— Siostro droga! — zawołał młodzieniec, przyciskając Annę do swego łona.

ROZDZIAŁ X.

Po wysłaniu posła do Stambułu i cofnięciu się baszy Albasi za Dunaj, nim przyszła wieść o wypowiedzeniu wojny przez Amurata, rycerze polscy wrócili do swych domów.

Już twarda jesień ogołociła z miłych powabów ziemię, nastały słoty i wichry jesienne, kiedy wszystkie drogi od Dniestru pełne były powracających wojowników.

W owym czasie prócz husarzy, towarzyszy pancernych i małej liczby wojska kwarcianego, nie było regularnego żołnierza i całą prawie siłę zbrojną rzeczypospolitej, stanowiła szlachta, która jak na odgłos wojny zbierała się rączo, tak też po przeminieniu pierwszego niebezpieczeństwa, lub ustąpienia nieprzyjaciela z granic, rozbiegała się do swych domów. Dlatego też teraz, gdy turcy cofnęli się za Dunaj i Aleksander Trzebiński dla powrócenia pokoju został przeznaczony na posła do Porty, tłumy wojowników polskich, wracających bez ładu, napełniały drogi.

* * *

Wieczór był pochmurny — jak oblicze starca, ciemny — jak myśli mistyka, smutny — jak rozłączenie z lubą i nieprzyjemny — jak miłość pięćdziesięcioletniej kobiety. Deszcz z wichrem mżył nieustannie, po niebie błąkały pasma rozszarpanych chmur, kiedy niekiedy błysnął księżyc swem jasnem obliczem, lecz nikł w tejże samej chwili, zostawiając ziemię pogrążoną w większej jeszcze ciemnocie.

W oddaleniu, na rozjaśnionym nieco wieczorną zorzą horyzoncie, czerniały się gdzie niegdzie słomianne dachy budynków, a wśród jednostajnego szumu wiatru dolatywał odgłos szczekania psa, jedyny znak życia w pośród tej śpiącej natury.

Wkrótce odezwał się tętent wolnego stępu końskiego. Drogą, zalaną kałużami deszczowej wody, jechał jakiś mężczyzna; ciemność nie dozwalała dojrzeć rysów jego twarzy, lecz rycerska postawa, a bardziej jeszcze świecący pancerz, pokrywający jego piersi, janczarka, przewieszona przez ramię, i ciężka szabla u boku, zdradzają jego wojskowy stan, a znużony i leniwy krok jego konia dowodzi, że musiał odbyć daleką podróż.

Czasami z ust jeźdzca wyrywały się gorzkie wyrazy, prawica ściskała żelazną przyjaciółkę szablę, lecz wkrótce następowała chwila upamiętania, uciśnięta pierś wydała westchnienie i jeździec z poddaniem opuścił znów na chwilę głowę.

— O szczęśliwa młodości! — odezwał się wojak — o drogie niedoświadczenie, miła niewiadomości, pocoście mnie opuściły! pocoście ludzie zdarli z mych oczu zasłonę? czy dlatego, abym, ujrzawszy waszą chytrość, obłudę fałsze i podstępy, przestał was kochać?.. O milej stokroć milej, zapomnieć o was, zaprzeć się siebie samego, zrrucić nieznośny ciężar towarzyskiego życia i ukryć się zdaleka od was w pustyni!.. Lecz już zapóźno, życie nie do mnie należy, z mem istnieniem połączone są losy drugiej istoty, powinienem żyć dla niej, bo ona swe młodociane lata, ich marzenia, nadzieję, dla mnie poświęciła; dla niej jednej żyć powinienem,

ona osłodzi zaprawione goryczą przez braci dni moje, ona nie zna fałszu, nie zna obłudy, ani oszukaństwa!.. O droga Anno, wybacz, iż wydarłem tobie tyle dni błogich, aby poświęcić je braciom, niewdzięcznym, przewrotnym, którzy za me przysługi nazwali mnie burzliwym, w nagrodę poświęcenia życia dobru ogólnemu okryli hańbą!..

Ach zaszumiałeś szalony wichrze! dzięki tobie, dzięki, twój miły głos usypia żar palącej mnie zemsty!.. o głośniej, głośniej, wiatrze, zagłusz jęki mego serca i burze duszy!.. Ach głośniej, gromie! głośniej, twój ryk, który wstrząsa ziemię w jej posadzie, nie jest jeszcze tak silny, jak głos mego serca, wołający bez ustanku zemsty, zemsty, zemsty!!!..

Wtem koń podróżnego nagle stanął wśród drogi i, parsknąwszy, wspiął się na przednie nogi.

— Stój, stój, mój wierny towarzyszu! co ci się stało? czyś szatana gdzie spostrzegł przyjacielu?

— Nie, to może tylko jego siostrę, powiesz, litościwy rycerzu — odezwał się głuchy głos niewieści nad drogą.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał przelękniony jeździec — toś ty jest, Marto?

— Tak jest, łaskawy wojaku, to matka Adyla, któregoś jej powrócił na pobojowisku w Multanach. Bądźże miłosiernym, panie, opatrz biedną żebraczkę czemkolwiek.

Jeździec i rumak stali, jak wryci śród drogi, a przed nimi wysoka postać żebraczki, powiewająca łachmanami; podróżny nie mógł wyrzec ani jednego wyrazu, jakiś

rodzaj niewieściej trwogi owładnął jego duszą, drżał całem ciałem, wpatrując się w oblicze sybili.

— Jedź w swoją drogę, rotmistrzu; niech cię Bóg prowadzi, może kto inny będzie szczodrzejszy! Pan, co daje pokarm drobnym robaczkom, nie dozwoli mi umrzeć z głodu.

Rotmistrz jakby posłuszny rozkazowi żebraczki, uderzył konia ostrogą i ruszył naprzód szybkim krokiem, nie śmiejąc spojrzeć za siebie. Wkrótce wjechał w wieś Krassy, gromada psów obskoczyła go, szczekając, lecz, poznawszy pana, poczęła się łasić, biegnąc przed koniem.

Jeździec zatrzymał się u drzwi domu Anny Żabickiej, zeskoczył śpiesznie z rumaka i przybiegł do wrot; lecz były zamknięte, począł sztukać, ale nikt się nie odzywał. Podróżny bez wahania przełazi oparkanienie i bieży ku drzwiom, lecz i te zastaje zatarasowane. Nie chcąc zapewne sztukaniem zbudzić młodej pani domu, już miał odejść, zamierzając zapewne udać się do oficyny, zbudzić służących i przenocować w czeladnej izbie, gdy spostrzegł przez szparę okienicy światło, śpiesznie przeto przystąpił do okna i, wspiąwszy się do otworu zajrzał wewnątrz.

— Wszechmocny Boże! — zawołał, cofając się wstecz — wszak to Anna, to moja żona w objęciach Jana, tego zdrajcy! Najwyższy Panie, czy to sen? I zaczął przecierać oczy, jakby pragnąc się przekonać, czy jest na jawie, czy marzy? Potem znów spojrzał do komnaty, przed kominem siedziała Anna naprzeciw niej młody wychowaniec Sieniuty, on z zapałem jej dłonie przy-

ciskał do swego łona, ona, zroszony łzami wzrok utopiła w jego młodzieńczej twarzy, słuchając mowy, potem z wykrzyknieniem rzuciła się na jego łono.

Żabicki ze wstrętem i oburzeniem zakrył rękami oczy, dziki jęk wydarł się z jego piersi, w konwulsyjnem poruszeniu porwał za szable, potem rzucił ją od siebie i zerwał z ramienia janczarkę.

— Boże, przebacz mi! — zawołał z uniesieniem.

Przyłożył broń do otworu w okiennicy, błysnęło, ponury odgłos rozległ się w około, echo powtórzyło go w oddali, wierny kundel zawył podedrzwiami, a Żabicki odbiegł od okna, przeskoczył płot, dopadł rumaka, utopił ostrogi w jego bokach i puścił się pędem strzały.

Już ranna zorza niewyraźnym odblaskiem poczynała bielić horyzont na wschodzie, zbladły księżyc tuli swe chude oblicze w puchu obłoków, gwiazdy ponikły, drobne ptaszęta, przebudzone ze snu, nucą pieśń poranną, sławiąc dobroć Pana, a Żabicki pędził na koniu, okrytym pianą, pędził, niewiedząc sam dokąd, uciekał, niewiedząc przed kim, bo nikt z mieczem sprawiedliwości nie ścigał za nim, biegł przed własnem sumieniem, przed sobą samym.

Jakiś okropny, gromowy głos powtarzał mu za uchem straszne słowo: zabójco!.. a on pędził przez pola i doliny, nie wiedząc może o tem, że biegnie, bo głowa jego pałała, krew wrzała, a wszystkie przedmioty, przybierając szydercze postaci, chychotały śmiechem piekielnym, tańcząc przed jego koniem. Grzegorz zamykał oczy; lecz trudno zakryć oczy duszy, a wszystkie te okropne obrazy dusza jego stwarzała.

Słońce już wzniosło się do najwyższego punktu, a Żabicki pędził jeszcze. Koń, skrwawiony wędzidłem, okryty kurzem i pianą, a jeździec znużony, spocony, jak obłąkany biegł przez pola, lasy i góry, bo pan nie kierował jego biegiem, lecz tylko naglił do szybszego.

Słońce opuściło się za zielony las. Żabicki biegł nieustannie, bo okropne słowo: zabójca! brzmiało w jego słuchu, jak trąba anioła w dzień sądu ostatecznego.

Noc szara swym cieniem otoczyła ziemię, Grzegorz zbliżył się do pobliskiego boru, rumak wbiegł między wyręby, potknął się o pień i padł razem z swym panem...

. . . . . .

Ten szalony, wietrzny bieg i jeźdzca i konia utrzymywał przy życiu, upadłszy, obaj zostali martwi...

Długo nieszczęśliwy rotmistrz leżał bez przytomności, nie dając najmniejszego znaku życia; lecz chłód nocny orzeźwił jego siły, uśmierzył napływ krwi na mózg i przywrócił władze pojęcia.

Kiedy otworzył oczy już słońce powstało w swych złocisto królewskich szatach: żadna chmurka nie śmie dotknąć stóp pana światłości. Ożyła natura po nocnym spoczynku, kwiaty podniosły swe świetne oblicza, ukryte przed nocnym chłodem w miękkim puchu trawy, piękniejsze i żywsze po spoczynku. Ptaki nucą weselej i drzewa zielenią się świeżej, cała natura oddycha szczęściem i wesołością a w duszy rotmistrza jakaż okropna żałoba, jakaż sprzeczność!

Wypadki, zaszłe dnia wczorajszego, jak przykry sen stanęły Grzegorzowi w umyśle, lecz, niestety, wszystko

to było rzeczywistością! Jego wierny towarzysz boju, ulubiony rumak, leżał martwy o kilka kroków; z drugiej strony ujrzał zabójczą broń ze spuszczonym jeszcze i zadymionym zamkiem, wszystko to przywiodło mu na myśl, że wczoraj jeszcze miał ojczyznę, żonę, dom, dziś, jest tułaczem bez imienia, kraju i przyjaciół, bo zbrodnia wydarła mu wszystko.

— O Boże! ukarałeś mnie okropnie! potępiłeś, odrzuciłeś, i gdzież się udam!.. Duchy ciemności, siły piekła! was wzywam, błagam waszej pomocy... Wysłuchajcie próśb człowieka, zdradzonego przez ludzi, prześladowanego od losu, przeklętego od Boga!.. Ach usłyszcie mnie, usłyszcie, pomóżcie mi!

Zemsta będzie celem mego życia, nienawiść ludzi, moim hasłem, a zbrodnia żywiołem!

Potem zerwał się, podniósł swoją wierną janczarkę, zarzucił ją na ramię i pobiegł w las. Po godzinnej przeszło podróży, trafił na olbrzymie ruiny starożytnego zamku. Ten widok zniszczenia miał jakiś nieopisany powab dla Grzegorza, dlatego mimo znużenia szedł między walące się arkady.

Obszerne te zwaliska groźnej niegdyś warowni ciągnęły się od wschodu na zachód, po nad lewym brzegiem małej rzeczki. Żelazna ręka czasu skruszyła twarde mury. Dziedziniec zasłany był gruzem, a chwasty wyrosły pod progami. Cisza, towarzyszka zniszczenia, zaległa komnaty, potłuczonemi oknami wleci czasem wicher, by zawyć jak potępieniec. Zielsko czepia sie spękanych murów i sowy goszczą po basztach, a przecież kiedyś i tu rozlegać się musiały wesołe śpiewy i skle-

pienia odbijały szczęk broni, lecz czas, a może nieszczęścia, zmieniły wszystko. Wymarli ci, co zamieszkiwali te gmachy, może ich dziki uprowadził nieprzyjaciel, może zbrodnia jak mnie zmazała ostatniego dziedzica, a jej pogarda wypędziła mieszkańców z twierdzy, którzy pozwolili rozsypać się w gruzy siedzibie swych przodków... O dziwni, okrutni, nędzni ci ludzie!.. swą obłudą, podstępem, nikczemnością, przywiodą cię do zbrodni, a gardzą tobą, gdy się jej dopuścisz. O nędzni szaleńcy, chytrzy kłamcy!

Takiemi przejęty myślami Grzegorz wyszedł na równinę, przytykającą do zamku od strony północnej, a z dala w stepie ujrzał pasterzy i stada owiec. Głód zaczął dokuczać mu coraz mocniej, zmuszony został przeto zbliżyć się do ludzi po pożywienie.

Pasterze, ujrzawszy wychodzącego z ruin zamkowych i zbliżającego się do nich człowieka poczęli uciekać.

— Na gorące piekło i wszystkich szatanów! czy na czole mojem wyryte jest piętno zbrodni, że ludzie przedemną uciekają — zawołał ze wściekłością Grzegorz — więc mam umrzeć z głodu, jak stary wyżeł nie zdatny myśliwcowi! o nie! zawołał — zrywając z ramienia janczarkę — stójcie, lub trupem was położę!

— O zmiłuj się nad nami, Boże! — zawołał jeden z wieśniaków. — Najświętsza Panno, broń mnie!

— Czego uciekasz, gapiu? — zapytał rotmistrz.

— O wybaczcie panie! wy nie jesteście potępieńcem z Balaklaju — rzekł błagalnie starszy z wieśniaków.

— Nędzniku! kto ci to powiedział, że w tych ruinach przebywa potępieniec? kto? mów!

— Panie dobrodzieju mój, wybacz mi! — błagał wieśniak, padając na kolana — od dawnych czasów matki nasze jeszcze pamiętają, że w Balaklaju mieszka zły duch, cóż my temu winni!

— Lecz kto wam powiedział, że ja jestem tym potępieńcem!

— O daruj nam, panie, ale nikt z ludzi nie śmie zbliżyć się do ruin, każdy to życiem przypłaci... a wyście ztamtąd wyszli.

Grzegorz zamyślił się, ten postrach, jaki rodzi w gminie, podanie o ruinach Balaklaju, może dla niego być korzystnym, zwaliska te mogą udzielić wygodnego i bezpiecznego schronienia.

— Czy nie sprzedalibyście mi pożywienia, jestem zgłodniały — rzekł po chwili Grzegorz.

Wieśniacy z niedowierzaniem spojrzeli mu w oczy, a starszy odezwał się śmielej.

— Dobrze, panie, ale udasz się z nami do naszej chaty.

— Nie, tu mi przyniesiecie.

— Ale się pan zatrzymasz chwilę — odezwał się wieśniak — a ja pobiegnę do domu.

— Nie, ja pójdę — zawołał młodszy, obawiając się zostać z potępieńcem.

— Dobrze, będę czekał, biegnij! — rzekł Grzegorz.

I wieśniak pognał do chaty.

W kilka chwil wrócił, obciążony koszem chleba, słoniny i owoców. Grzegorz wydarł mu z rąk ten ocze-

kiwany ciężar, rzucił srebrny pieniądz i udał się do ruin, a dwaj chłopcy długo patrzeli za nim z przestrachem. Już zmroczało, gdy Żabicki, pokrzepiwszy się nieco pokarmem, wyszedł znów na dziedziniec zamkowy, w celu przejrzenia zwalisk. O kilkanaście kroków ujrzał słabo tlejące ognisko i kilka szarych postaci, leżących w około. Domyślił się łatwo, że to są owe złe duchy Balaklaju, a pragnąc ich poznać bliżej, postąpił ku nim parę kroków.

— Kto idzie! — zawołał jeden z leżących, zrywając się na nogi.

— Potępieniec — odrzekł spokojnie, postępując dalej Grzegorz.

— Czego tu chcesz? jak śmiałeś wejść w te miejsca!

— Tak jak i wy.

— Śmiałku! życiem przypłacisz twoją nierozwagę!

— Dobrze, lecz kto wam nadał to wyłączne prawo zajmowania tych ruin? — zapytał zimno Żabicki.

— My sobie sami!

— Dobrze, i używaliście tego prawa, dopóki go wam silniejszy nie wydarł. Otóż dziś ja go wam odbieram, ja przywłaszczam go sobie! to mówiąc zdjął z ramienia janczarkę, cofnął się parę kroków i skierował ją ku napastnikom.

— Rzućcie broń i wynoście się ztąd, śmierć temu, kto się waha.

Trzej mieszkańcy ruin porwali się do oręża, lecz kula janczarki Grzegorza powaliła najbliższego i nim dwaj inni zdołali podnieść ramiona, już ujrzeli skierowane ku sobie dwie rury pistoletów.

Widok ten wstrzymał ich porywczość, obaj opuścili ręce z pokorą.

— Jedno słowo, odważny człowieku! — zawołał jeden ze zbójców — przebacz nam, wszak znajdziemy tu miejsce dla wszystkich.

— Nie, nie cierpię sąsiadów! chcę być samowładnym panem w tych miejscach, albo opuśćcie te ruiny, lub zostańcie bez woli, zostańcie niewolnikami.

— Niechże wiemy, kto nami będzie rządził?

— Ja, Grzegórz.

— Kto ty jesteś?

— Ten co i wy z rzemiosła, lecz mężniejszej duszy.

— Twoje nazwisko?

— Nie mam żadnego, czyż wam nie dosyć, żem nieustraszony, rzućcie broń, lub śmierć obydwom, kto się poruszy z miejsca uzbrojony, pierwszy umrze!

— Rycerzu! jesteś godzien być naszym wodzem, twoja odwaga nadaje ci do tego niezaprzeczone prawo — rzekł jeden ze zbójców, rzucając pod nogi Grzegorza starą rusznicę i pałasz, drudzy poszli za jego przykładem — teraz, mężny nasz władzco, jakie twoje rozkazy? czekamy ich.

— Wielu was przebywa w tych ruinach? — zapytał nowy bandyta.

— Pięciu, wodzu.

— Kto jest waszym naczelnikiem?

— Ten, który poległ przed chwilą.

— A gdzie dwóch jeszcze towarzyszy?

— Poszli po żywność.

— Jakie wasze zatrudnienie?

— Napadamy na kupców z Oczakowa — odrzekł zbójca — lecz wychodzimy na takie wyprawy bardzo rzadko i aż o cztery mile ztąd w wąwozy, aby nie wydać naszego schronienia.

Wtem odgłos kroków ludzkich dał się słyszeć w bliskości.

— To nasi — rzekł drugi zbójca.

— Rozbrójcie ich — polecił Grzegorz — i przyprowadźcie do mnie.

Dwaj bandyci bez wahania w jednej chwili dopełnili jego rozkazu.

— Wasz dawny naczelnik — przemówił Żabicki do nowo przybyłych, wskazując na ciało bandyty — już nie żyje, jeżeli wam się podoba, możecie pozostać pod memi rozkazami, jeżeli nie, odejdźcie!

Dwaj łotry z zadziwieniem spojrzeli na swych towarzyszy.

— Zostańcie — rzekł do nich jeden ze zbójców — nasz nowy wódz godzien nami rządzić.

— Jakto, co to wszystko znaczy, kto ustanowił go wodzem?

— My, my — zawołali obadwa razem.

— Ha, niechże tak będzie, wyście doświadczeńsi — rzekł jeden z nowo przybyłych — więc zostajemy.

— Dobrze, lecz wysłuchajcie mych praw, bo niewykonywający ich śmiercią karany będzie. Jeszcze możecie odejść, zastanówcie się... Jestem nieograniczonym panem życia i śmierci każdego z mych ludzi. Tchórz, nieposłuszny i litościwy, miejsca u nas nie ma. Dotąd byliście pospolitymi złodziejami, drżeliście przed suro-

wością prawa... Teraz staniecie się postrachem okolicy, teraz przed wami drżeć będą ci, których wy lękać się powinniście! Kto nosi imię człowieka, jest naszym wrogiem... Ubogi, nędzny, prześladowany, zasługuje na niejaką względność i opiekę. Szczęśliwy, możny, potężny, na naszą nienawiść!.. Śmierć, mordy i postrach to nasi towarzysze... Męztwo i zemsta, naszem hasłem!

— Vivat nasz wódz! Męztwo i zemsta!.. — zawołali czterej nowi podwładni Grzegorza.

ROZDZIAŁ XI.

Niedojeżdżając do tatarskich szlaków, nad drogą, wiodącą do Oczakowa, przy wjeździe do lasu, stał nędzny budynek; głęboko zapadłe w ziemie jego ściany, pochylony dach i małe zabrudzone okna, niezbyt korzystne dawały wyobrażenie tak o zamożności jej gospodarza, jakoteż mieszkańców! Wielkie wjazdowe wrota w samym środku budynku i gałąź choiny, nad niemi wisząca, były oznaki zapowiadające, że dom ten był świątynią północnego Bachusa.

Wnętrze tego przybytku stanowiło zupełną sprzeczność z jego powierzchownością. Wielka izba gościnna w tej chwili była napełniona tłumem biesiadujących, wśród którego postać uwijającego się karczmarza, jak Hebe w pośród uczty bogów Olimpu, a bezustanne wołania Judko, kwartę wódki, Judko, półgarnca miodu, Judko garniec piwa i t. p. pośród szczęku kufli, gwaru i krzyku pijących, rozlegały się jak komenda wodze

wśród bitwy. Usłużny Judko starał się wszystkim zadość uczynić, dlatego też odwiedzający jego karczmę nazywali go powszechnie poczciwym żydem.

Nie wiemy, o ile na ten przydomek zasłużył, lecz zwróćmy uwagę na jego postępki, a zdołamy ztąd jakiś wniosek wywieść.

Oblicze karczmarza cechował wyraz głupoty, albo naiwnej dobroduszności, na ustach gościł wiecznie prawie serdeczny uśmiech, a ożywione oczy biegały na różne strony jak u dziecięcia, ścigającego wzrokiem cacko. Łyse czoło zawsze wypogodzone ginęło w czarnej krymce, z pod której wypływające z obu stron pęki siwych włosów jeszcze więcej łagodziły jego fizyonomją. Dodajmy do tego drobną postać uwijającą się z nadskakującą grzecznością na różne strony i zadziwiającą usłużność w kredytowaniu, a będziemy mieli zupełne wyobrażenie o poczciwym żydzie.

Portret ten karczmarza podobnym był do niego wtedy tylko, gdy jego oryginał wiedział, iż nie jest sam, gdy się znajdował w przytomności osób obcych, mogących zwracać na niego uwagę. Ale kiedy gościnna izba jego karczmy się wypróżniła, gdy domownicy rozeszli się na spoczynek, a Judka zamknął się w swej stancji, gdy odsunął skrytą w murze umieszczoną skrzynię, napełnioną kosztownościami i złotem, gdy dźwięk tego metalu obił się w uchu żyda, wtedy ta głupowata fizyonomja pozbyła się swej maski i przybrała wyraz okropny. Jego wejrzenie ożywiał dziki zapał, cechujący wzrok hyjeny, czyhającej na zdobycz, ze zwierzęcą radością zanurzał drżące od radości ręce w złocie, pieścił

się niem, szeptał niezrozumiałe wyrazy, klękał i śmiał się dzikim rykiem tygrysa, lecz najmniejszy szelest wywodził go z tego zachwycenia, wówczas porywał nóż, leżący na wierzchu jego skarbów, z bacznością przysłuchiwał się odgłosowi, a gdy ten ucichł, Judka z nożem w zębach z pośpiechem zamykał skrzynie i późno w noc stał na straży swych zbiorów. Czasami nocną porą opuszczał swoją kryjówkę tajemniczem wyjściem, szczelnie wyrobionem w podłodze i zastawionem wielką skrzynią. Podziemie to prowadziło o kilkanaście sążni od jego mieszkania w las, gdzie olbrzymi wypróchniały dąb z niedojrzanemi drzwiczkami stanowił jego początek. Z tych nocnych wycieczek, wracał zwykle śpiesznie, obciążony złotem. Czasami znów po kilku ludzi odwiedzało jego kryjówkę, temże samem wejściem, a w ich przytomności Judka znów był tak usłużny, tak nadskakujący jak w pośród swych gości. Rozmowy ich trudno było dosłyszeć, prócz pochwał, jakie dawano karczmarzowi, nazywając go grackim żydem, przebiegłym szatanem, chytrym lisem i t. d. Po parogodzinnej rozmowie nocni ci goście opuszczali zwykle kryjówkę żyda, nie zostawiając żadnego śladu swej bytności, jak tylko iż nazajutrz Judka zwykle opuszczał dom, odjeżdżając czasem na parę dni.

W czasie nieobecności karczmarza zastępował go w tej czynności jego syn, 17-letni chłopak ze zgrzybiałą babką, którzy. jak się zdawało, do tajemnic Judki nie byli przypuszczeni.

Dzień, w którym wprowadziliśmy czytelnika do gospody żyda, był piątkowym, dlatego też towarzystwo,

napełniające jego izbę gościnną, było liczniejsze, gdyż szlachta zwykła trunkiem rozgrzewać postne potrawy.

Nadto dodać winniśmy, że od wypadków, opisanych w poprzedzającym rozdziale upłynęło lat kilka.

Główną osobą stanowiącą niejako ognisko całego tego gwarnego towarzystwa, był średniego wzrostu mężczyzna, dobrej tuszy, księżycowego oblicza, z porąbaną łysiną, z wielkiemi szpakowatemi wąsami i podgoloną czupryną; był to pan Jacenty z Sadokrzyc, stary dworak, tęgi samochwalca, jeszcze większy gaduła, niezły rębacz, lecz wyśmienity suszykufel, wdowiec, prowadzący życie awanturnicze, jak zwykle ludzie jego stanu w owej epoce. Pan Jacenty był pierwszym, gdzie wiele mówiono, lub kłócono się, drugim, gdzie się rąbano, lecz niezawodnie ostatnim, gdzie trzeba było walczyć mężnie, a jeszcze przeciw większej sile.

Obok niego zaraz siedział szlachcic wysokiego wzrostu, bladego oblicza, w ciemnym kontuszu, z wytartemi łokciami, mało mówiący, a najczęściej tylko tak, lub nie. Był to pan Bonifacy, zawołany jurysta, uparty, zarozumiały i sknera do tego stopnia, iż dałby się w sztuki porąbać, gdy miał ustąpić komu grosz w sporze. Pan Bonifacy rzadko bywał w gospodzie i to tylko wtedy, gdy miał pić na cudzy rachunek.

Naprzeciw niego siedział mężczyzna nizkiego wzrostu, średniej tuszy, którego zwykle Janem Wojnickim podczaszycem nazywano. Pan Jan miał około trzydziestu kilku lat, był miłego oblicza, na jego wysokim czole, widać było męztwo i nieulęknioną odwagę; posiadał charakter szlachetny, siłę ogromną, mimo swej szczupłej

budowy, był nadzwyczaj zręczny w robieniu szablą, najdzikszego rumaka dosiadał z łatwością, pił nieźle, lecz rąbał się nieporównanie choć bardzo rzadko, zwad nie lubiał a nawet unikał, jednak go się obawiano; był dobroczynny, łagodny, litościwy, a jednak nie bardzo lubiony od panów braci, którzy pocichu przezywali go mnichem.

Naprzeciw stał jego brat młodszy, pan Wincenty, wyższy od Jana, silnie zbudowany, z marsowem wejrzeniem, porywczy, pasjonat, zresztą człowiek uczciwy, choć nieco zarozumiały i próżny.

— Wstyd, panowie bracia, wieczna sromota na całą szlachtę naszej okolicy! — wołał pan Jacenty, stawiając z całych sił cynowy kufel na stole — mamy cierpieć pod nosem takiego rabusia, mamyż patrzeć, jak zabiera nasze dobytki, jak rozbija w pośród nas przejeżdżających bezkarnie, jak czyni, co mu się podoba!.. a my milczemy, rdzewieje szabla przy naszych bokach, a my nie obmyjemy jej we krwi Białego Grzegorza i jego bandy!..

— Zapomniałeś, panie bracie Jacenty, że jego banda ze dwustu chłopa liczyć musi — odezwał się z uśmiechem pan Jan — a my zaledwie ze dwudziestu towarzyszy zebrać potrafimy.

— Zapewne, że nie więcej — dodał brat jego — zwłaszcza teraz gdy wojewoda wyprowadził wszystkich wojaków ze swoją chorągwią naprzeciw turka.

— I dlatego też — odezwał się Bonifacy — Biały Grzegorz używa swobody, wie, że mu nikt w drogę nie wejdzie, rozbija przed naszemi oczyma mimo praw i jego stróżów.

— O prawda, że korzysta ze sposobności — odezwał się jeden ze szlachty — słyszeliście o wypadku kasztelanowej Lesińskiej.

— Cóż takiego, nic nie wiemy?

— Wszak to już małe dzieci powtarzają.

— Lecz my nic nie słyszeliśmy.

— Otóż zeszłej niedzieli pan kasztelan ze swą połowicą pojechał na odpust Najświętszej Panny do Białocerkwi. Po nabożeństwie Lesiński, zeszedłszy się z panami bracią, wypróżnił zapewne kilka kufli węgrzyna i został jak nieżywy. Jejmość, niemogąc się doczekać męża, już pod wieczór ruszyła do domu, a miała jechać tęgich ośm mil. Wtem jedną razą z poza krzaków wypada łotr z pistoletem w ręku i woła: stój! pani kasztelanowa słyszała nieraz o Białym Grzegorzu, a ujrzawszy napastnika, jego wielkie śnieżne włosy i groźne wejrzenie, łatwo domyśliła się, kto to jest i struchlała ze strachu. Służba także cała została jak bez duszy, a było ich sześciu ludzi.

Zbójca prosi grzecznie o kabzę z pieniędzmi. Jejmość wie, że wzdraganie na nicby się nie przydało, jako niepyszna oddaje wszystkie pieniądze, łotr prosi o pierścienie i łańcuch ze szyi, ona i tego nie odmawia. Potem ten urwis, ukłoniwszy się grzecznie, rzekł z uśmiechem:

— Bądź że mi jejmość dobrodziejka zdrowa, przepraszam, jeżelim nabawił ją strachu, bardzo przepraszam! A z wami — dodał, obracając się do sług — jeszcze się porachuję — i uderzył w dłonie, a z poza krzaków wybiegło kilku ludzi — abyście na drugi raz lepiej strze-

gli i bronili swej pani, muszę wam dać pamiątkę, połóżcie no ich!

Zbójcy porwali każdy swego, związali i, położywszy, wsypali po kilkadziesiąt nahajów, potem kazali jechać za panią!

— O łotr przeklęty, infamis!

— Ale ja wam powiem jeszcze coś lepszego — odezwał się drugi — parę dni temu, owego dnia, kiedy rozbito tego bogatego pana z Mazowsza, rajcy z Moszny, zebrani u burmistrza, rozprawiali o sposobach, jakby złapać Białego Grzegorza i jak go ukarać dla przykładu innym. Jeden z obecnych mówił: iż, uchwyciwszy tego łotra, kazałby go powiesić nade drogą i nie zdejmować, dopókiby ptactwo nie rozerwało jego ciała, inny znów radził, aby go spalono na stosie, burmistrz chciał, aby z uciętemi rękoma wystawiony był na widok publiczny.

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi Biały Grzegorz z drugim barczystym zbójcą, a postąpiwszy na środek komnaty, rzecze:

— Łamiecie sobie głowy nad sposobem, jak mnie ująć, otóż ja sam przychodzę do was. Panie burmistrzu, jakże każesz mi poucinać ręce? bądź-że łagodniejszym, to zbyt sraszna kara.

Ale burmistrz i wszyscy obecni ze strachu i przerażenia nie byli w stanie wymówić słowa.

— I czemuż milczycie, jak kamienne posągi, panowie radni! jakąż śmiercią będziecie karać Białego Grzegorza? — zapytał z uśmiechem — widzicie, jacy z was tchórze, boicie się mnie jednego, a pragniecie się ze

mną mierzyć, gdy jestem pośród swych towarzyszy. Za waszą chełpliwość zapłaćcież karę. Proszę oddać, co tylko który ma kosztownego przy sobie.

I każdy oddał, co tylko posiadał: pierścienie, bogate spinki, łańcuchy, worki i tym podobne rzeczy.

— A ty, panie burmistrzu, gdzie są pieniądze? śpiesznie bez ceremonji, musisz największą ponieść karę, boś się najwięcej przechwalał.

Ale burmistrzowi żal było złota, drżał tylko ze strachu, nie mogąc wymówić ani słowa.

— On zaniemówił — rzekł Grzegorz, niecierpliwiąc się zwłoką. — Tomaszu, podetnij mu języka, może się odezwie.

Zbójca wydobył błyszczący nóż i postąpił ku nieszczęśliwemu, który jak w febrze dzwonił głośno zębami.

— Panie! weź wszystko, a daruj mi życie! — zawołał, padając na kolana przed oprawcą.

— Gdzie są pieniądze? — zapytał powtórnie Grzegorz.

Burmistrz wskazał na szkatułkę, stojącą pod łóżkiem.

Bandyta rozkazał ją zabrać swemu towarzyszowi. A kiedy ten schylił się ku łóżkowi, jeden z obecnych, siedzący najbliżej drzwi, porwał się z swego miejsca i wybiegł z komnaty.

W tej chwili w pierwszej izbie rozległ się przeraźliwy krzyk. Grzegorz odwrócił się śpiesznie i na pierwsze wejrzenie zrozumiał, co się stało.

— Biedak! myślał, iż Biały Grzegorz posiada tak mało rozumu jak on — rzekł z uśmiechem — mniemał, zem drzwi pozostawił wolne, o tępa głowa, od roku uczę was przezorności, lecz widzę, że próżne są moje trudy.

Potem pożegnał radnych i wyszedł.

— Panowie bracia, dosyć tego! jakem szlachcic, tak nie zniosę podobnych urągań się tego łotra — zawołał znów, zrywając się od stołu, pan Jacenty — kto kocha honor i czuje w sobie krew szlachecką ten pójdzie z nami na Białego!

Na to wezwanie wszyscy zerwali się z ławek.

— Lecz gdzie będziemy szukali tego łotra? — zapytał Jan Wojnicki — nikt nie zna miejsca jego przebywania, a on sam przecież ku nam nie wyjdzie.

— On razem jest wszędzie — rzekł jeden z grona.

— Tak, albo raczej niema go nigdzie — odezwał się drugi.

— Założę się o moją karabelę — zawołał Wincenty — że Biały ukrywa się w ruinach Balaklaju, mój chłopak przed kilku dniami, pasąc konie, widział kilkunastu łotrów, wchodzących między zwaliska zamkowe.

— To być nie może — zawołał Jacenty — ja znam ruiny zamkowe, jak na dłoni, nie masz tam ani kącika, w którymbym nie był, alem nigdzie nie widział miejsca, zdatnego do przechowywania dwustu zbójców.

— Żartujesz, panie Jacenty, śmiałbyś wejść między te przeklęte zgliszcza? — odezwał się Bonifacy.

— Panie bracie, i sam djabeł lęka się mej szabli.

— Jednak Biały Grzegorz nie wiem. czy się jej przestraszy.

— Zobaczymy!.. Bracia, w imię Boga, chodźmy przeciw temu łotrowi. On nam dopomoże w tak świętej sprawie!

— Chyba że ty, panie Jacenty, będziesz nami przewodził — rzekł z uśmiechem młody podczaszyc — z tak mężnym wodzem i ja się odważam, choć nas tylko kilkunastu.

— Cóż to mospanie! — zawołał rozgniewany Jacenty — urągasz się mej odwadze? może pragniesz doświadczyć...

— Panowie bracia, bez zwady! — rzekł Jan — któżby powątpiewał o męstwie naszego pana Jacentego.

— O nikt, nikt!

— Tylko, że to powiadają, iż która krowa głośno ryczy, mało mleka daje — przemówił znów ironicznie Wincenty.

— Tej zniewagi nie zniosę! do korda, panie bracie! pragnę zadosyć uczynienia! — wołał rozjątrzony Jacenty.

I w oka mgnieniu zabłysły oręże przeciwników.

— Stójcie, stójcie, przyjaciele! — odezwał się Bonifacy — pocóż bezpotrzebnie przelewać krew, kiedy właśnie wybieramy się przeciw rozbójnikowi; panie Jacenty, daruj urazę bratu podczaszycowi... zachowajcie się na Białego.

— Panie Wincenty, podaj waść rękę bratu Jacentemu, wstydźcie się junoszyć, jak żaki — rzekł starszy

Wojnicki — przy okoliczności, w bitwie z nieprzyjacielem, dowiedziecie swego męztwa.

— Zgoda — rzekł Jacenty, podając śpiesznie dłoń.

— Niechże tak będzie, jak pan brat mówi — odrzekł Wincenty, ściskając podaną mu prawicę.

— Niech żyje przyjaźń! — zawołał jeden z grona, podnosząc kufel miodu.

— Vivat amicitia! — powtórzył Bonifacy.

— Vivat!

I przez chwile trwało głuche milczenie, bo wszyscy wychylali toast przyjaźni.

— A teraz, panowie bracia — odezwał się Jacenty, zdejmując baranią czapkę z kurzącej się łysiny. — Vivat nasz wódz przyszłej wyprawy!

— Ale któż to nim będzie? — zapytali obecni.

— Kogo panowie bracia obiorą z pomiędzy siebie — odrzekł Jacenty, kłaniając się wokoło.

— Ja jestem za panem Jacentym! — zawołał, wstając, Bonifacy — on pierwszy podał myśl tej wyprawy.

— Ja daję kreskę za panem Janem, on ma więcej rozwagi i męztwa.

— Veto! nie pozwalam! pan Jacenty!

— Pan Jan!

— Pan Wincenty! — odezwały się ze wszech stron głosy, zaczęły się przewracać stoły i ławki, zabłysły oręże, a ogólny krzyk i wrzawa zagłuszyły wszystko.

— Panowie bracia, proszę o głos! — zawołał pan Jan, wchodząc na stół, aby lepiej mógł być słyszanym — pozwólcie mi mówić. Ja i mój brat Wincenty zrzekamy się dowództwa w tej wyprawie, i raczej radzili-

byśmy odłożyć ją do kilku dni, dla zebrania sił większych.

— Veto! do czego odwłoka — krzyknął Jacenty — czyż nie dosyć już nieszczęść, nie dosyć grabieży dopełniono w naszej okolicy?

— Vivat pan Jacenty! on naszym dowódzcą!

— Vivat! śmierć Białemu — wołali wszyscy.

W tej chwili silny tętent koński, przygłuszył tę powszechną wrzawę, tuman kurzawy wzniósł się pod oknami i kilkudziesięciu jeźdźców zatrzymało się przed karczmą.

— Otóż go masz! lękaliście się, że nie znajdziecie Białego, więc on sam do nas przybywa! — zawołał jakiś opaśny szlachcic, siedzący przy oknie.

— Jezus, Marya! czy być może? — rzekł Jacenty, blednąc — to on w samej rzeczy, z tak liczną drużyną! Bracia, na imię Boga, za mną, zatarasujmy drzwi!

— Do broni, bracia! do broni — zawołał Wincenty, dobywając karabeli.

— Czyście oczy stracili? — rzekł Jan, patrząc przez okno — przecież to są towarzysze pancerni naszego hetmana Koniecpolskiego.

— Tak, tak! bo Grzegorz jaką zechce, przybiera na siebie postać — odrzekł Jacenty.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł do izby młodzieniec, mogący mieć około lat dwudziestu, średniego wzrostu, kształtnej postaci, miłego oblicza, które lubo nie odznaczało się zupełną regularnością rysów, miało jegnak coś tak mocno zniewalającego, iż trudno było

oprzeć się wpływowi jego wejrzenia, noszącego wyraz powagi i obowiązującej przyjaźni.

Kształtne czoło wznosiło się nad zapadłemi nieco oczyma, około których sine obwódki nadawały mu wyraz znużenia, znamionując zarazem, iż młodzieniec ten doszedł już do lat, gdzie władze duszy, wywinięte z swej puchowej powłoki, wyradzają się w namiętności, domagające się zajęcia i pokarmu.

Młodzian, wszedłszy, skinieniem głowy pozdrowił zgromadzenie, potem badawczym wzrokiem rzucił wokoło siebie i wyrzekł miłym głosem:

— Cóż słychać nowego w tych stronach, panowie bracia, rozboje nie uciszają się?

— Niech nam wolno będzie zapytać, kto waść jesteś, iż nas o to badasz? — rzekł występując naprzód pan Jacenty z miną imponującą

— Jestem wysłany od jego królewskiej mości, dla uwolnienia okolicy od tego strasznego rozbójnika Białego Grzegorza, panowie bracia, jako mieszkańcy tutejsi, może mi dostarczycie jakich objaśnień.

— Ten łotr tak jest przezornym, iż trudno nam powiedzieć o nim coś pewnego — odrzekł Jan Wojnicki.

— I nikt go z panów braci nie zna, nikt nie widział?

— Wszyscy prawie i nikt, bo Biały Grzegorz raz ukazuje się w postaci siwowłosego starca, to znów jako młodzieniec, raz w ubiorze szlachcica, to znów ormianina, kozaka i innych.

— Lecz słyszeliście, gdzie przebywa?

— I tego nie, gdyż w jednej chwili rozbija pod Białą Cerkwią i daje się widzieć o sześć mil pod Kumejkami.

— Jednakże któraż okolica jest najwięcej przez niego nawiedzaną?

— Najwięcej rozbija na drodze, wychodzącej z tego lasu.

— Więc musi ukrywać się w tej puszczy.

— Tak nam się zdaje, bo widziano jego zbójców w ruinach Bałakłaju.

— Daleko ztąd do tych ruin?

— Mała milka.

— Jak liczna może być jego banda?

— Zapewne z górą ze stu chłopa liczy, a może i więcej.

— Czy który z panów braci nie towarzyszył by nam, jako przewodnik?

— Wszyscy pójdziemy, wszyscy! — zawołano ze wszech stron.

— Dziękuję wam, dziękuję! Hej, karczmarzu! antałek miodu.

Judka, kłaniając się, przydźwigał kilko-garncową beczułkę i postawił ją na dębowym stole.

— Dalej, panowie bracia, za pomyślność naszej wyprawy! — rzekł młody naczelnik towarzyszy pancernych.

I szczęknęły kufle, pełne pieniącego się miodu.

Za pół godziny całe towarzystwo ruszyło w głąb puszczy.

Judka zamknął się w swej kryjówce.

* * *

Niedługo po odjeździe oddziału pancernych, a na godzinę przed zachodem słońca, podróżna kolebka zatrzymała się przed karczmą.

Judka wybiegł na przyjęcie znakomitego gościa, a stanąwszy u drzwi powozu ujrzał w głębi mężczyznę, około pięćdziesiąt lat mieć mogącego, i młodziuchną dziewicę zachwycającej piękności.

— Żydzie, czy daleko ztąd do Misuryna? — zapytał podróżny.

— Jeśli jaśnie pan zna drogę, to może stanąć za półtorej godziny.

— Gdybym ją znał, tobym ciebie o nią nie pytał:

— Przepraszam, to może jaśnie pan zanocuje w mojej gospodzie.

— Nie, nie, ale nie mógłbyś mi dać przewodnika, bo żaden z moich ludzi nie zna tej drogi.

— Jaśnie wielmożny panie, w tej chwili niema nikogo w karczmie.

— Nie masz sług, parobków?

— Nikogo, prócz mego syna i matki, niema w całym domu.

— To możeby twój syn nas przeprowadził?

— Jaśnie panie, to dziecko jeszcze, on nie zna drogi, nigdzie nie bywa, ja sam jeżdżę za interesami.

— Może ty sam mógłbyś być naszym przewodnikiem, dobrze cię wynagrodzę.

Na te słowa oczy żyda zabłysły niezwykłym ogniem.

— Jaśnie panie, nie mogę opuścić karczmy.

— Wszak mówiłeś, że wyjeżdżasz za interesami.

— Tak... ale teraz drogi bardzo niebezpieczne...

— No, no, nie bój się, wszak widzisz, że mam ośmiu tęgich kozaków.

— A cóż jaśnie pan raczy ofiarować mi za moje trudy?

— Dostaniesz dwa złote.

— Jaśnie panie, to ogromny kawał drogi, myślałem, że choć dwa dukaty dostanę.

— No, zabieraj się, masz dukata.

I podróżny rzucił żydowi sztukę złota.

— W tej chwili będę gotów! — zawołał Judka, podnosząc z pokorą monetę, i wszedł do izby.

Za kilka chwil podróżna kolebka pod przewodnictwem żyda ruszyła w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ XII.

Zachodzące słońce oświecało jeszcze ostatniemi promieniami wierzchołki wzgórz, porosłych kępami jałowcu po obu stronach krętej drogi, którą toczył się podróżny powóz, otoczony przez ośmiu konnych ludzi.

Krzaki te stawały się coraz gęstsze i zwolna zamieniły się w sosnowy las, a droga prawie za każdym krokiem stawała się nierówniejszą, mniej wyraźną i bardziej krętą.

Nareszcie słońce zaszło, zmrok zwolna zaczął zapadać i ciemności ogarnęły ziemię.

— Dalekoż jeszcze do końca naszej podróż? — zapytał nieznajomy Judkę, siedzącego obok woźnicy.

— Za pół godziny jaśnie pan stanie w Misurynie.

— Czy niema dogodniejszej drogi od tej, bo zdaje mi się, że ciągle krążymy około jednego miejsca, czy koniecznie temi manowcami jechać potrzeba?

— Tak, jaśnie panie... wprawdzie jest inna, ale widzi jaśnie pan, straszne wydarzają się na niej rozboje, bałem się tamtędy prowadzić.

— I, głupiś, żydzie, z twoja bojaźnią! patrz, noc nadchodzi, a my zostaniemy w lesie i potem sam nie trafisz na drogę.

— O, znam ja dobrze te miejsca, nie małom się tędy...

Nagle jego słowa przerwał odgłos bliskiego wystrzału.

— Stój! — zawołał mężczyzna, wybiegając z lasu na czele kilkunastu ludzi, którzy z wymierzonemi rusznicami stanęli w poprzek drogi.

Bandyta ten nie mógł mieć więcej jak lat dwadzieścia, oblicze jego było opalone, rysy zgrubiałe, lecz dosyć przyjemne, włosy czarne wijące się i orle wejrzenie.

Podróżny, na odgłos jego wyrazów, porwał za broń i wystrzelił do napastnika, lecz chybił.

Na to hasło rozległo się z obu stron kilkanaście wystrzałów, kilku sług podróżnego spadło z koni, zbójcy rzucili się na nich, inni otoczyli powóz, wyciągnęli

z niego przerażoną dziewicę i jej ojca i zaczęli z nimi dążyć w las.

Lecz głośny tętent kilkudziesięciu koni zwrócił uwagę napastników i wkrótce orszak towarzyszy pancernych pod dowództwem młodego wojaka ukazał się w pobliżu. W jednej chwili łotry na odgłos swego wodza stanęli w bojowym porządku.

Młodzieniec natarł na nich z gwałtownością. Zbójcy bronili się mężnie, zachęcani przykładem swego dowódzcy, którego waleczność godniejsza była lepszej sprawy. Wszędzie, gdzie jego towarzysze zaczynali ustępować, on niósł im poparcie, potężnem swem ramieniem. Iskry sypały się z pod jego szabli, uderzającej o pancerze nieprzyjaciół, i mimo ich silnej zbroi niejeden już poległ z jego ręki, nawet przeciwnicy podziwiali to nadzwyczajne męstwo.

Bitwa trwała przeszło kwadrans, mimo trzy razy przewyższającej siły nieprzyjaciół Nareszcie oręż bandyty skruszył się o stalowy pancerz przeciwnika, teraz dopiero zbójcy ustępować zaczęli, a na dane hasło przez wodza w jednej chwili rozsypali się po lesie i niedoścignieni znikli w gęstwinie.

Podróżny ranny w lewe ramię leżał bez przytomności na ziemi, a przy nim klęczała jego córka.

Młody naczelnik towarzyszy pancernych przybiegł jej na pomoc.

— O panie, ratuj mego ojca! — rzekła, składając ręce błagalnie i wznosząc swe piękne, czarne oczy na młodego wojownika.

Wódz pancernych spuścił oczy przed jej wzrokiem, podniósł sam ranionego i przywołał jednego z towarzyszy, aby mu pomógł obwiązać ranę.

Tymczasem podróżny odzyskał zmysły.

— Julia, gdzie ona jest? — zapytał, otwierając oczy.

Dziewczę przycisnęło do ust jego rękę.

— Jestem, ojcze, jestem!

— Czyś zdrowa, nie raniona?

— Nic mi nie jest, mój ojcze!

— Mój młody zbawco, winienem ci dozgonną wdzięczność — rzekł potem do naczelnika pancernych.— Gdyby nie twoje szlachetne poświęcenie się, Bóg wie, coby się z nami stało.

— Spełniłem tylko moją powinność — odrzekł młodzieniec — każdy szlachcic podobnieby postąpił, wszak jestem wysłany dla uśmierzenia rozbojów, zdarzających się w tych stronach. Lecz widzę, że wasi ludzie są ranni, a zbójcy mogą powtórnie napaść was, więc pozwólcie, miłościwy panie bracie, że go z moim oddziałem odprowadzę do domu.

— O dziękuję wam! dobroć wasza uprzedza moją prośbę — rzekł podróżny, spojrzawszy na zmniejszoną liczbę swych ludzi — do zamku mego ztąd niedaleko, lecz nie znam drogi, słudzy moi są ranni i nie mogą dać mi żadnej obrony, więc oddaję się chętnie z mą córką w twoją opiekę.

— Wasze życzenia są dla mnie rozkazem — odrzekł młodzieniec.

I poleciwszy rannego umieścić w powozie, wsadził Julię i sam towarzyszył im konno.

W czasie bitwy żyd znikł niewiadomo gdzie, noc już zapadła zupełnie, nikt nie znał drogi do Misuryna, jechano przeto na los. Wkrótce bór zaczął się przerzedzać i podróżni ujrzeli się na małej równinie, na której zdala widać było migające światło.

Młody naczelnik towarzyszy pancernych wysłał jednego z podkomendnych dla dowiedzenia się o drogę. Posłaniec wkrótce powrócił z doniesieniem, że zamek leży zupełnie w innej stronie, że trzeba się wrócić ku północy przynajmniej na dobrą godzinę drogi, aby się dostać na gościniec, prowadzący do Misuryna.

— Ten łajdak żyd oszalał chyba, że nas wprowadził na takie manowce — rzekł podróżny — lub zupełnie nie zna drogi, prowadzącej do zamku; to wcale w innej stronie, i nie potrzebowalibyśmy jechać przez ten las.

— Wszak on mówił wam, mój ojcze — odezwał się srebrny głosik Julii — że jest inna jeszcze droga, lecz niebezpieczna.

— Jakto? wszak widzisz, że gdybyśmy jechali tą drogą zaraz z karczmy, bylibyśmy ominęli puszczę, zamek od karczmy leży w południowo-wschodniej stronie, a las rozciąga się od wschodu ku południowi.

— Z przeproszeniem waszem, jaśnie panie — odezwał się jeden ze sług podróżnego — ale zdaje mi się, że ten przeklęty żyd znał się ze zbójcami i naumyślnie wprowadził nas w ten bór, bo widziałem, że w czasie boju z nimi się połączył.

— Co ty mówisz, Wasilu?

— Tak jest, jaśnie panie, kiedy łotry na nas uderzyli, on skoczył z kozła i między nich się wmieszał...

— Bo może go który ze zbójców ściągnął — rzekł młody wojak — wiedzą oni, że żyd jest karczmarzem, i spodziewają się wykupu.

— Ach zapewne — dodał podróżny.

— Nie moją rzeczą przeczyć jaśnie panu, ale ten żyd zda mi się podejrzanym.

— Przewidziałeś się, dobry Wasilu — odezwała się łagodnie Julia.

— Tak, tak, mój stary — rzekł jej ojciec.

— Niech będzie wasza prawda.

Tymczasem podróżni zbliżyli się do zamku Misuryn, zdala czerniały ciemne zębate jego mury na gwiaździstem tle nieba. W jednem tylko oknie u wierzchu narożnej baszty błyszczało małe światełko, jak gwiazdka, których tak wiele widać było wokoło.

— Teraz, szlachetny nasz obrońco — odezwał się podróżny — uczynisz zadość mej prośbie i zabawisz u nas dni kilka.

Młodzieniec wahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Spodziewamy się, że nam tego nie odmówisz? — dodała Julia.

— Lecz powinność moja, obowiązki, które mi poruczono...

— No, no, wszak mieszkając u nas, możesz i im zadość uczynić, zamek ten nie jest odległy od miejsca pobytu łotrów — odparł podróżny.

Młodzieniec więcej nie czynił oporu.

Wtem stanęli przed warownią.

Budowa ta leżała na wyniosłem wzgórzu i widać, że kiedyś była miejscem bardzo obronnem. Z trzech stron ściany góry były tak spadziste, iż w żaden sposób konno ani pieszo wejść na nie, było niepodobna, z czwartej, pochyłość była nieco mniejszą, lecz za to mur z fosą bronił przystępu do zamku. Na czterech rogach stały kamienne baszty, lecz jedna od północy była na wpół zwalona. Rozległość zamku nie była zbyt wielka i raczej zameczkiem nazwaćby go należało, ale za to z jego murów czarujący widok rozwijał się na okolicę.

Jędrzej, takie było imie młodego naczelnika pancernych, już kilka dni przepędził w Misurynie już u wszystkich zjednał sobie przyjaźń, a nikt nie znał jeszcze nawet rodzinnego jego nazwiska.

Śladkowski, pan zamku, wiedział, że Jędrzej ocalił mu życie i córkę, że winien mu wdzięczność, że swem postępowaniem zasługuje na jego przyjaźń, nie pytał o więcej.

Julja lubiła Jędrzeja jak brata, bo był prawie w tym samym wieku co ona, lubiała go, bo wdzięczność nakazywała jej wypłacać jego szlachetny postępek, choć uczuciem przyjaźni, lubiała słuchać, gdy mówił jej o stolicy, o jej uciechach i przyjemnościach, bo tam był jej jedyny brat Kazimierz, lubiała słuchać, gdy

mówił o sobie, bo jego głos był tak czuły, gdy mówił o przyjaźni, bo przyjaźń przez niego odmalowana była tak ponętną, tak zachwycającą; zresztą lubiała Jędrzeja dla niego samego, i cóż jej było po nazwisku, po wiadomości o jego urodzeniu, znaczeniu i stopniu, jaki zajmuje w społeczeństwie.

Słudzy tylko, a szczególniej kobiety stare ciekawe były dowiedzieć się, kto jest ten Jędrzej. Wypytywały jego podkomendnych, lecz i ci nic im nie powiedzieli, prócz tego, że młodzian ten przedstawiony im był przez samego wielkiego hetmana, który oświadczył, iż z woli króla Jędrzej obejmuje nad nimi dowództwo w wyprawie przeciw rozbójnikom, niszczącym kraj naddnieprowski.

Tak wśród szczęścia, rozrywek i trudów, ciągłych utarczek z łotrami, upływały Jędrzejowi dnie i tygodnie, w towarzystwie miłej Julji i jej ojca.

Zaledwie ucichł w oddaleniu odgłos kroków oddziału towarzyszy pancernych, gdy z poza krzaków, otaczających obie strony drogi, wybiegł młodzieniec, ów waleczny bandyta, który, przed chwilą ulegając przewyższającej sile nieprzyjaciół, wraz z swymi towarzyszami schronił się w las. Stanąwszy na środku drogi, wydał przewlekłe świśnięcie, a na ten odgłos jakby czarodziejską władzą w jednej chwili otoczyła go banda jego podkomendnych, z za każdego drzewa ukazał się zbójca, ciała nawet, leżące na pobojowisku, które, jak zdawało się‘

dawno dusza opuściła, podniosły głowy i przywlokły się do miejsca zebrania!

Młody wódz rozesłał czaty, polecił zabitych pogrzebać, a mocno ranionych przenieść do legowiska.

W chwili dopełniono polecenia, i gdy jedni grzebali poległych, inni, urządziwszy z gałęzi naprędce nosze, zabrali rannych towarzyszy i na czele młodego bandyty ruszyli do zwalisk, gdzie było ich schronienie.

Po półgodzinnej drodze banda stanęła na równinie pod lasem, na wyniosłem brzegu której wznosiły się ruiny odwiecznego zamku Balaklaj *).

Od strony południowej, gdzie spadzistość wzgórza nieco przykrzejsza była pokryta zielonemi drzewami, toczyła swe jasne wody mała rzeczka, Czapczaklaj nazwana, w której krynicy odbijały się wyniosłe szczyty zamku. Ruiny tej potężnej niegdyś twierdzy ciągnęły się od wschodu na zachód po nad lewym brzegiem rzeki, za niemi od strony północnej leżał nieprzejrzany okiem step, od Dniestru do Bobu.

Dziwne podanie, krążące między ludem, rodząc postrach w okolicznych mieszkańcach, czyniło zwaliska bezpiecznem schronieniem dla bandy Białego Grzegorza. Żaden wieśniak, ani nawet kozak, nie śmiał po zachodzie słońca do nich się zbliżyć, bo podanie niosło, iż

*) Cellarjus, Baupleau w opisie Ukrainy i Bielski w kronice ks VI wspominają o tym zamku, jako miejscu bardzo obronnem; ostatni mówi: Balaklej gdyby oprawiono, który leży nad Czapczaklejem rzeką, 9 mil od Oczakowa, nie takby łatwo tamtędy ważyli się Tatarowie do nas chodzić... i t. d.

zły duch, opiekujący się ruinami Balaklaju, strzeże ukrytego tamże skarbu, który niegdyś przez dziedzica zamku miał być w jego lochach złożony, i okrutnie karze każdego śmiałka, któryby odważył się wstępować w zakres, powierzony jego straży.

Podanie to, przez tradycyą przechodząc z ust ojców do dzieci, stało się tak straszne, iż poczytano tego za odważnego, kto śmiał w czasie nocy mimo zwalisk przejechać. Często nawet, gdy zabłąkane wieśniakowi bydło weszło między ruiny zamkowe, nikt nie odważył się udać za niem; wolano raczej wyrzecz się własności, bo nigdy ztamtąd nie wróciło.

Lubo przestrach, zrodzony w gminie przez zabobonne podanie, był dostateczną obroną z tej strony dla Grzegorza, jednak w razie ataku przez siłę zbrojną, twierdza Balaklaj nie mogłaby udzielić żadnej obrony dla jego bandy; dlatego też zbójca starał się wszelkiemi siłami ubezpieczać gdzie w obronniejszem miejscu.

Murów, opasujących warownie, zaledwie szczątki pozostały, rowy były suche i zawalone, a wieże rozsypywały się w gruzy.

Czas bardziej niszczący, niż najsroższy nieprzyjaciel, wyrył piętno swego przechodu na całej twierdzy. Sam główny korpus, zapewne najpóźniej wystawiony, jeszcze opierał się jego żelaznej potędze, lecz opuszczenie przyśpiesza jego upadek. Po basztach, gdzie niegdyś powiewały dumne proporce, szydząc z natarczywości oblegających, teraz bluszcze i błękitne powoje czepiały swoje wieńce.

Owe różnobarwne szyby, oprawne w ołów, co z taką pychą odbijały promienie zachodzącego słońca, dziś powytłukane, a siecie pajęczyn zajmują ich miejsce. Tam, gdzie niegdyś setki dzielnych wojaków przy uczcie z pełnemi w dłoniach puharami śpiewały chlubne czyny wodza, dziś sowy i puchacze straszą swym żałobnym wrzaskiem zabobonnego przechodnia.

Banda weszła pomiędzy ruiny i, przebiegłszy pierwszy dziedziniec, zatrzymała się na drugim, gdzie waląca się wieża tworzyła kupę gruzów, porosłych chwastami.

Młody bandyta uderzył potrzykroć w ogromny kamień, leżący wśród rumowiska, który po chwili usunął się wewnątrz i odsłonił wygodne wejście do podziemia.

W niewielkiej sklepionej sali, oświeconej tylko płomieniem lampy, na bogatym dywanie siedział niedbale mężczyzna barczysty, wysoki, z ogorzałem, ale wybladłem obliczem, zapadłemi oczyma, rzucającemi ogniste spojrzenia z pod obwisłych siwych brwi, wysokiem czołem, ocienionem po obu stronach siwemi jak śnieg włosami, brodą tegoż koloru, spadającą mu na piersi, w czarnym kontuszu roztwartym na przodzie, z pod którego widać było biały żupan. Żałobne to ubranie nadawało jego fizyonomii wyraz posępny, a rysy twarzy, lubo szlachetne, miały tak ponurą postać, iż trudno było znieść jego iskrzące i groźne wejrzenie, zwłaszcza gdy z pod zmarszczonych wypływało brwi.

Najodważniejsi zbójcy drżeli przed jego nakazującym wzrokiem; człowiek ten był naczelnikiem bandy,

nazwany Białym Grzegorzem, znany niegdyś przez nas pod nazwiskiem Grzegorza Żabickiego.

Zgryzoty wywarły zapewne na niego tak okropny wpływ, one tak przedwcześnie ubieliły jego włosy siwizną i zmieniły do niepoznania tę szlachetną niegdyś twarz.

Obok Grzegorza z jednej strony leżała zgrabna janczarka, jego nieodstępna towarzyszka w bojach i spoczynku, z drugiej klęcząc na jednem kolanie nalewała mu napój w srebrny kubek dziewica, dziecko raczej, anielskiej piękności, piękności, jaką tylko zachwycony poeta wymarzyć może.

Była średniego wzrostu, kibić jej jeszcze niezupełnie nabrała form, odznaczających kobietę dojrzałą, był to pączek fijołka, ukazujący dopiero z pod zielonych pokryć swą niebieską koronę. Rysy jej twarzy odznaczały się dokładną regularnością, nadto oczy wielkie, słodkie, jasno błękitne z połyskiem szafiru, usta cudnej piękności, różowe jak peruański koral, cera blada, świeża, przezroczysta; oblicze, umilone uśmiechem tej wewnętrznej pogody, która znamionuje duszę zupełnie czystą, nadawały jej wyraz, jaki mieć musiał zwiastujący anioł Gabryel.

Jej ubiór podwyższał jeszcze swym wdziękiem piękność naturalną. Blado-niebieski kaftanik, ukazujący jej piękne alabastrowe ramiona, krojem, jakim widzimy na wyobrażeniach tureckich odalisk, otaczał jej piękny biust, czyniąc wydatniejszemi najmniej podpadające pod oko jego powaby, spódniczka, spadająca do

kostek z białej w żółte paseczki materji, dozwalała widzieć maleńką nóżkę w kanarkowym pantofelku.

Bandyta wychylił bez odpoczynku jeden po drugim kilka kubków i w zamyśleniu opuścił rękę, trzymającą czarę, dziewica chciała ją znowu napełnić.

— Już dosyć! — zawołał Grzegorz i rzucił zdala od siebie puhar.

Dziewica zadrżała przelękniona. Bandyta to spostrzegł.

— O nie lękaj się, moje dziecko! — rzekł, łagodząc wyraz swego groźnego oblicza — chyba sam szatan mógłby tobie co złego wyrządzić!

Dziewczę schyliło się i pocałowało jego rękę, zmazaną tylu zbrodniami.

— Zuzanno — odezwał się znów bandyta — kocham cię, jak własną córkę, jednak nie lubię widzieć tak lękliwą, czułą i słabą: jeden wyraz, jedno zmarszczenie brwi wyciska łzę z twego oka, nienawidzę tej miękkości... taką była ta, którą kochałem nad wszystko — dodał cichszym głosem zbójca — i charakter ten był przyczyną jej śmierci i mego nieszczęścia!.. lecz głupstwa przychodzą mi do głowy... wódki, wódki, Zuzanno!

Dziewica podała mu nalany kubek.

Grzegorz wychylił go duszkiem, potem drugi i trzeci.

— Bądź więc wesołą, śmiałą, odważną, moja Zuzanno! — mówił dalej — taką powinna być towarzyszka wolnych mieszkańców Balaklaju.

W tem uchyliły się powoje i wszedł mężczyzna barczysty, niski, w granatowej kurtce, przepasanej czerwonym pasem, za którym zatknięty był długi sztylet i pistolet, i milcząc stanął u drzwi.

Bandyta spostrzegł go i rozkazał oddalić się Zuzannie.

— Cóż nowego, Tomaszu? — rzekł po jej odejściu.

— Stefan wrócił z wyprawy — odpowiedział nowo przybyły.

— I cóż? jakiż skutek?

— Żadnego wodzu.

— Co? — zapytał bandyta, głosem jakby wyraz ten był nie zrozumiałym dla niego.

— Liczny poczet towarzyszy pancernych przybył na pomoc podróżnemu i nasi ustąpić musieli — odrzekł Tomasz.

— Moi ludzie ustąpili bez żadnej korzyści! — wrzasnął zbójca głosem dzikim, zerwawszy się na nogi. Oczy jego wyszły na wierzch; usta zadrgały, a pięści były ściśnięte.

Tomasz cofnął się struchlały ku drzwiom.

— Nędzniku! i ty śmiałeś mi z taką spokojnością zwiastować tę nowinę? precz, precz z oczu moich! bo nie zniosę twego widoku!

— Wodzu, ja nie należałem do tej wyprawy.

— Więc przywołaj mi Stefana! natychmiast niech tu przyjdzie!

Po upływie chwili wszedł młody herszt zbójców, którego widzieliśmy na czele bandy.

— Niedołężny! — zawołał Grzegorz ujrzawszy go przed sobą — zhańbiłeś swoich towarzyszy, tyś pierwszy raz ustąpił nikczemnie pola bitwy. Teraz ludzi moich nazwą złodziejami, którzy kradną, gdy im nikt nie broni, nie przeszkodzi!..

— Wodzu, raczcie uważyć, że nieprzyjaciół było pięć razy tylu jak naszych.

— Choćby i dziesięć! waleczni umierają na placu z orężem w ręku, a nie uchodzą nikczemnie, jak bojaźliwe dzieciaki! Gdzie jest zdobycz? gdzie Śladkowski? gdzie jego córka? gdzie moje nadzieje posiadania obronnego zamku? pytam, gdzie jest to wszystko!

— Wodzu, jeszcze nie wszystko stracone.

— Milcz, tchórzu! milcz! co powiedzą teraz o nas ci żołnierze, z którymi się potykałeś, jakie wyobrażenie mieć będzie Śladkowski, który pierwszy raz was widział! Powie wszędzie, że banda Białego Grzegorza jest zbiorem pospolitych łotrów, już nie będą drżeć na wspomnienie Grzegorza, powiedzą, że nas zwyciężyć można!

— Wodzu, czy tyle razy nie dałem dowodów mego męztwa?

— I tem to oszukałaś mnie, nędzniku! ja ci zaufałem, powierzyłem towarzyszy, powierzyłem ich honor, powierzyłem wszystko, com miał najdroższego, powierzyłem samego siebie, bo czemże żyję, jeżeli nie sławą mej bandy! A ty tak wywiązałeś się z położonego w tobie zaufania? Zdaj teraz rachunek z tego wszystkiego, gdzie jest dawna chwała bandy!

Milczenie.

— Mów, gdzie się podziała? Gdzie jest ów postrach, jaki rodziło moje imie!.. byłem niezwyciężony... Mówże, tchórzu! Milczysz, niegodny towarzyszu Grzegorza! wszystko przepadło, przepadło z twej przyczyny!

— Nie, wodzu! jeszcze nie straciłem tyle, ile zyskała banda przez moje zasługi.

— Kłamiesz, straciłeś wszystko, utraciłeś nietylko, cośmy posiadali, ale nawet co posiadać mogliśmy! Precz z naszej bandy, precz natychmiast!

— Nie, wodzu, nie masz prawa mnie wypędzać, poświęceniem własnego życia okupiłem zaszczyt noszenia nazwiska drugiego w bandzie, stałem się jej członkiem i bez zadania śmiertelnej rany całemu ciału, nie możesz odciąć jednej części.

— Śmiałku! jeszcze w ten sposób przemawiasz do wodza, nie mogę, nie mogę, mówisz?

I porwał leżącą na dywanie janczarkę, wymierzył...

Młodzieniec stał na swojem miejscu, najmniejszej zmiany nie było widać na jego obliczu.

Wtem błysło, rozległ się huk wystrzału, i nieszczęsny Stefan upadł na wznak.

Grzegorz spokojnie rzucił swoją janczarkę i oddalił się w przeciwny róg komnaty.

W tej chwili wbiegł Tomasz.

— Wynieście tego nędznika! — wyrzekł bandyta, wskazując trupa.

Tomasz ponuro spojrzał na ciało młodzieńca i oddalił się po towarzyszy, aby mu pomogli sprzątnąć ciało.

Wkrótce w podziemiu dał się słyszeć szmer, hałas, gwarna rozmowa kilkunastu głosów, jakieś wykrzyknienia. Grzegorz, ciekawy zapewne przyczyny tego zgiełku, wyszedł na korytarz i ujrzał zgromadzonych swych ludzi, w pośrodku stał Tomasz.

— Co to znaczy, co jest powodem tego wzburzenia? — zawołał, marszcząc brwi.

— Wodzu! — odezwał się jeden z bandy — zabiłeś Stefana, któregośmy kochali, który jeden tylko swojem męztwem i roztropnością mógł ciebie zastąpić, za którego życie oddalibyśmy wszyscy, ostatnią kroplę krwi swojej. Wodzu, jesteś niesprawiedliwym, on nie na taką zasłużył nagrodę. Niesprawiedliwość jest nieznośna, nie chcemy jej cierpieć!

— Któż to śmie ganić moje postępki? Zabiłem Stefana, bo nie był godzien nosić imienia naszego towarzysza, bo był tchórzem, zabiłem go, bo tak mi się podobało! kto ze mnie niekontent, niech wystąpi!

Tu ponure nastało milczenie.

— Milczycie, bojaźliwi! jak wrony kraczecie razem, lecz żaden w szczególe nie śmie mnie obwinić! Oto przykład waszego Stefana. — Małoduszni precz, precz, bo kto się ośmieli oceniać moje czyny, podobny los go spotka jak tamtego! — rzekł, wskazując trupa młodzieńca.

— Wodzu przebacz nam! przebacz! — zawołali wszyscy razem zbójcy — przywiązanie do naszego młodego towarzysza wydarło nam te ubliżające tobie wyrazy.

— Stefan tylekroć swojem męztwem okrył nas chwałą — dodał inny — on ściągnął na bandę tak znakomite korzyści, on równie jak ty był postrachem okolicy, on nauczał nas walczyć i żartować ze śmierci; i czyż nie powinniśmy go kochać?

— I on dziś odarł was z tej sławy, na którą wszyscy pracowaliśmy — odezwał się Grzegorz — dziś już nie powiedzą, że banda Białego Grzegorza złożona jest z czartów, których zwyciężyć niepodobna! nie powiedzą, że bandyci Grzegorza cofać się nie umieją, nie powiedzą że nikt nie wydarł się z rąk Grzegorza!.. wszystko przepadło z jego przyczyny! I godzienże był żyć między nami?

— Wodzu, tyś jest mędrszym od nas wszystkich, przebacz nam!

— Już skończone, przebaczam. Niedługo może wyjdziemy powetować te straty i naprawić reputację. Starajcież się okazać takimi, jakimi ja pragnę was widzieć, jakimi byliście dotąd, i za jakich uchodzicie w okolicy!.. Niech ta mała plama na naszej sławie zniknie pod nowym blaskiem waszej odwagi i szatańskiego męztwa. Będzie to najgodniejsze was dla mnie zadosyć uczynienie za tę małą czarę goryczy.

ROZDZIAŁ XIII.

I znów po kilko godzinnym spoczynku ocknęła się natura, umilona nowemi powaby, pełna nieprzeliczonych wdzięków i ponęt, jak ośmnasto-letnia dziewica po uroczym śnie, w którym po raz pierwszy przycisnęła do śnieżnego łona kochanka swych marzeń.

Majowe słońce, gasząc rozpierzchnięte gwiazdki wśród puszystych obłoczków na lazurowem niebie, złociło promieniami horyzont, zalewając swem światłem wyniosłych wzgórz wierzchołki. Zielone niwy, zroszone rosą, lśniły się odbitym blaskiem; drzewa niknęły w jasności, kilka podłużnych chmurek, napoiwszy się słonecznemi promieniami, posuwało się w górę po świetnym widokręgu; jak wyspy złociste, wody wązkiego jeziorka, ściśnięte karłowatemi skały, odbijając świetne sklepienie niebios i jasnością oblane pagórki, zdawały się tworzyć drugie niebo, a jak młoda kochanka gdy w jej oku utonie spojrzenie lubego, tak fale zdawały się mącić, wpatrując w słońce i przejmując jego światłem.

Prawie na środku podłużnego jeziora wznosił się olbrzymi odłam skały, łącząc się z jednym brzegiem w kształcie przylądka. Barki tej stromej skały okryte były płaszczem sosien i modrzewiów.

Nad brzegiem jeziora z prawej strony tej skalistej przegrody ukazała się postać dziewicy w bieli z ciemnym włosem, przepasanym niebieską wstążką na wzniosłem czole, a postępując zwolna stanęła nad brzegiem i zatopiła wejrzenie w tym czarownym widoku.

Nad brzegiem jeziora o kilkaset kroków dalej z lewej strony skalistej opoki, ukazał się młodzieniec w błękitnym kontuszu, w rogatej czapce z krzywym orężem u boku i utonął wzrokiem w tem czarującem widzeniu.

Oboje długo stali nieruchomi.

I ich dusze, jak wody jeziora, góry i pola, długo napawały się tym cudownym urokiem, dopóki nieprzepełniła się czara niepojętej w duszy człowieczej tęsknoty, a wtedy ich dłonie przycisnęły wznoszące się westchnieniem piersi i oczy zwróciły się w inną stronę.

Ona powiodła swe kroki w las.

I on udał się w tę stronę.

Jednak ona nie widziała jego, ani on jej, bo skalista przegroda zasłaniała jedno przed drugiem.

I cóż jest powodem tej jednostajności ich uczuć, chęci i działań?

I cóż zbudziło o tak rannej porze tę miękką dziewicę i wygnało ją błądzić nad brzegi wód?

I cóż nie dozwalało spoczywać temu młodzieńcowi, co wiodło go w ślad nieznajomej?

— Wierzycież w sympatyę?

Wiem, że nie.

Stańmy w bliskości fortepianu i pociągnijmy smyczkiem po strunie skrzypiec. Struna fortepianu, wydająca tenże ton, zadrży i ozwie się podobnym głosem.

Jakaż siła wydobędzie ten dźwięk?

Nazwijcie ją, jak się wam podoba. Lecz podobna siła, zbudziwszy o tak rannej porze młodą dziewicę, wygnała po nad jezioro młodzieńca, ona wydobyła

z jej łona westchnienie, kazawszy westchnąć jemu. Ona była powodem wspólności ich myśli i czynów.

Młodzieniec, postępując wciąż ścieżką wydeptaną na wyschłej trawie, stanął nad brzegiem stromej spadzistości. Tu droga tak była przykrą, iż zejście zdawało się niepodobnem, inna dogodniejsza prowadziła na prawo; lecz on bez wahania się zaczął postępować pierwszą, czepiając się rozlicznych krzewin, które okrywały ziemię i doszedłszy jej kresu, zbliżył się ku lasowi. O kilkadziesiąt kroków na boku dziewica z głową pochyloną w postaci pokory klęczała u stóp olbrzymiego dębu, w którego pniu wprawiony był wizerunek Boga Rodzicy. Na odgłos cudzych kroków powstała i śpiesznie uciekać zaczęła.

Była to Julja.

— O Boże! — zawołał pomimowoli młodzieniec — to ty, pani? sama jedna w pośród tych obszernych lasów?

Na pierwszy odgłos słów jego zatrzymała się zapłoniona.

— Przestraszyłeś mnie mocno — rzekła nieśmiało — nigdym tu nikogo nie spotkała; gdyś się zbliżał, przejęta trwogą uciekałam, nie patrząc przed kim, lecz to ty, panie Jędrzeju, jestem zupełnie spokojna — mówiła, drżąc cała.

I oboje zaczęli postępować drogą, wiodącą do zamku.

Zwolna ścieżka stała się tak wązką i spadzistą, że zmuszeni byli zbliżyć się zupełnie do siebie.

— Pani — zapytał młodzieniec — co skłoniło cię do przedsięwzięcia tak utrudzającej przechadzki?

— Od jakiegoś czasu zwykłam odwiedzać drzewo, przy którem mnie zastałeś. Okropna o niem powieść krąży między tutejszymi mieszkańcami, a wizerunek Matki Boskiej, na jego pniu przybity, nazwany jest darem tatara.

— Okropna powieść!

— Tak jest, Jędrzeju, przed kilkunastu laty na tej równinie mieszkał zamożny kozak i miał jedynaczkę córkę. Bożenna liczyła szesnasty rok, gdy jednego wieczora, wracając od jeziora z za gór, spotkała młodego jeźdźca w dziwnym ubiorze, lecz pięknej urody. Siedział na karym, dzikim rumaku, którym kierował z nieporównaną zręcznością.

Niesłychana trwoga objęła nieszczęśliwe dziewczę na jego widok, nie mogła wymówić słowa, ani postąpić kroku, bo nieznajomy wpił swe iskrzące wejrzenie w jej zarumienione oblicze, a widząc jej pomieszanie przybliżył się, zsiadł z rumaka i prosił, aby mu pozwoliła napić się wody. Potem podziękował grzecznie i pomógł zstępować z góry.

Dziwny akcent mowy i twardy dźwięk głosu nieznajomego zrazu tylko raził słuch, coraz stawał się milszym, a w końcu biedna Bożenna zdawała się słuchać go z całą rozkoszą, chwytając każde stowo do bijącego serca. Jakaś niepojęta władza przykuwała jej wzrok do ogorzałego lica towarzysza i cała utonęła zachwyconą duszą w uroku.

Tak przybyli na otwarte pole, nieznajomy pożegnał Bożennę i oświadczył, że nazajutrz przybędzie nad jezioro, a ona przed zachodem słońca znów udała się po wodę.

Minęło kilka tygodni, a młoda dziewica po kilka razy kusiła się zapytać kochanka o jego miano i ród, lecz on, jakby odgadując jej chęci, marszcząc brwi, zwracał mowę na inny przedmiot. Jednego wieczora Bożenna, rozmawiając z lubym, ujrzała w sakwie, wiszącej przy kulbace końskiej między innemi przymiotami obraz Boga Rodzicy, malowany na srebnej blasze. Dziewica zaczęła mu się przyglądać i podziwiać z zapałem jego piękność, a młodzian, pragnąc sprawić najdroższej przyjemność, darował ten piękny wizerunek.

Uradowana Bożenna pobiegła do domu, pokazując z niewinną radością rodzicom dar tajemniczego kochanka.

— Skąd masz ten obraz? — zapytał z zadziwieniem ojciec Bożenny — to jest wizerunek Najświętrzej Panny z kaplicy w Białocerkwi, którą tatarzy zrabowali. Zkąd go masz, Bożenno?

Ale dziewica nie wyznała prawdy, skłamała. Bo ubiór nieznajomego, jego mowa, rzuciły jakieś światło na tajemnicę jego rodu, serce jej odgadło resztę. Kochała wroga swego, tatarzyna!

Powikłane myśli tak strasznem odkryciem niepokoiły jej sen okropnemi widziadłami — śpiąc, wygadała całą tajemnicę swego biednego serca, oskarżyła kochanka!

Nazajutrz wieczorem Bożenna udała się na zwykłe miejsce szchadzki i spotkała lubego pod tym dębem.

Jej pomieszanie i okropna zmiana rysów nie uszły jego uwagi.

— Co to jest, Bożenno? — zapytał z przerażeniem.

— Uciekaj! ach uciekaj, nieszczęsny! — zawołała wśród łez dziewica — zapomnij o Bożennie, ona bez grzechu kochać cię nie może, tyś jest wrogiem jej braci!

— Już nim nie jestem, najdroższa! — odrzekł z zapałem tatar — wyrzekam się dawnych błędów, brzydzę się moimi rodakami, bo, żyjąc w niewoli między waszymi, polubiłem ich. O najdroższa, nie pogardzaj mną!

I upadł przed nią na kolana i słodką mową rozbroił serce nieszczęśliwej dziewicy.

Wtem zdaleka dał się słyszeć tętent biegu koni i tuman kurzawy, ozłocony promieniami gasnącego słońca, wzniósł się po nad krzakami o kilkadziesiąt kroków.

— Bożenno, tyś mnie zdradziła! — zawołał młodzieniec — niech ci twój Bóg przebaczy, patrz, biegną mnie zabić!

— Ach, co ty mówisz, jam cię zdradziła! o nie wierz temu, odwołaj to szkaradne podejrzenie, uciekajmy, uciekajmy! — wołała dziewica, rzucając się na jego łono.

Tymczasem nadbiegli kozacy, wydarli z jej objęć lubego i rozsiekali na sztuki...

Umilkła Julja, jakby znużona opowiadaniem tak strasznego zdarzenia.

— Ach, to okropnie! — rzekł wzruszony Jędrzej — a cóż się stało z Bożenną?

— Nieszczęśliwa dziewica chorowała długo, a kiedy odzyskała siły, codzień wieczorem chodziła tajemnie modlić się pod drzewo, gdzie zamordowano jej kochanka i gdzie na pniu umieściła ów obraz. Raz, gdy podług zwyczaju przyszła prosić Boga o spokój duszy lubego, otoczyła ją gromada dzikich tatarów, i mszcząc się za śmierć swego współbrata, którego sądzili, że wydała nieprzyjaciołom, zamordowała nielitościwie biedną dziewicę. Od tego czasu drzewo to szanują tutejsi mieszkańcy nazwawszy je dębem Bożenny. Tu przychodzą modlić się cierpiące dziewice.

— Więc i pani nie jesteś szczęśliwą? i ty cierpisz? — zapytał ze współczuciem Jędrzej.

— Od jakiegoś czasu czuję dziwny ciężar na mem sercu, jakąś niepojętą tęsknotę, jakieś tajne udręczenie — odrzekła naiwnie dziewica.

— Nie sama tylko dzisiaj cierpiałaś, o nie wiesz pani, jakbym pragnął podzielić twoje udręczenia!

— Wierzę ci, twoje serce jest tak wspaniałomyślne.

— Powiedz, Juljo, raczej czułe.

— Czyż nie wspaniałomyślność rozkazała ci ratować nieznanych podróżnych z narażeniem własnego życia?

— To było moim obowiązkiem, jestem wysłany dla ścigania łotrów. Czemuż, Juljo, nie chcesz mi przyznać czułości?

— Bo... boję się tego uczucia.

— Pani!

— Czyż nie czułość była powodem nieszczęść Bożenny? A nasze położenia, przyznaj sam...

— Ach, jeżeli podobna, mówmy o czem innem, mówmy o przyjaźni! Juljo, i ja lękam się czułości, ona i mnie może wiele wyrządzić złego! Są dusze nie stworzone dla szczęścia, a jeżeli się nie mylę, nasze podobne są w tym względzie do siebie!

— Tak jest, tak, Jędrzeju! — zawołała z naiwnym zapałem dziewica — i mnie się zdaje, że często mamy jednakowe myśli i uczucia, że luba zgodność złączy nasze zdania, nasze umysły, nasze dusze!

— Ach, Juljo, z jakąż chciwością chwyta serce moje to coś wyrzekła! Jednak, o Boże! nie dla mnie szczęście... mnie kochać nie wolno!..

— Jędrzeju! — rzekła Śladkowska z przenikającą łagodnością — a przyjaźń? czyś o niej zapomniał?

— O, Juljo, jeżeli mnie choć nią obdarzysz! — zawołał młodzieniec, przyciskając obie jej ręce do swego łona — jeżeli kiedyś, choć w najodleglejszej przyszłości usta twoje dadzą mi nazwisko przyjaciela, zniknie wówczas nieszczęście, bo ta myśl mnie pocieszy!

— Lecz twoja przyjaźń jest zbyt gwałtowna.

— O, Juljo, może stałaby się jeszcze gwałtowniejszą, gdybym dłużej został przy tobie, lecz wkrótce odjeżdżam, nie wiem, czy kiedy ujrzę cię jeszcze, ojciec mnie wzywa!

— Czy tak prędko myślisz nas opuścić.

— Powinienbym dziś jeszcze, lecz nie mogę! wszystko jechać mi rozkazuje, lecz widzę ciebie i zostaję.

— Jeżeli powinność wzywa cię, przyjaźń przypomina ci twoje obowiązki — rzekła słabym głosem dziewica.

— Więc każesz mi opuścić ciebie?

— Tak jest...

— Bez żadnego smutku, bez współczucia?

— I możesz-że tak sądzić?

— Dlaczegóżbym miał myśleć inaczej? po cóż się łudzić?

— Jędrzeju, ty nie myślisz tak, jak mówisz! o jestem tego pewna! — zawołała dziewica, jakby pomimowoli.

— Aniele... — wyrzekł młodzieniec, składając ręce.

Julja zapłomieniona i pomięszana zaczęła iść śpieszniej, Jędrzej zbliżył się do niej i rzekł z troskliwością:

— Pani, idziesz tak śpiesznie, droga jest niebezpieczną...

— O nie obawiaj się o mnie... jużem do niej przywykła.

— Więc często wychodzisz na przechadzki?

— Od kilku tygodni polubiłam dziką naturę tych gór, a przechadzka po nich wlewa jakąś spokojność w moją duszę. Napawając się powabami przyrody, zapominam o sobie i serce pozbywa się udręczającej go tęsknoty.

— Więc pani tęsknisz za rodzinną stroną?

— Dotąd nie, owszem okolice te są tak czarowne, lecz nasuwa mi się myśl, że jestem tu sama, że nikt nie podzieli uczuć, jakie wzbudza widok tych martwych

skał, tej malowniczej, dzikiej natury, tej samotni, że wkrótce i ty opuścisz te miejsca, a pozostanę sama, zupełnie sama, wśród tej pięknej pustyni.

— Fatalna powinność, od której uwolnić się niepodobna!

— O Jędrzeju, od powinności wyłamywać się nie powinieneś, obowiązków, choćby były najprzykszejszemi, dopełnić potrzeba, a wewnętrzne zadowolenie i ta spokojność, że uczyniliśmy im zadość, wynagrodzi i osłodzi poniesioną przykrość.

— Jesteś prawdziwym aniołem, Juljo! — rzekł smutnie młodzieniec — aniołem zimnym, bo bez ułomności. Ja, nierozsądny, rozumiałem, że choć litość nad biednym tułaczem skłoni cię do jakiegoś współczucia, że choć iskierkę pożałowania obudzi w twem sercu!.. O, bo gdybyś wiedziała, pani, jak przykro mi przyjdzie opuścić te miejsca, ile udręczenia mi sprawia sama myśl, że wkrótce odjechać muszę — jakiego męztwa potrzeba, aby wyrzec się dobrowolnie takiego szczęścia, rozkoszy oglądania ciebie, widzenia mego bóstwa, Juljo!..

— Co mówisz, Jędrzeju?..

— Prawda, pani... sam nie wiem... O bo gdybyś pojęła moją rozpacz.

— Nie pragnij tego, może to dla nas obojga zgubnem staćby się mogło.

— Prawda, Juljo — odrzekł młodzieniec, spuszczając z westchnieniem głowę, i milcząc wrócili do zamku.

ROZDZIAŁ XIV.

Wkrótce po wypadku, którego byliśmy świadkami w podziemiu Bałaklaju, spoczywał zamyślony Grzegorz na dywanie, rozesłanym na kamiennej posadzce; czoło jego zachmurzone, oczy, nieruchomie wlepione w jeden punkt, były oznaką, iż bandyta knuje jakieś zamiary.

Kilkodniowa spokojność nudziła go, powietrze tych ciemnych, sklepionych lochów było duszne i gniotło go jak centnarowy kamień. Pragnął wrzawy, bitwy, krwi, widoku śmierci, bo takie tylko wzruszenia utrzymywały go przy życiu. Tydzień spoczynku byłby dla niego nieznośnym, a drugi — jużby go zabił.

W tej chwili lekkie pukanie do drzwi przerwało jego przykre dumania; uderzył Grzegorz w dłonie na znak wolnego wejścia, żelazne podwoje uchyliły się zcicha i ukazała się mała postać żyda.

— Cóż mi masz powiedzieć, ty, uśmiechający się Judaszu — zapytał bandyta, wypogadzając oblicze, bo był pewien, że wiadomość Judki stanie się hasłem do boju.

— Szlachetny panie Grzegorzu, mam bardzo ważną, bardzo pomyślną nowinę do zbycia dla was, wodzu walecznych.

— Pomyślną mówisz, cóż takiego?

— Tak, najpotężniejszy władzco, powiem, powiem w ten moment, ale odetchnę, tak mnie piersi bolą, dostałem takiej duszności, biegnąc do ciebie, panie, a te-

raz ciężkie czasy, niema nawet na kwaterkę miodu, wspaniały...

— Przeklęty lisie, nie nudź mnie — przerwał mu Grzegozz — nie mam cierpliwości słuchać twych głupich pochlebstw! powiedz odrazu, wiele chcesz za twą wiadomość?

— Panie, spuszczam się na waszą hojność, zresztą ten kubek złota — rzekł nieśmiało żyd, wskazując na puhar Grzegorza, leżący na ziemi. — Dalibóg — dodał śpiesznie, widząc, że zbójca marszczy brwi — sprawa ta warta dziesięć razy tyle, tu idzie o zamek Białobrzeskiego.

— O Stajki! — zawołał Grzegorz z żywością, a jego oblicze powlókł rumieniec radości. — Mówże, mów, masz u mnie kubek złota. Hej, Tomaszu, Tomaszu! wydaj z ogólnego skarbca ten kubek złota — i podał zbójcy swój zwykły puhar od picia.

— Waleczny panie Grzegorzu — rzekł żyd, ociągając się nieco za nagrodą — jutro koło południa, lub może wieczorem, kasztelan Białobrzeski ma jechać tędy do Stajków, bo podobno król Władysław szykuje się do wielkiej wojny z Turkiem i polecił panom, aby uzbroili zamki nad Dnieprem. Wszak o ten zamek kusiłeś się, panie, tylekroć, bo w Stajkach sam hetman ze swymi husarzami nic by wam nie zrobił.

— Tak, tak, Stajki są jedną z najobronniejszych warowni nad Dnieprem, — mówił w uniesieniu Grzegorz — przytrzymam kasztelana, wsadzę do lochu i choćby razem z duszą wycisnę z niego rozkaz zdania mi zamku.

— O najmędrszy wodzu, czyż tobie potrzeba podawać sposoby. Na skarby Salomona, tortura ułatwi wszystko, ona zmusi pana Białobrzeskiego do wprowadzenia cię do warowni.

W tej chwili wszedł Tomasz z czarą, pełną złotej monety.

Żyd, jak jastrząb na swą zdobycz, rzucił się do złota, ręce mu drżały, gdy po jednej sztuce przekładał z kubka do swego worka, oczy zaledwie nie wyszły na wierzch głowy, a na łysem czole jak sznurki powystępowały sine żyły.

— O najwspanialszy z panów — mówił, oglądając każdą sztukę — jutro Białobrzeski będzie... troszkę oberznięty z tej strony, ale mniejsza oto... w naszym ręku, a za parę tygodni, ty waleczny rycerzu, wejdziesz... do worka moje zygmuntowskie talary... wejdziesz do Stajków, jako pan twierdzy.

— Mniejsza oto, to już do mnie należeć będzie, kiedy i gdzie wejdę — mówił żartobliwie Grzegorz. — Teraz weź ze sobą jednego z mych ludzi, bo jutro, jak kasztelan będzie mijał twą karczmę, dasz mi przez niego znać, którą obrał drogę, ja z bandą będę czekał pod dębem Bożenny.

Nazajutrz zaledwie świtać zaczęło, Grzegorz zwołał bandę, zbójcy uszykowali się w wieniec, on stanął w pośrodku i rzekł:

— Wczoraj nakazałem wam, byście byli gotowi do wyprawy, dziś dodaję, że los bitwy, którą mamy stoczyć, stanowi o naszej przyszłości, w nagrodę małych trudów dostaniemy potężny, zbrojny zamek Stajki. Dziś

kasztelan Białobrzeski ma przejeżdżać koło karczmy Judki, powinniśmy się starać, aby go ująć żywego, a jeżeli się obejdzie, uczynimy to bez wystrzału.

— Vivat Grzegorz, vivat nasz wódz! — zawołali jego towarzysze, a kamienne sklepienia powtórzyły ponuro ten odgłos.

— Chłopcy, ja będę z wami, będę tarczą, przewodnikiem i wsparciem walecznego, a sędzią tchórza!

— Vivat! — raz jeszcze odbiły sklepienia i zabrzękła broń zbójców, bo zaraz banda wyszła na równinę pod dąb Bożenny.

Minęło południe, a słońca rumaki dążyły znużone do kresu swej drogi. Na małym wzgórku stoi dąb zgarbiony, co piorun strzaskał dumne jego czoło; pod dębem stał Grzegorz, a wejrzenie badawcze zapuścił na drogę, co szła od północy, a stał jak martwy; zda się, że dusza ciało opuściła, by wesprzeć wzrok, co śledził zdobycz.

Wtem radość widoczna błysła na twarzy bandyty, bo tuman kurzu wzniósł się na drodze i Łukasz, jeden z bandy, co czekał w karczmie na przejazd kasztelana na szybkim rumaku pędził ku stanowisku.

— Jedzie, jedzie przez końską dolinę! — zawołał zbójca, stanąwszy przed wodzem.

— Daleko teraz być może? — zapytał Grzegorz.

— Zapewne, dobrą milę, bo tylko co zwrócił nad strumieniem ku dolinie, kiedy po za krzakami puściłem się ku dębowi Bożenny.

— Jesteś gracki chłopak, Łukaszu, — rzekł Grzegorz.

Potem wydał swoim rozkazy: Tomasz z dwudziestu ludźmi obsadzi obie strony drogi przy mostku na końcu końskiej doliny.

Łukasz ze trzema na tym wzgórku stanie na czatach i, w razie jakiej przeszkody, da mi o tem znać. Ja zaś z pozostałymi napadniemy kasztelana. Białobrzeski zapewne jedzie z licznym orszakiem, każdy przeto z twoich, Tomaszu, z poza krzaków po obu stronach drogi niech weźmie na cel swojego — jeżeli ja wystrzelę — wy wszyscy ognia. Lecz osoba kasztelana zostaje nietykalną.

Zaledwie zbójcy zajęli stanowiska, gdy zatętniała podkowa na drodze, coraz bliżej i głośniej odzywa się tętent, aż orszak zbrojny ukazał się na zakręcie drogi, otoczonej zaroślami. Na czele jechał kasztelan, a za nim, po dwóch, długi szereg zbrojnych.

Tylko co zabrzęczał dębowy pokład mostu pod kopytami rumaków, gdy z poza krzaków wybiega Grzegorz z wymierzoną janczarką i silnym głosem zawoła:

— Stój! jestem Biały Grzegorz.

— Biały Grzegorz! — powtórzył chór zbójców z obu stron drogi, a przelękli podróżni ujrzeli z trwogą dwa szeregi wymierzonych do siebie rusznic.

— Złóżcie broń! — zawołał Grzegorz, przykładając do piersi kasztelana koniec swej długiej lufy, — bo jedna chwila zwłoki, jedno poruszenie obrony, a polegnie wasz pan.

Kasztelan w pierwszej chwili sięgnął ręką do pistoletu, lecz, spotkawszy wejrzenie bandyty, opuścił prawicę i rzekł do swych żołnierzy:

— Złóżcie broń!

Słudzy Białobrzeskiego byli posłuszni.

— Teraz, czego chcesz odemnie napastniku?—zapytał kasztelan, — czy złota? oto go masz, klejnotów i kosztowności nie wiozę z sobą, chyba ołów i stal, ale tych nie dozwoliłeś mi użyć.

— Wezmę wszystko, łaskawy panie, — odrzekł bandyta z szyderczym uśmiechem, — nawet ciebie samego.

I skinął na swoich, a dwóch silnych zbójców uchwyciło za cugle jego rumaka.

— Puście mnie, zabierzcie wszystko, pójdę piechotą do domu.

— Nie, kasztelanie, raczysz zaszczycić swą bytnością nasze nędzne schronienie!

— Cóż ci po mojej osobie, pragniesz okupu? przyrzekam ci go zapłacić!

— Później o tem pomówimy, teraz ruszajcie, — rzekł Grzegorz do zbójców.

I orszak pobiegł ku ruinom.

— Wy, chłopcy — odezwał się znów do pozostałych towarzyszy — weźcie postronków, powiążcie tych walecznych obrońców kasztelana i zostawcie jak baranów na środku drogi.

— Bracia, lepiej umrzeć, jak na szlachcica przystoi — zawołał jeden z pomiędzy żołnierzy Białobrzeskiego, — niż dozwolić na taką sromotę! — i dobywszy z kieszeni małej krucicy strzelił do Grzegorza, lecz słaby ten pocisk ześlizgnął się po stalowym naramienniku,

ukrytym pod kontuszem bandyty, a kilka wystrzałów zbójeckich powaliło o ziemię odważnego żołnierza.

W jednej chwili łotry wykonali rozkaz dowódzcy; zostawiwszy powiązanych na drodze i zabrawszy ich broń, ruszyli za kasztelanem do Balaklaju, a wkrótce znikł w wieczornym mroku nawet tuman kurzu, wznoszący się za niemi.

Cisza znów wróciła na drogę oczakowską, czasami tylko przekleństwa lub jęki powiązanych żołnierzy Białobrzeskiego roznosił lekki wiosenny wiaterek, czasami krzyk kruka lub stepowej kani, mieszając się z niemi, napełniał zabobonnym przestrachem nieszczęśliwe ofiary, zalegające drogę.

Gościniec oczakowski wówczas nie bardzo był uczęszczany, zwłaszcza gdy kroki wojenne pomiędzy Portą a Rzecząpospolitą zerwały wszelkie związki handlowe. Minął czasem tydzień, a nikt nie ukazał się na tej drodze wśród pustego stepu. Dlatego bojaźń ludzi kasztelana nie była płonną, łatwo mogli z głodu poumierać, nim niebo zesłałoby kogo na ich wybawienie.

Lecz tym razem Opatrzność okazała się łaskawszą dla niewinnie uciśnionych; jeszcze zupełna ciemność nie objęła okolicy, gdy zdala ich chciwe ucho złowiło głuchy tętent podkowy końskiej; radość i nadzieja ocalenia co chwila stawała się pewniejszą, szum pochodu oddziału jazdy wyraźniejszy. Wkrótce chrzęst zbroi rozróżnić można było wśród tętentu kopyt i poczet towaszy pancernych na czele Jędrzeja zbliżył się ku ofiarom bandyty.

— Łaskawy panie bracie, ktokolwiek jesteś, oswobodź nas z tych przeklętych postronków! — zawołał jeden z żołnierzy.

— Co to znaczy, kto was tak popętał, kto jesteście? — zapytał zdziwiony młodzieniec.

— Ten szatan, Biały Grzegorz. Niema pół godziny, jechaliśmy z kasztelanem Białobrzeskim do Stajków, gdy napadł nas, tak chytrze, tak niespodzianie, że aniśmy się spostzegli, jak nas otoczono ze wszystkich stron, kasztelana samego zabrali, a nas związanych zostawili tu na drodze.

— Przed półgodziną — zawołał Jędrzej — gdzie, w którą stronę odjechali ci łotrzy?

— Tędy, ku Balaklajowi.

— Panie Chorążycu, pozostań tu z trzema towarzyszami, poprzerzynaj im te pęta, a wy, bracia za mną, bieżmy oswobodzić pana Białobrzeskiego!.. później uzbrójcie się, choć w koły i połączcie się z nami — dodał, zwracając się do żołnierzy kasztelana.

Cały oddział popędził galopem ku ruinom.

Banda tymczasem Grzegorza spokojnym krokiem postępowała ku swemu legowisku. Sam wódz, pogrążony w dumaniu, jechał o kilkaset kroków przodem, Tomasz z głównym korpusem, który konwojował kasztelana postępował za nim, a Mańkut, z kilkoma trzymał tylną straż. Właśnie zbójcy zwrócili z końskiej równiny na lewo drożyną, wiodącą do zwalisk, gdy z powiewem wiatru doleciał słabo odzywający się tętent głucho jęczącej ziemi pod kopytami kilkudziesięciu rumaków

i ucichł, po chwili znów się odezwał w bacznym słuchu dowódzcy tylnej straży, lecz już wyraźniej i mocniej.

— Bracia, czy wy słyszycie, jak ziemia dudni? — odezwał się Mańkut do swych towarzyszy — jakby cały pułk jazdy pancernych cwałował w tę stronę? — zatrzymajcie się! hej, Kosooki, posłuchaj no uważnie.

Mały oddział stanął w milczeniu, a jeden z zbójców legł na ziemi, przyłożywszy do niej ucho.

— Ho, ho, czarci te brzęczącą szarańczę niosą na nasze karki! — rzekł po chwili zyzowaty — oj pędzą prosto w tę stronę, już są nie dalej jak z dziesiątek staj, a pewno ich będzie z pięćdziesięciu.

— O przeklęty młokos z Misuryna! — zawołał Mańkut — on to zapewne goni za nami, trzebaby mu dać porządną nauczkę, żeby z pół roku nie wlazł na konia! Biegnij Kosooki do wodza i powiedz mu, że pancerni nas ścigają

Zbójca wypełnił rozkaz przełożonego.

Zabłysły radością oczy Grzegorza na odebranie tej wiadomości, jak lwa, spostrzegającego łup, na który się rzucić zamierza.

— Tomasz z jeńcem niech dąży śpiesznie do Balaklaju — rzekł bandyta, wydając rozkazy. — Mańkut z dwudziestu chłopakami niech się przedrze krzakami parę staj, aż do gościńca, którędy pancerni przejeżdżać mają i rozstawi swoich w zaroślach koło drogi rzadko, tak, aby nieprzyjaciel tylko przeciw pojedyńczym mógł walczyć. Ty, Kosooki, z dziesięcioma udasz się razem z Mańkutem a gdy pancerni miną cię, zabierzesz nieprzyjacielowi tył i tym sposobem przetniesz odwrót.

Reszta bandy przy mnie zostanie. Teraz śpiesznie na swoje miejsca!

Coraz głośniej brzęczała podkowa na gościńcu Oczakowskim; Jędrzej na czele swego oddziału walecznych towarzyszy pędził w ślad za zbójcą, już zwrócił na drogę wiodącą do zwalisk, gdy zdala doleciał jego ucha głos zbójeckiej pieśni, śpiewanej przez kilkanaście męzkich głosów.

Ta zimna niedbałość nieprzyjaciela, lekceważącego jego pogoń, zgromiła młodzieńca, taka spokojność umysłu u nikczemnych zbójców zdziwiła go i przejęła jakimś szczególnym przestrachem, ta lodowata gnuśność ochłodziła zapał jego męztwa.

Niepodobna, aby tak blisko banda nie spostrzegła napadu, ta pozorna spokojność musi ukrywać jakieś podejście.

Jędrzej wstrzymał oddział w zamiarze naradzenia się, coby czynić należało, gdy huk kilkunastu wystrzałów rozległ się o kilka kroków obok drogi, kule świsnęły koło uszu i jeden towarzysz spadł z konia.

— Do broni! —zawołał naczelnik hufca.

Towarzysze porwali za oręże, lecz nieprzyjaciela widać nie było, tylko lekkie obłoczki dymu wznosiły się gdzie niegdzie po nad krzakami.

To szczególne położenie zrodziło wściekłość w duszy młodzieńca.

— Naprzód, bracia! — powtórzył i, spiąwszy konia, popędził ku głównemu korpusowi bandy, gdzie spodziewał się, że znajdzie przytrzymanego kasztelana, ale za-

ledwie kilkanaście ubiegł kroków, znów odezwał się powtórny huk wystrzałów.

Tym razem dwóch towarzyszy z rumakami upadło na ziemię. Wściekłość Jędrzeja nie miała granic.

— Ognia, bracia! — zawołał.

I zadrżała ziemia od wystrzałów kilkudziesięciu towarzyszy, kule zaszeleściały po liściach krzaków, a echo, jakby szydząc z młodzieńca, odezwało się swym śmiechem w oddali. Lecz wystrzał ten był hasłem do rozpoczęcia bitwy. Ciemna noc rozwidniała od częstych wystrzałów, zdawało się, że każden krzak z obu stron drogi kryje za sobą zbójce.

Przywiedziony do ostateczności Jędrzej, postanowił jakimkolwiek sposobem wybrnąć z tego dziwnego i okrutnego razem położenia. O parę staj dalej krzaki około drogi stawały się coraz rzadsze; młodzieniec, czując całą swoją wyższość w walce na otwartym polu, zakomenderował naprzód i uderzył na główny oddział bandy.

Grzegorz mężnie wytrzymał atak pięć razy liczniejszego nieprzyjaciela. Kilkunastu jego zbójców stanęło w poprzek gościńca i gdy na błysk ich wystrzału przelęknione rumaki pancernych zmieszały porządek, bandyci uderzyli na nich z dzidami w rękach, a inni ukryci w krzakach ciągłym ogniem razili ich skutecznie. Żaden wystrzał nie chybił celu i w parę chwil droga okryła się zabitemi końmi bo pancerze były niejaką zasłoną dla jeźdźców.

Jakby na domiar złego Kosooki z tyłu natarł na nieprzyjaciela. Młodzieniec, zatrwożony tym nowym napadem, niewidząc w ciemności nocy siły atakujących,

postanowił przerznąć się, aby w tak niekorzystnej walce nie stracić wielu ludzi. Bandyta też, poprzestając na postrachu, jaki zrodził odpór jego w żołnierzach i nie chcąc osłabić go walką na otwartem miejscu, gdzie siły jego jednem spojrzeniem mogą być zmierzone, nie ścigał nieprzyjaciela, lecz wolno pociągnął ku rujnom.

Oddział Kosookiego pozostał na pobojowisku dla sprzątnięcia trupów.

Tymczasem żołnierze kasztelana, uwolnieni z więzów, uzbroiwszy się w koły i drągi, na odgłos strzałów nadbiegli na pomoc swemu wyswobodzicielowi a napotkawszy cofającego się młodzieńca, połączyli się z nim i zapewniwszy, że siły zbójców nie dochodzą pięćdziesięciu ludzi, nakłonili go, aby wspólnie z nimi natarł na bandytę.

* * *

Grzegorz spoczywał po zwycięztwie w swej podziemnej sypialni, w rogu palił się ogień na kamiennej posadzce, a dym wychodził otworem, naumyślnie na ten cel wyrobionym w sklepieniu, obok niego stało cynowe naczynie, napełnione pieniącym się miodem, i srebrny kubek, zapewne zdobycze na którym dworze, gdy wbiegł zbójca jeden z oddziału Kosookiego, okryty ranami i krwią, a padając prawie bez życia u nóg bandyty, zawołał:

— Wodzu, zabrano nas!..

Jak tygrysica gdy jej doleci ostatni jęk jej szczenięcia, zamordowanego przez myśliwca, z takim rykiem zerwał się Grzegorz.

— Zabrano! kogo, gdzie? — zawołał gromowym głosem.

— W kilka chwil po waszem odejściu — odrzekł zbójca — wrócili pancerni z żołnierstwem Białobrzeskiego i niespodzianie nas napadłszy po rozpaczliym oporze zabrali wszystkich.

— Szatanie, dopomóż mi! — zawołał, porywając swą janczarkę Grzegorz — niech popłynie krew na twoją ofiarę.

— Wodzu, siłą trudno co wskórać, bo!..

— Jak wielki mógł być ich połączony oddział?

— Przeszło stu ludzi zapewne liczy.

— Przeszło stu — powtórzył bandyta i zamyślił się — dokąd zaprowadzili naszych? — zapytał po chwili.

— Nie wiem tego, bom został ranny bez zmysłów na pobojowisku i dopiero gdy ucichł odgłos pochodu pancernych, porwałem się i przybiegłem tu, aby tobie, wodzu, dać znać, o tem co zaszło, lecz sądzę że poszli spocząć do gospody Judki.

— Dobrześ uczynił, mój chłopcze! dobrze!.. powiedz Tomaszowi, niech banda będzie w pogotowiu, niech czeka na mój rozkaz — mówił zbójca, rzucając broń, a natomiast włożył zbroję i ukrył za cholewą obosieczny nóż, potem schował pod czapkę swe białe włosy, okrył się opończą, wybiegł na korytarz, zawołał o konia i, wsiadłszy na niego, pozostawił zdumionych swoich towarzyszy.

Biegł z całych sił do karczmy żyda.

— Kto idzie! — zawołał żołnierz, stojący na straży przed bramą gospody Judki.

— Jestem posłaniec Białego Grzegorza, zaprowadźcie mnie do swego naczelnika.

Żołnierze z zadziwieniem spojrzeli na przybyłego, potem na siebie.

— Tyś jest posłańcem Grzegorza?

— Tak jest! czy mnie nie rozumiecie? chcę być zaprowadzony do waszego dowódzcy i to natychmiast!

— Dobrze mój przyjacielu — odrzekł pancerny — bądź pewny, że cię nie puścimy napowrót bez zezwolenia pana Jędrzeja, choćbyś sam tego pragnął, niepotrzebnie naglisz i rozkazujesz, nie jesteś między swymi.

— Wiem, gdzie się znajduję, a wy wiedźcie także, że, gdy podobać mi się będzie, wrócę, zkąd przyszedłem, na moje wezwanie dwustu ludzi z mym wodzem natychmiast tu stanie.

— To chodź za mną — odezwał się drugi i wprowadził zbójcę do gościnnej izby, gdzie znajdował się Jędrzej. — Panie rotmistrzu, posłaniec od zbójców przybył, aby mówić z wami.

— Czegóż chcesz? — zapytał młodzieniec.

— Wódz mój rozkazał wam oświadczyć, iż pragnie wejść z wami w układy o zamianę brańców.

— Żadnych układów! orężem odbiję mych towarzyszy, jeżeli jakich macie u siebie.

— Jeszcze nie urodził się człowiek, któryby pokonał Białego Grzegorza — wyrzekł zbójca, a oczy jego zabłysły najżywszym ogniem.

— Jesteś zapewne jednym z lepszych w bandzie? — zapytał młodzieniec, spostrzegając ten zapał.

— O nie, jestem ostatni!

— Lecz godzien twego herszta.

— Szczycę się tem!

— Lecz on już się takim śmiałkiem szczycić nie będzie, już ztąd nie wyjdziesz.

— Nie lękam się tego? Rycerze szanują prawo, przez narody uświęcone, z zaufaniem i bezbronny oddałem się w wasze ręce, a potem sam byś żałował tego.

— A to dlaczego?

— Bo utracicie przez to sposobność przyprowadzenia do hetmana samego Grzegorza?

— Jakto?

— Mój wódz, uprzykrzywszy sobie życie rozbójnicze, przejęty skruchą, pragnie umrzeć nawrócony.

— A więc?

— Pragnie rozpuścić bandę i sam oddać się w wasze ręce, jeżeli przyrzeczecie przebaczenie jego ludziom i wypuścicie na wolność jeńców.

— Jestem gotów przychylić się do twego żądania, jakaż rękojmia pewności.

— Dajcie słowo szlacheckie, że wypuścicie na wolność jego towarzyszy, gdy on sam odda się w wasze ręce, a za chwilę Biały Grzegorz będzie twym niewolnikiem.

— Jakem szlachcic przysięgam, że jego ludzie zostaną wolni, skoro rozpuści bandę i odda się w moc naszą.

— Ufam, ci młodzieńcze—odrzekł bandyta—jestem Biały Grzegorz—i zdjąwszy czapkę ukazał swe długie, siwe włosy.

Szmer zadziwienia rozszedł się po izbie, potem głuche nastało milczenie. Zbójca, przed którym drżała cała okolica, z którym najmężniejsi nie odważyli się zmierzyć, sam, bezbronny, stanął w pośród nieprzyjaciół.

— Panie rotmistrzu, pragnąłbym jeszcze pożegnać się z mymi ludźmi, którzy są u ciebie w niewoli, dlatego nim wrócisz im swobodę, racz zezwolić, aby się ze mną widzieli.

Młodzieniec zamyślił się na chwilę, jakieś wahanie się widać było na jego obliczu. Czyby w tem poddaniu się Grzegorza był jaki zamiar zdrady?.. lecz zbójcy są rozbrojeni, cóż zdoła ośmiu przeciw tylu żołnierzom z bronią w ręku?.. jednak trzeba być ostrożnym.

— Dobrze, uczynię zadość twemu żądaniu — rzekł nakoniec Jędrzej—zaraz wydam rozkazy — panie podczaszycu — dodał, obracając się do towarzysza — rozstaw waść wartę przy oknach i drzwiach, potem pilnie opatrz naszych niewolników, czy nie ukrywają broni, i wprowadź do tej komnaty.

W izbie panował dość mocny zmrok, który tylko ogień, palący się na kominie rozsiewał nieco. W najciemniejszym kącie na ławie siedział Grzegorz, bez więzów lecz i bez broni, trzech towarzyszy pancernych stało przy oknie i spoglądało na dziedziniec, a dwóch strzegło drzwi. Jędrzej śpiesznie chodził po komnacie ze spuszczoną głową, tonąc w myślach, unoszących jego młodzieńczą duszę.

Bandyta nieznacznie schylił się, wyciągnął z za cholewy nóż i ukrył go w rękawie żupana, potem, od-

piąwszy świecący bawoli trok od szabli, wyrył na nim następne słowa:

„Jestem w rękach pancernych, aby wyswobodzić naszych braci. Tomasz z bandą niech śpiesznie podciągnie pod karczmę Judki. W stodole śpią nasi nieprzyjaciele, niech Mańkut ostrożnie przycołgnie się do niej, podeprze wrota i zapali.

Potem ukrył nóż w dawne miejsce i zapiął pendent.

Wkrótce drzwi się otworzyły i kilkunastu pancernych wprowadziło do komnaty rozbrojonych zbójców.

Grzegorz podniósł się i postąpił na środek.

— Nasz wódz! — zawołali jego ludzie.

— Tak, moje chłopcy, byłem nim do dnia dzisiejszego, teraz jestem niewolnikiem, jak wy bracia.

Jeden ze zbójców spojrzał na bandytę z zadziwieniem. Grzegorz zmarszczył brwi, zwróciwszy oczy na Jędrzeja, zbójca go zrozumiał, a radość ożywiła jego oblicze.

— To krwawe życie — mówił dalej — uprzykrzyło mi się, przelana krew braci rodaków, w pośród których dawniej kosztowałem tyle rozkoszy, słodyczy, szczęścia! o szczęścia prawdziwego — mówił z ironją — piecze moje serce, i dlatego postanowiłem dobrowolnie oddać się w ręce sprawiedliwości, aby odpokutować za zbrodnie i wyswobodzić was, jako niewinne narzędzia mych występków... Bądźcie zdrowi, chłopcy, poprawcie wasze życie i wspomnijcie czasem o Grzegorzu!.. Ten trok oddajcie na pamiątkę Tomaszowi — dodał, podając bawoli pendent z tajemniczym napisem — powtórzcie mu mo-

je wyrazy, powtórzcie, że rozkazuję mu, aby rozpuścił bandę i zmienił sposób życia!

Zbójcy, odbierając dar, ucałowali ręce wodza.

— Odejdźcie teraz, bo wasz widok może zachwiać moje postanowienie!.. bądźcie z Bogiem, jesteście wolnymi!

I zakrył oblicze rękami, odwracając się. — Zbójcy odeszli. Znów powróciła dawna spokojność, Grzegorz usiadł na poprzedniem miejscu. Jędrzej wyszedł spocząć do drugiej komnaty, zostali tylko żołnierze, trzymając straż, i więzień.

Tak minęła północ.

Wtem nagle czerwona jasność oświeciła komnatę, kłęby czarnego dymu napełniły dziedziniec i rozległy się odgłosy: Gore! gore!

— Stodoła się pali! — zawołał żołnierz, stojący u okna.

— Jezus Marja! tam śpią nasi towarzysze!

— Ale co to znaczy, nie widać, żeby kto gasił pożar! czy śpiących ogarnęły płomienie, wybiegnij no, zobacz, co się tam dzieje!

Towarzysz, trzymający straż u drzwi, wybiegł na podwórze, a drugi zbliżył się do okna, aby spojrzeć na pogorzel.

— Na rany Chrystusa, co za straszny pożar! jak gwałtownie rozszerzają się płomienie!.. już pochłonęły całą stodołę!.. już zajmuje się dach stajni, gdzie są umieszczone nasze konie... Ach do krocset tysięcy!.. drzwi podparte, Zadzik wyrywa zaporę... nie może dać rady!..

bracie, biegnij mu na pomoc, bo wszyscy towarzysze nasi zagorzeją! co to jest?

— Ha, ha, ha! cóż tam dalej? mów, mów, panie pancerny! — odezwał się Grzegorz z piekielnym śmiechem — nie uwierzysz, jaką mi to rozkosz sprawia! pytasz; co to znaczy? To jest pokuta za zbrodnie Białego Grzegorza!.. mówże dalej, co się tam dzieje? — rzekł, nie wstając z ławy.

Żołnierze osłupieli ze zgrozy i zadziwienia,

— Milczysz?.. muszę sam zobaczyć, kiedyś taki nieusłużny, mój panie bracie.

I wstawszy wolnym krokiem postąpił ku drzwiom.

— Stój! — zawołał pancerny, zastępując mu drogę.

Grzegorz uderzył go w bok nożem, towarzysz upadł, a zbójca wyszedł, niezatrzymany przez nikogo.

Kilkudziesięciu żołnierzy kasztelana Białobrzeskiego, śpiących w stodole, umarło w płomieniach, towarzysze tylko Jędrzeja, stojący przy koniach w stajni, ocaleli.

ROZDZIAŁ XV.

Na prawej stronie Dniepru, gdzie mała rzeczka Końskie wody, swem korytem często łącząc się z nim i znów rozdzielając, formuje mnóstwo piaszczystych wysp, leży zamek Stajki, a u jego stóp rozsiane chatki sioła, noszącego toż samo nazwisko *).

*) Baupleau w opisie Ukrainy.

W ostatniej chałupie od strony końskiej równiny mieszkał zamożny kozak Tymofiej Wołodarski z żoną i dwojgiem małych dzieci.

Owej nocy, kiedy Jędrzej, wsparty oddziałem żołnierzy Białobrzeskiego, powrócił na plac bitwy i po krótkiej utarczce zabrał kilkunastu zbójców, do drzwi Tymofieja zapukał jakiś człowiek, prosząc o gościnność i przytułek.

— Bat'ku ratujte! — rzekł do niego, wstępując za próg, a Tymofiej, widząc słabość gościa, wsparł go na swem ramieniu. Nieznajomy zaledwie stał na nogach, ciało miał krwią zbroczone.

— Kto jesteś? — zapytał Wołodarski, spojrzawszy z przerażeniem na przybyłego.

— Ach, panie, przyjmij mnie pod swój dach, jestem podróżny, szedłem do Oczakowa, gdy ten przeklęty Biały Grzegorz ze swymi rozbójnikami ograbił mnie i poranił.

Tymofiej z niedowierzaniem spojrzał na mówiącego, na jego obosieczny nóż, zatknięty z tyłu za pas, na jego bogaty żupan, zniszczony tylko nieoszczędnem używaniem, na dzikie rysy i zarosłą twarz, potem zwrócił wejrzenie na swoją żonę i rzekł zimno:

— Pozostańcie, nikt nie powie, że Tymofiej odmówił bliźniemu chleba i soli w swym domu. I rozkazał żonie opatrzeć rany gościa i usłać mu łoże.

Nieznajomy położył się, lecz Hanna, żona Wołodarskiego, spostrzegła, jak wyjął z kieszeni pistolet i schował go pod głowę; natychmiast z tą wiadomością pobiegła do męża.

— Tymofieju, jesteśmy zdradzeni!—zawołała, drżąc cała — ten mniemany podróżny jest zbójcą Białego Grzegorza! on nas oszukał swoją powierzchownością, mając zapewne zamiar wydania zbójcom.

— Kto ci to powiedział? czyś nie widziała, że cały był pokryty ranami, przecież naumyślnie nie kaleczyłby swego ciała.

— Mężu, wierz mi, że to jest zdrada! widziałam z komory przez szparę we drzwiach, jak po naszem odejściu wstał z posłania, jakby zupełnie zdrów, wyjął z kieszeni swego ubrania błyszczący nóż i pistolet, które schował pod głowę.

Tymofiej zamyślił się nieco.

— Ale bo wy kobiety zawsze więcej widzicie, jak jest w samej rzeczy, może ci się zdawało?

— Ach, mój drogi, czyś sam nie widział na nim tego bogatego żupana, czy to kupcy podróżni noszą podobne.

Wtem Wołodarski, zwróciwszy oczy ku oknu, spostrzegł czerwoną łonę, rumieniącą niebo.

— Ach, Hanno, patrzaj, gore gdzieś w pobliżu! — zawołał, zrywając się z pościeli. Wołodarska wybiegła na dwór przez komorę. Tymofiej zaczął się śpiesznie ubierać i pośpieszył za żoną.

Karczma Judki, oddalona o małe pół milki, była cała w płomieniach.

— Żono moja, to zapewne napad Tatarów, trzeba śpieszyć, okulbacz mi konia, ja się tymczasem wybiorę.

W przeciągu dziesięciu minut Wołodarski, pożegnawszy żonę, opuścił dom, a Hanna, zaparłszy mocno okiennice w izbie, gdzie spoczywał nieznajomy, i pozamykawszy drzwi, usiadła w okienku komory i utopiła wzrok w szybko szerzących się płomieniach dokąd odjechał Tymofiej.

Wołodarski, przybywszy na miejsce pożaru, dowiedział się, że nie Tatarzy, ale zbójcy, byli jego przyczyną. Wtedy dopiero uwierzył domysłom żony i postanowił podejrzenie swoje powierzyć dowódzcy pancernych.

— Panie rotmistrzu! — rzekł, przystępując do Jędrzeja — dziś wieczorem jakiś człowiek, mocno pokaleczony, mieniąc się podróżnym kupcem, przybył do mej chaty, prosząc o gościnność, lecz, jak sądzę z jego uzbrojenia i ukrytej broni, musi to być jeden z bandy Białego Grzegorza.

— A gdzie mieszkacie? — zapytał młodzieniec.

— Niedaleko końskiej równiny, na końcu Stajków.

— Ach, więc w bliskości, gdzie dziś stoczyliśmy bitwę! i sądzisz że, dotąd znajduje się w twej chacie?

— O jestem tego pewny, gdyż zostawiłem go w takim stanie, iż niepodobieństwem jest, aby mógł odejść.

Tymczasem ugaszono pożar, a Jędrzej, podziękowawszy Bogu, że tak piekielne podejście bandyty pozbawiło go tylko kilku towarzyszy, udał się z Tymofiejem do jego zagrody i uwięził zbójcę.

Judka słyszał całą rozmowę Wołodarskiego z Jędrzejem, i przekonawszy się, że tym podróżnym kupcem był jeden z bandy Grzegorza, że został osadzony w zamku i może być dręczony torturą o wydanie schronienia zbójców, udał się do Balaklaju i uprzedził bandytę o grożącym mu niebezpieczeństwie, zyskawszy znów za to puhar złota.

W kilka dni później zgorzały gumna, stajnia i obory Tymofieja, w płomieniach umarł jedyny syn jego, sam Wołodarski został potłuczony przez walące się belki, a młoda Hanna zmuszona była pielęgnować małą przy piersi córeczkę i chorego męża.

Siedm dni i nocy strawiła bez przerwy nieszczęśliwa kobieta przy łożu męża, nareszcie te trudy i nieszczęścia, utrata dziecka, majątku i choroba męża stargały jej siły — cierpienia przewyższyły moc duszy i siłę zdrowia — ósmego dnia nieszczęśliwa, usłyszawszy przyzywający ją głos Tymofieja, nie była już w stanie podnieść się dla niesienia mu pomocy.

Wołodarski, nie otrzymując żadnej odpowiedzi na swoje wołania, zdziwiony złowróżbnem milczeniem, podniósł głowę i ujrzał Hannę, leżącą bez przytomności przy swem łożu. Zbiera ostatnie siły, wstaje, podnosi żonę i składa ją na posłaniu, gdzie ujrzał leżące już zimne ciało maleńkiej córki.

Nieszczęsny ojciec uchwycił się za włosy upadł na kolana i zajęczał boleśnie.

— Mężu! — odezwała się Wołodarska.

— Hanno droga, nasze dzieci!

— Tak się Bogu podobało — nie żyją!

— Co tobie jest, czy mocno cierpisz?

— Tu mnie boli — rzekła ledwo dosłyszanem głosem, ściskając się za żołądek — boli okropnie!.. jeść, mężu!

— Jeść! — powtórzył Tymofiej, wodząc błędnie wejrzenie w około, lecz nie ujrzał tego, czego chciwy wzrok jego szukał. Natężywszy siły, zawlókł się do komory, lecz i tam nie znalazł żadnego pożywienia. Chciał wyjść, prosić sąsiadów o ratunek, ale napróżno, nogi pod nim zadrżały, zimny pot oblał ciało, ściemniało w oczach i upadł bez zmysłów.

Wieczorny chłód wrócił przytomność nieszczęśliwemu, lecz cierpienia wyczerpały wycieńczone siły — mimo kilkokrotnych prób nie mógł się podnieść.

Niczem boleści Tantala, w porównaniu z cierpieniami Tymofieja, o parę kroków konała jego żona, konała z głodu, a on nie był w stanie podać jej pożywienia, któreby ją ocalić mogło.

Ołowiona niemoc objęła w swe okowy wszystkie członki Wołodarsskiego, pozostawiwszy w całej sile zmysły czucia i pojmowania.

Nad wieczorem przybył do jego chaty ekonom ze dworu, nakazując wysłanie podwody.

— Panie Budurkowicz, moja żona kona, dzieci pomarły, dobytek zgorzał!.. ratujcie mnie! kawałek chleba, zmiłujcie się!

Ekonom wszedł do chaty, spojrzał na łoże, gdzie spoczywały dwa trupy, żony i córki Wołodarskiego, ruszył ramionami i wrócił do zamku, donosząc o wszystkiem, co widział.

Intendent Białobrzeskiego rozkazał opatrzyć Tymofieja, odbudować chatę i stodoły, lecz wszystko było już bezpotrzebne. Nieszczęśliwy stracił rozum.

Taka była zemsta Grzegorza.

ROZDZIAŁ XVI.

Już odgłos wojny doszedł nawet w okolice Dniepru. Wieść ta przeraziła Jędrzeja, bo spodziewał się, że ojciec wezwie go do siebie, by pod jego okiem wprawił swe ramię do ćwiczeń wojennych.

— Synu! — rzekł do niego, oddając mu swą karabelę, gdy go wyprawiał przeciw zbójcom — weź tę broń, niech ona szczęści twe pierwsze kroki, podjęte dla dobra ojczyzny, niech one będą godne ciebie, imienia twych przodków i tego błogosławionego oręża. Z nią wojował twój dziad, z nią walczyłem ja pod Cecorą i pod Hamersztynem, jako zwycięzca szwedzkich jenerałów Strefa i Teufla. Walcz teraz z wewnętrznymi nieprzyjaciółmi z łupieżcami, może wkrótce wydarzy sposobność obszerniejsze dla ciebie pole (co niech Bóg da, abym się niemylił) a wtedy wezwę cię do siebie i w boju poprowadzę twe pierwsze kroki.

Jędrzej, znając swego ojca, był pewnym aż nadto, że dotrzyma słowa, a sama myśl opuszczenia miejsc, gdzie mieszkała Julja, była dla niego okropną.

Młodzieniec od pierwszego wejrzenia na to białe, to tajemniczą pięknością duszy jaśniejące oblicze Julji,

z pierwszem usłyszeniem czułego jej głosu, z pierwszą rozmową w której się odbiła, cała dobroć i czystość duszy tej zachwycającej istoty pokochał ją miłością czystą, ognistą, jako pierwsze uczucie.

I mogłaż Julja nie poznać, nie ocenić, nie uczuć tej miłości? tylko kobieta przesycona nie wzruszy się, nie podzieli tak czystego uczucia.

Julja dążyła tą ścieżką, usypaną kwiatami, drogą uroków i marzeń; tak spokojnie, tak szybko, miło, unosiło ją szczęście, iż mimo wiedzy zbliżała się do kresu, przy którym każda inna kobieta jużby nie mogła wstrzymać dłoni, nie otworzywszy świątyni rozkoszy. Ale ona była wyższą nad inne kobiety; mimo silnej miłości przeważała w niej wewnętrzna godność i nieskażoność uczuć.

Miłość Jędrzeja była jeszcze wyższą. Płomień, który ją rozżarzył już nigdy zgasnąć nie miał. On kochał Julję dla niej samej, dosyć było dla niego widzieć ją codzień, słyszeć, rozmawiać, poić się urokiem swych niebieskich marzeń. On nie myślał, że tak nie będzie zawsze; nie widział dalej przed sobą tylko dziś, bo jutro było dla niego jedną całością z dniem dzisiejszym. Byłby tak długo, całe życie, przetrwał.

Lecz wieść o wszczynającej się wojnie przypomniała mu słowa ojca i nasunęła myśl, że trzeba będzie opuścić Julję. Domysł ten aż nazbyt szybko się spełnił. Pewnego poranku przybył do zamku posłaniec i przywiózł list do Jędrzeja.

Ojciec jak najśpieszniej przywoływał go do Warszawy.

Jędrzej, ujrzawszy to pismo, zgromiony został okropnem przerażeniem, jakaś mgła zasłoniła mu oczy, nie mógł czytać, bo przewidywał treść listu. Wola ojca była świętą, potrzeba choć z rozpaczą poddać się konieczności; pragnął tylko choć raz jeszcze na osobności mówić z Julją.

W tym zamiarze wyszedł do ogrodu, lecz tam jej nie było; wchodzi do mieszkania Śladkowskiego, Julja siedziała przy oknie, mając głowę, wspartą na ręku.

— Jędrzeju! — rzekła — odebrałeś dziś pismo od ojca, co ono zawiera w sobie, ach, powiedz! bo postać twoja przeraża mnie! czy jakie nieszczęście?

— Juljo... — odezwał się młodzieniec, lecz dalej nie mógł mówić.

— O mój drogi, co się stało?

— Przysięgnij mi, Juljo moja, przysięgnij, że mnie zawsze kochać będziesz!

Dziewica zapłonęła i schyliła głowę, ona kochała Jędrzeja, lecz nigdy mu tego nie wyznała. To mimowolne wydarcie jej tajemnicy serca, to odgadnięcie jej uczuć, z których sama nie zdawała sobie rachunku, przeraziło ją; lecz miłość była wyższą nad ten chwilowy przestrach, dlatego, ulegając prośbom kochanka, wyrzekła przytłumionym głosem:

— Przysięgam, że cokolwiek powiesz, o czem kolwiek się dowiem, kochać cię nie przestanę do śmierci!

— O moja najdroższa, jutro opuścić cię muszę! — wyrzekł młodzieniec ze smutkiem.

— Ach, co mówisz! — zawołała przerażona dziewica — ty nas opuścisz! odjedziesz? nie! to niepodobna!..

ach, tyś żartował, o powiedz! że żartowałeś!.. Jędrzeju, ja bym umarła ze smutku, z tęsknoty, wpośród tych pustyń!.. Nie to być nie może, ty nie odjedziesz!

— Ojciec mnie wzywa! — odrzekł młodzieniec, znękany smutkiem.

— Ojciec?.. ach wielka powinność, musisz być posłusznym, ale, najdroższy, co się zemną stanie?

— O moja Juljo, odjadę aby uprosić go o pozwolenie połączenia się nazawsze z tobą!.. gdy odmaluje mu twoje cnoty, twoją duszę, twoją dobroć! ojciec, który dotąd żył tylko dla mego szczęścia, przeciwnym nie będzie.

— Jędrzeju — odpowiedziała pocieszona nieco dziewica — nigdym cię nie pytała o twoje nazwisko, o rodzinę, byłeś tajemniczym, nie pragnęłam zgłębiać powodów, które cię do tego znaglały, i teraz nawet, gdy masz nas opuścić, składam w twoje ręce moją przyszłość, mój byt, moje przeznaczenie, ujrzę cię odjeżdzającym, z okropnym żalem, ale bez żadnej nieufności.

— O moja najdroższa! — zawołał Jędrzej, padając do jej nóg — nie powątpiewaj o mojem przywiązaniu, o mej szlachetności, za moim dopiero powrotem osądzisz, czym był godny ciebie!

Zaledwie młodzieniec kończył te wyrazy, gdy wszedł Śladkowski, kochankowie nie słyszeli jego zbliżenia.

Julja zerwała się zapłoniona, Jędrzej zmieszany pozostał na kolanach.

— Nie rumieńcie się, moje dzieci — rzekł z uśmiechem — czegóż obawiać się macie ojca, którego jedynem życzeniem widzieć swe dziecie szczęśliwem? Oddawna,

Juljo, myślałem o mężu, godnym ciebie, sama uczyniłaś wybór w Jędrzeju, jeżeli on ciebie kocha, bądźcie szczęśliwymi.

— O drogi ojcze! — zawołała Julja, rzucając się na jego łono.

— Dzieci moje, wasze szczęście będzie pociechą mej starości, lecz, Jędrzeju, jesteś pewny zezwolenia twych rodziców?.. Ach prawda, przez Bóg żywy! ja nawet nie wiem, kto oni są?

Młodzieniec nic nie odpowiadał, a na jego obliczu widać było pomieszanie; zdziwiło to szlachetnego starca i powtórzył z żywością:

— Młodzieńcze, kto ty jesteś?

Jędrzej milczał ciągle.

Śladkowski wziął go za rękę i, spoglądając surowo w oczy, rzekł:

— Słuchaj waść, jeżeliby podobna było, ażebyś starał się pozyskać przywiązanie młodej dziewczyny, nie będąc wolnym, lub godnym przyjąć jej ręki, uważałbym cię za najpodlejszego z ludzi!

Młodzieniec zadrżał.

— Czy sądzicie, panie, że dozwolę nawet ojcu Julji czynić sobie podobne zarzuty!

— Wybacz mu, mój ojcze! — zawołała dziewica — to boleść, iż ma nas opuścić, uczyniła go tak nieuważnym i porywczym!

— Opuścić nas! gdy jak lis potrafił podejść twoje niedoświadczenie!

— Ojciec go wzywa.

— Zkąd to wiesz?..

A zwracając się do Jędrzeja zapytał:

— Kto jest twoim ojcem, mów, mów natychmiast!

Młodzieniec wahał się, bo wiedział, że, gdy odkryję swoje nazwisko, Śladkowski tym mocniej zwątpi o szczerości jego uczuć, bo córka prostego szlachcica będzie zbyt nizką dla niego partją.

Ojciec Julji, spostrzegłszy to wahanie, zawołał z gniewem.

— Córko! ten człowiek jest oszustem, zwiódł nas oboje!

— Oszustem!.. powtórzył młodzieniec, jakby uczuł ukąszenie węża —jam słyszał te wyrazy i bez urazy je znoszę... Ach gdyby to wiedział mój ojciec!.. lecz sprawiedliwie macie prawo mnie posądzać, obarczać nawet twardszymi wyrzutami, gdyż pod pewnym względem jestem winny i nie mogę się usprawiedliwić! O gdybyś, panie, mógł pojąć, co cierpię, czyniąc wam to wyznanie, gdybyś mógł pojąć powody, skłaniające mnie do milczenia, nie zganił byś pewno mego postępowania.

— O mój ojcze, on prawdę mówi, jego głos mnie przekonywa! — zawołała Julja.

— Jesteś dzieckiem, Julio, i nie możesz sądzić o prawdzie ze słów jego — odrzekł Śladkowski.

Potem zwracając się do młodzieńca, zapytał:

— Czy jesteś wolnym, Jędrzeju?

— Wolnym.

— Czyś szlachcic?

— Urodzenie moje godne waszej córki, panie!

— Kochasz ją?

— Nad wszystko!

— I pewny jesteś, że wolno ci będzie przyjąć jej rękę?

— Tak jest, bo miłość taka, jak moja, nie zna przeszkód!

Poczem, zwracając się znowu do córki, dodał:

— A ty, Julio, wierzysz jego słowom?

— O, mój ojcze, jego głos jest dla mnie głosem samego nieba.

— Dobrze, więc udajcie się ze mną do kaplicy zamkowej, kapłan wasz związek pobłogosławi. Jędrzej, wyszedłszy ze świątyni, pojedzie natychmiast do swego ojca po zezwolenie.

Na te słowa nagła radość zabłysła na czole młodzieńca, lecz prędzej jeszcze martwa bladość powlekła jego oblicze.

Miałże pod przybranem nazwiskiem przyjąć błogosławieństwo kapłana i aż do stopni ołtarza oszukiwać kobietę, którą kocha nad wszystko, która mu zaufała w swej niewinnej prostocie! Odkryć znów swoje nazwisko byłoby to samo, co narazić się na odmowę Śladkowskiogo, on aż nadto jest szlachetnym i dumnym, aby miał samowolnie wdzierać się w rodzinę, któraby go nie z ochotą przyjęła. Lubo u nas, szlachcic na zagrodzie równa się wojewodzie, jednak istnieją uprzedzenia, któreby ten związek nazwały niestosownym.

Te myśli lotem błyskawicy przebiegły umysł Jędrzeja i zamieniły nagłą jego radość w okropną rozpacz.

— Wahasz się więc! — zawołał zmienionym głosem Śladkowski.

— Nie, panie! ale honor, powinność, samo przywiązanie do córki twojej, rozkazuje mi nie przyjąć łaski, której z całej duszy pragnąłem.

— Honor, mówisz! nikczemny uwodzicielu! a honor dozwolił ci podejść tę niewinną i prostą dziewczynę jedwabnemi słówki!.. Gdyby nie pamięć, żeś nam tak wielką uczynił przysługę, rozkazałbym pachołkom wypędzić cię, jak podłego infamisa!.. patrz na to dziecko, we łzach tonie za błąd, któregoś stał się powodem. Odejdź ztąd; odejdź natychmiast!

Julja upadła do nóg ojca.

— Ojcze, wybacz mu, on jest uczciwym, on mówi prawdę, zaufaj mu!

— Milcz, waćpanna, ja lepiej umiem sądzić o prawości ludzi! ich własne czyny najlepsze dają o nich świadectwa, oddal się do swojej komnaty!

I, wziąwszy córkę za rękę, wyprowadził z pokoju.

Jędrzej został jak pozbawiony zmysłów. Rozpacz, gniew, żal, rozrywały jego duszę, niedozwalając mu zgromadzić myśli i zastanowić się. Głowa jego pałała, krew wrzała i serce ścisnęło się.

Cóż miał czynić, czy odjechać, unosząc gniew Śladkowskiego i spokojność jego córki?

Po tem zdarzeniu, po takiem pożegnaniu ojca Julji, widzieć się z nimi było niepodobna.

Został wypędzony!..

Ten straszny wyraz ognistemi kolorami przedstawiał się oczom jego duszy. Młodzieniec zakrył twarz rękami i wybiegł śpiesznie z komnaty.

Na korytarzu służąca Julji, zabiegłszy mu drogę, wręczyła maleńką karteczkę. Jędrzej wyczytał te wyrazy:

„Jedź, mój drogi, dokąd cię powinność wzywa, niech Bóg strzeże twej drogi! Nie zapomnij o Julji, która wierzy ci, jak słowom nieba, i liczyć będzie godziny twego powrotu. Bądź zdrów!“

— O, anielska istota! nie zawiodę jej zaufania! powiedz, że wpierw niebo i ziemia zmienią porządek swego biegu, niż ja moje uczucia!

I śpiesznie pobiegł do stajni, gdzie stał jego rumak. Na dziedzińcu oczekiwali go towarzysze.

ROZDZIAŁ XVII.

Ponura, czarna, jak dusza zbrodniarza, noc jesienna, owładnęła pod swe panowanie równiny nad Dniestrem. Wspaniała rzeka toczy majestatycznie swe wody po równym gruncie, bez szumu, baz piany, jak mocarz dumny, że tyle drobnych narodów zagarnął i wcielił do swego państwa.

Czasami zalotna gwiazdka, wyjrzawszy śród czarnych obłoków, odbije swe śmiejące drobniuchne oblicze w jego kryształach, niekiedy znów swawolny wiaterek zaszeleści wybujałą trawą na stepie i ucichnie, przynosząc oddalony odgłos przeciągły, jednostajny, jak echo odbitego wołania, lub podziemny jęk.

Noc ciemna nic widzieć nie dozwala, lecz mimo to wie każde dziecko nawet w tych stronach, że na

tamtym brzegu stoi obóz wielkiego hetmana Koniecpolskiego.

Już od kilku tygodni wojownicy niecierpliwią się bez bitwy, a wódz ich przezorny, pragnąc uniknąć przelewu krwi, umawia się podobno z bisurmanami nad przywróceniem zgody. Wielu wprawdzie znajduje przeciwników, bo rycerze nie lubią rafinowanej polityki, wolą siłą oręża dojść tego, co inni przebiegłością dostępują.

— Lada jaki pokój dają darmo, lecz dobry mieczem wymódz potrzeba! — takie głosy rycerstwa słyszeć się dają powszechnie na roztropne przedstawienia wielkiego hetmana.

Wtem zdala odezwał się skrzyp kół i na drodze od brzegu rzeki ku Kamieńcowi Podolskiemu ukazała się bryka, obok niej konno jechało dwóch mężczyzn, a dalej nieco orszak, składający się z kilkunastu ludzi.

— Najgorsze złe, mój bracie — rzekł jeden z jadących wierzchem — ma swoją dobrą stronę, wojna, co innych niszczy, ciebie zbogaca, wszyscy na nią płaczą, lecz ty błogosławić powinieneś.

— Żartujecie sobie ze mnie, panie chorążycu, przecież i dobro innych obchodzi mnie także — odrzekł siedzący na wozie — nierozumny kto może korzystać, a nie chce, zwłaszcza bez szkody cudzej, ale owszem wyświadczając panom szlachcie przysługę.

— Dobra przysługa, za którą tak hojnie płacą, za twoją żywność, której nam dostarczasz, zarabiasz grosz

na groszu. Dalibóg, że gdyby na to nic nie powiedzieli panowie bracia, ja sambym kupczył.

— Szewc szyje buty, a szlachcic włada orężem— rzekł zimno drugi z konnych.

— No, no, nie gniewaj się, panie rotmistrzu — zawołał pierwszy — przecież ja tylko żartuję, wolę wojować pałaszem, niż mierzyć kwartą, boć to i szlachetniej i zręczniej mi idzie.

— Jednak teraz zapewne nie doczekamy tej radości, aby choć popróbować naszych szabli na karkach bisurmanów — rzekł rotmistrz — człowiek pleśnieje w obozie, jak cegła w starym murze, nie może sypiać, marzy, oczekuje tej bitwy, jak kania dżdżu, a panowie dygnitarze, zamiast zmiłować się nad nami, radzą pokryjomu, targują się, kłócą, aby jak kupcy wyłudzić zgodę.

— Boć to przecie, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, najpomyślejsza wojna kosztuje zawsze kilka tysięcy głów, lepsza chuda zgoda, niż tłusta wojna.

— Tak mówią i myślą tchórze i wy mieszczuchy — zawołał z gniewem rotmistrz — sam król nawet nie podpisze chudej zgody. Widziałeś nasz obóz, dwie mile zajmuje przestrzeni, a jednak nie mógł pomieścić wszystkiego rycerstwa, 12,000 kozaków stoi osobno, *) czyż, posiadając takie siły, potrzeba się uniżać?

— Jednak mówiliście, że hetman pragnie zgody? — zarzucił mieszczanin.

---

*) Historyczne. Obacz kronika Ruska, w kontalniku naukowym, Tom 3.

— Ale zgody bez poniżenia, zgody, któraby równą była zwycięzkiemu pokojowi.

— Nie wiem, czy mu się to uda, bo słyszeliście zapewne, jak turek odprawił naszego posła — rzekł znów mieszczanin.

— Oho, już rzeczy zupełnie inny obrót wzięły.

— Jakto? dlaczego?

— Kiedy pan Trzebiński powrócił z Carogrodu i zdał królowi sprawę ze swego poselstwa, opowiedział o przyjęciu Amurata, o jego odpowiedzi, i pośpiechu, z jakim turcy szykują się do wojny, obrażony J. K. M. Władysław lekkomyślnością młodego sułtana, złamaniem zawartego przez jego poprzedników pokoju, rozkazał także czynić przygotowania do obrony.

Tymczasem poseł turecki, bawiący w Moskwie, wrócił do Stambułu i opowiedział Amuratowi prawdziwe zwycięztwa polaków, odmalował męztwo i szczęście Władysława, wystawił, że teraz po zawarciu pokoju przez Rzeczpospolitą z sąsiadami, nietylko Porta nie może obiecywać sobie żadnych korzyści, ale lękać się powinna strat i klęsk.

Amurat, usłyszawszy ze zgrozą tak nową i zupełnie przeciwną swoim wyobrażeniom wiadomość, począł żałować tak lekkomyślnie zerwanego pokoju, tembardziej, że posłowi swemu zupełnie wierzył, wysłał przeto czemprędzej do Władysława Sahin Agę, biegłego dyplomatyka, dla przywrócenia zgody.

Ale rozgniewany król mało przywiązywał wagi przytoczonym przez Agę wymówką i usprawiedliwieniom, nie ufał przyrzeczeniom bez własnej woli młodego sułt-

tana i pragnąc, aby obraza Rzeczypospolitej bezkarnie puszczoną nie była, na sejmie wobec posła nakazał pospolite ruszenie.

Sahin Aga, tak odprawiony, odjechał do swego pana, a gdy wystawił bawiącemu w Adrjanopolu sułtanowi poruszenie całej Rzeczypospolitej, zgromadzanie się zewsząd ku granicom rycerstwa naszego, męztwo i zapał, ożywiający te liczne hufce, takie sprawił wrażenie na umyśle Amurata i jego dworu, że turcy, zapomniawszy o swych dumnych zamiarach, postanowili pod jakiemikolwiek warunkami szukać z nami zgody. *)

Przyznajcie teraz, że z takiem usposobieniem turcy nawet oprzećby się nam nie zdołali, wojna obiecuje nam znaczne korzyści.

— Ach, teraz rozumiem, dlaczego Albasi został odwołany od wojska — zawołał chorążyc — a w jego miejsce wyznaczony Martaza basza.

— Turcy boją się jątrzyć nas widokiem tego nikczemnego intryganta.

— Ho, ho, wie Martaza, co czyni, głaszcze nas, aby zamydlić oczy, a swoje myśli, ale i my nie w ciemię bici. Wyjednał zawieszenie broni, aby zyskać czas do układów.

Tak rozmawiając, nasi podróżni wjechali do Kamieńca i zatrzymali się na przedmieściu przed wielkim budynkiem; dwaj rycerze, zsiadłszy z koni, weszli wewnątrz z kupcem, siedzącym na bryce, szeregowcy tym-

*) Wszystko historyczne. Ob. Everhardi Wasembergi gestorum Vladislai IV pag. 155 i 156, vol II.

czasem szykowali troki do przywiązania ładunków na swych rumaków, a w kilka chwil z objuczonemi końmi wrócili do obozu.

* * *

Na rozległej równinie, po drugiej stronie wspaniałego Dniestru, w oddaleniu, widać było porozkładane ognie, słychać odgłosy wesołych okrzyków, rozmów, śmiechów, lecz te rozmowy były prowadzone mową obcą, nie polską — był to obóz turecki.

Cóż rozwesela te hufce, zebrane dla mordów i zniszczenia?

Posłuchajmy ich szczerych żołnierskich rozmów, a może one rozjaśnią nieco nasze domysły. Oto na prawo, obok tego wypróchniałego pnia odwiecznego dębu, siedzi gromada wojowników Amurata, lekki wiatr w tę stronę; dopomoże naszym podsłuchom.

Janczar. Pijmy bracia, pijmy, bo co dziś to nasze, co jutro to Boskie, może jutro taż sama blada twarz księżyca nie wszystkich nas ujrzy przy życiu.

Abal. Towarzyszu, pleciesz, jak derwisz u drzwi meczetu, nie jak żołnierz w obozie! Dziś już jest nasze, jutro będzie nasze, czy na ziemi, czy w raju, zawsze nasze, bo wielki Mahomet powiedział, który umrze z orężem w ręku, żyć będzie wiecznie w gronie cudnych hurysk.

Ali. Więc jutro z pewnością stanowcza bitwa?

Abal. Wszak dziś kończy się zawieszenie broni, a niepodobna; abyśmy dłużej leżeli tak bezczynnie, już drugi miesiąc siedzimy w obozie.

Hasan. Jednak jutro jeszcze nie stoczymy bitwy, zawieszenie broni przedłużone jeszcze na dni dziesięć.

Wszyscy. Co mówisz?

Hasan. Wierzcie mi, prawdę mówię. Nowy nasz wódz Martaza basza, czyni co chce, sułtan mu ufa, wojsko go kocha, a Giaury poważają!

Wszyscy. Niech żyje Murtaza!

Janczar. Szczególny to człowiek, niedawno z prostego baszy, wyniesiony na najwyższego dowódzcę, już opanował umysł sułtana i kieruje nim, jak dzieckiem, żołnierze, nawet najwięksi ulubieńcy Albasego, kochają go jak ojca i zapomnieli, że on strącił ze szczebla potęgi ich pana.

Hasan. Nie znasz widać Murtazy, kiedy mówisz, że on strącił Albasę. Chytrość, zbytnia duma i burzliwy charakter stały się powodem upadku baszy Erzerumskiego, wykręty i kłamstwa na nic się nie przydały, prawda zawsze musi wyjść na jaw, a zdrada zostaje ukaraną. Skoro Sahin Aga wrócił z Polski i odkrył sułtanowi prawdę, wystawił niebezpieczeństwo, grożące naszemu państwu, rozgniewany Amurat odjął Albasy dowództwo, a powierzył je Murtazie, znając jego prawy harakter, znajomość dyplomatyczną u Giaurów i rozsądek.

Widzicie, że nie zawiódł zaufania rządzcy wiernych Murtaza, dobro pana swego mając na celu, nie zaniedbał wszelkich środków dla przywrócenia pokoju; wypuścił znakomitych brańców polskich bez okupu, którzy, rozgłaszając po kraju łagodność jego, nakłaniają współ-

rodaków do zgody. Wyjednał zawieszenie broni i już uczynił kroki do przywrócenia pokoju. *)

Janczar. Z którego nic nie będzie, bo te przeklęte Giaury śmieją wymagać, aby sułtan swego ulubieńca Albasę śmiercią za najazd granic ukarał i zdrajcę wojewodę Mohiłę do dawnej godności przywrócił. **)

Hasan. Nie mów nic naprzód, towarzyszu, zobaczysz że pokój zostanie zawarty.

Janczar. Chyba że polacy odstąpią tych dwóch warunków.

Hasan. Wątpię, polacy trudni są do odstąpień, zwłaszcza gdy czują swoją wyższość. Mówią nawet, że Martaza wysłał do Stambułu z pismem, donosząc o stanie rzeczy.

Ali. Tak jest, ja sam słyszałem o tem, ale temu już kilka tygodni.

Hasan. I w skutek jego posłannictwa dziś przybył od sułtana do obozu Sahin Aga.

Wszyscy. A nie wiesz, z czem przyjechał?

Hasan. Nic pewnego, mówią że Albasy został uduszony.

Janczar. Fałsz, sułtan kochał Albasego i wolałby zapewne utracić połowę swego państwa, jak przyjaciela i sługę ojca, a potem czyż Amurat nie posiada nas tysiące dla obrony swego kraju i wiary, by miał tak haniebnemi postępkami dokupywać pokoju.

---

*) Kwiatkowski, historya Władysława IV.

**) Piasecki pag. 495.

Hasan. Tak, miał i Osman was tysiące pod Chocimem, a przegrał, bo zwycięztwami Bóg włada.

Janczar. Nędzny renegacie! — zawołał, porwawszy za miecz, lecz towarzysze wydarli mu oręż i rozbroili poróżnionych.

Ali. Zgoda, bracia, zgoda, wszak wkrótce usłyszemy o prawdzie, (cicho do Janczara) przyjacielu, bądź rozsądny, Hasan jest ulubieńcem Murtazy, wiesz, że on proteguje wszystkich cudzoziemców, o prawdę jego twierdzenia nie masz się co spierać, on posiada zaufanie baszy i wiadomości, z jego ust pochodzące, są najpewniejsze.

Janczar. O zgrozo! oto nagroda dla Albasy za jego poświęcenie się i gorliwość, z jaką działał dla dobra sułtana.

Hasan. Powiedz raczej dla dobra swego.

Janczar. Hasanie, powiedz mi czy wistocie Albasy nie żyje? powiedz prawdę bez żadnej dwójznaczności i ogródek, on był moim dobroczyńcą.

Hasan. Stało się zadość żądaniom polaków, Sahin Aga przybył z pełnomocnictwem zawarcia ugody. Giaury wyznaczyli także kommisarzy do ułożenia warunków pokoju, który, zdaje się wkrótce przyjdzie do skutku, bo pierwsze zawady do zgody już zostały uprzątnięte.

Janczar. O wielki Mahomecie, przyjmij go do raju, on umarł dla twej wiary!

Abal. I czegoż jeszcze domagają się ci przeklęci polacy?

Hasan (z uśmiechem). Niewiele, pragną tylko aby sułtan wyrugował Hana Kantemira z jego tatarami ze stepów Budziackich, ponieważ oni często kraje polskie najeżdżają, aby nie wymagał zburzenia fortec i zamków nad Dniestrem, aby Wołochy i Multany zostawały pod wojewodami, których król polski zaleci, i aby zbiegów i brańców obie strony wydały.

Janczar. A Sahin Aga co na to mówi?

Hasan. Cieszy się, że za tak małą cenę wytargował pokój i zapewne niedługo będzie się namyślał nad ukończeniem tej sprawy. *)

ROZDZIAŁ XVIII.

Pokój, pokój!..

Ta radosna wieść zalała wszystkie prowincye południowej Polski i przyległe strony Turcyi, bo pomyślna nowina z szybkością telegrafu przebiega z ust do ust, każdy z chciwością ją łowi i z radością powtarza. Matki cieszą się, iż ujrzą znów swych synów, żony mężów, młode dziewice braci lub... towarzyszów, a taką radość czyż podobna uwięzić w sercu kobiety? to byłoby męczarnią większą od samej utraty ukochanych osób. Bo serce kobiety nie stworzone dla siebie, ono tajemnicy nie utrzyma, nie uczuje radości bez podzielenia

*) Wszystko historyczne. Na tych warunkach zawarty został dokój z Amuratem — ob. Kwiatkowskiego!

jej z osobą drugą, bliską siebie; nawet cierpienie stanie się dla niego znośniejsze, gdy zwierzeniem podzieli go z istotą kochaną.

Konstantynopol, to miasto ciche, ponure, drzemiące, dziś ożyło jakimś uroczym ruchem, wieść o zawarciu pokoju rozeszła się nawet po komnatach zamkniętych haremów. Kobiety, zakryte długiemi zasłonami, przebiegają jego wązkie ulice; u bramy północnej zgromadzone tłumy ludu z niecierpliwością oczekują powrotu wojowników swoich, powrotu utraconych przez niewolę rodaków, na placu zaś publicznym przedmieścia Galatei egzekutorzy zawartego pokoju zgromadzają polskich jeńców.

Ludzcy ojcowie Trynitarze niosą wsparcie i radę znękanym niewolą. Twarze wyswobodzonych jeńców blade, ubiór dziwaczny, wpół polski, wpół muzułmański, postacie wychudłe, lecz radość ożywia wszystkich oblicza, radość z odzyskanej wolności wypogadza czoła, radość każe zapomnieć o minionych cierpieniach i trudach, bo miła nadzieja ujrzenia wkrótce swego kraju, zielonych błoń, które ich wykarmiły, błękitnego nieba, pod którym wzrośli, miejsc, gdzie zostają drogie osoby, wypełniając serca wyswobodzonych, czyż zostawić może w nich choć ślad cierpienia, choć pamięć o jego istnieniu.

W pośród tych gromad, przejętych radością, młodzieniec jakiś nie dzieli powszechnej uciechy. Jego ubiór bogaty zdaje się mówić, iż on nie należy do świeżo wyswobodzonych jeńców, kaftan turecki spływa mu z bark aż do ziemi, a pod nim wiszący maleńki

pałasz, podobniejszy do zabawki dziecinnej niż śmiertelnej broni, tem mocniej myśl tę potwierdza; na głowie ma zgrabny mały zawój, jaki noszą paziowie sułtana, ale z pod niego wypływają pierścienie blond włosów— muzułmanie mają głowy golone.

Obłąkany swój wzrok skierował młodzieniec w stronę, gdzie ojciec trynitarz przemawiał do kilkunastu polek, wyswobodzonych z niewoli samolubnego mahometanina, i wejrzenie jego rozjaśnił niepojęty ogień, oblicze okrasił dziewiczy rumieniec.

Młodzian pobiegł w tę stronę.

Ale wkrótce znów dawna posępność osiadła na jego twarzy, spojrzał wokoło i nie znalazł tej, której szukał z takiem upragnieniem.

Wtem czcigodny kapłan wznósł krzyż, godło zbawienia i pociechy, pobłogosławił tłum w imię Ojca, Syna i Ducha świętego, i ruszono ku bramie.

Młodzian z rozpaczą załamał ręce, odwrócił oczy ku miastu, łzy zamgliły jego sokole oko, raz jeszcze spojrzał po tłumie wyswobodzych, w stronę, gdzie stały kobiety, i pobiegł ku trynitarzowi.

— Ojcze, wstrzymaj się chwilę, chwilkę tylko! — zawołał, padając przed nim na kolana, jakby pragnął zagrodzić mu drogę — jeszcze nie wszystkich cierpiących wywodzisz z niewoli; wpośród tych murów jęczy dziewica, jedyna córka szlachcica, który swą młodość sterał na usługach ojczyzny, kapłanie, imieniem tego zgrzybiałego starca dopomnij się o jej wyswobodzenie! ojcze, nie pozostawiaj cierpiącej bez pociechy i nadziei.

— Powstań, młodzieńcze, przed Bogiem tylko zginają się kolana, powiedz, kto jest ta, za którą przemawiasz?

— Córka kasztelana Białobrzeskiego, jego jedynaczka, dziedziczka majątku i mienia, pociecha starości.

— I gdzie jest zamkniętą, czy nie wiesz tego?

— Ojcze, przyrzeknij, że bez względu na znaczenie i możność ciemięzcy, dopomnisz się o jej wyswobodzenie.

— Ktokolwiekby nim był, choćby sam Amurat.

— O dzięki ci, szanowny kapłanie, dzięki!.. tak, sam sułtan więzi ją w swym haremie.

— Tem lepiej dla nas, synu, Amurat sam podpisał warunki ugody, sam wydał rozkaz uwolnienia wszystkich jeńców polskich, powinien dać przykład poddanym i pierwszy udarować swobodą brańców w swoim pałacu!

To mówiąc, poruczył młodzieńca chorążemu Łaszczowi, delegowanemu do odbioru jeńców z prośbą o popieranie jego sprawy, bo sam na czele licznego grona wyswobodzonych polaków udał się ku Multanom.

* * *

Wrześniowe słońce, wznoszące się do góry, rozpędzało tumany mgły, ciążące nad nieprzejrzanym stepem, na prawo tylko drobne pagórki zwolna wzrastały ku stronie Azyi w większe wzgórza, lecz na lewo i ku północy najmniejsza wyniosłość nie psuła doskonałej równiny.

Drogą, idącą ku brzegom Dunaju, postępował mały orszak, składający się z młodego jeźdzca w tureckim ubiorze, olbrzymiego mężczyzny w sile wieku, młodej dziewicy bladego oblicza z anielskiem wejrzeniem i starej niewiasty w ubiorze niewolnic muzułmańskich.

Młodzieniec, jadący przodem na małym tureckim rumaku, obok jasnowłosej dziewicy, milcząc wpatrywał się w oblicze swej towarzyszki jak skąpiec, nasycający się widokiem swych zbiorów. Ona miała wejrzenie, zwrócone ku ziemi, a na jej bladem obliczu nie można było dostrzedz nawet śladu cierpienia.

— Anielo — odezwał się jeździec — czy nie czujesz znużenia z tej ciągłej podróży?.. twoje oblicze tak blade, ty cierpisz?

— O nie! — odrzekła jego towarzyszka i, podnosząc wzrok, ukazała błękit swych niebieskich oczu — czy cierpię, pytasz mnie, Stanisławie, teraz, obok ciebie? gdy wkrótce mam ujrzeć mego drogiego ojca, mą ojczyznę! o mój drogi, mój jedyny, nie umiem ci wyrazić, co czuję, nie umiem opisać mego szczęścia, tego uczucia, które przepełnia mą duszę! Stanisławie, daj rękę, przyłóż ją tu, do mego serca, ono ci odpowie za mnie; te silne uderzenia, które go ledwie nie rozerwą, to uczucie, którego nie umiem ci określić, przyśpiesza jego bicie. Zdaje mi się, że jestem w niebie, i gdybym tylko mego drogiego ojca jak najrychlej uściskać mogła, jużbym nic więcej nie pragnęła, nic nie życzyła, bo szczęście moje jest nieporównane.

— Wkrótce, droga Anielo, powitamy go oboje i ja równie gorąco pragnę go oglądać, aby z jego ust usłyszeć ziszczenie mych nadziei... mych...

— Stanisławie, czy możesz jeszcze powątpiewać, czy ten dobry ojciec mógłby odmówić szczęścia swej córce, czyż ten mąż, pełen cnót i prawości, mógłby okazać się niesprawiedliwym względem ciebie? czyż nareszcie mógłby odmówić ci tego, co już do niego prawie nie należy, bo gdyby nie ty, czyż oglądałby dziś córkę?

— O mów, mów najdroższa!.. jak słowa twoje są przekonywające, jak drogą pociechę wlewają w serce moje, bo wiesz, Anielo, nie śmiem myśleć o takiem szczęściu!.. ja, syn ubogiego szlachcica...

— Zasmucasz mnie, mój miły, swojem powątpiewaniem. Dlaczegóż ja nie przewiduję przeciwności, dlaczego nie lękam się odmowy ojca, dlaczego nie wątpię o naszem szczęściu? O, bo ono tak pewne, jak istnienie tego Boga który nas stworzył, tych pięknych błoni, tego jasnego słońca! dlaczegóż próżnem powątpiewaniem umniejszać radość, którą tak skąpo Opatrzność rozsiała na drodze naszego życia. Szczęście zależy poniekąd od nas samych; ambitny, chciwy i skąpy, nigdy nie będzie szczęśliwym.

Kiedym była dzieckiem, droga matka moja mówiła mi powiastkę, że pierworodny syn pewnego króla mocno zachorował, lekarze zwątpili o jego życiu, a jeden z nich rzekł do króla: najjaśniejszy panie, syn wasz będzie zdrów, jeżeli szatę człowieka, który nazwie się szczęśliwym, włożycie na jego ciało. Król rozkazał szu-

kać po całym kraju człowieka szczęśliwego, lecz naprożno; nareszcie znaleziono biedaka, który oświadczył, że jest zupełnie szczęśliwym, ale ten wybrany nie posiadał szat.

— O, mój aniele, wybacz mi! — zawołał z zapałem młodzieniec — tej nauki nie zapomnę do śmierci!.. lecz czyżem ja winien, że rozum mimo mej woli przewiduje przeszkody, wskazuje niepodobieństwa i zmniejsza nadzieje?

— To nie słuchaj go, bo to nie rozum, to jakieś podszepty złego ducha, którego radością jest niszczyć szczęście ludzi! O wierz mi, że lepiej wyrzec się rozumu dla szczęścia, choć mówią starzy, że rozum otwiera bramę do niego. Jam nawet w niewoli, w zamknięciu, odrzucała jego podszepty, mówiąc sobie: utrapienia miną, miejmy nadzieję. Kiedy tatarzy wydarli mnie z rąk ojca, widziałam krew, płynącą z ran jego, widziałam, jak mnie wieziono daleko od ojczyzny, w kraje obce, między ludzi, różnych wiarą, zwyczajami, językiem, darowano mnie baszy potężnemu i dzikiemu, w którego rękach byłam, jak zdobycz w szponach tygrysa, rozum mówił, żem zginęła, a jam powiedziała sobie, nie ja będę wolną, ujrzę przy życiu mego ojca, ujrzę ciebie!..

Później basza przywołał mnie do siebie i rzekł:

— Polko, jesteś piękną i godną szczęścia, dlatego też zgotowałem dla ciebie los odpowiedni twoim wdziękom. Rozumiałam, że oświadczy mi swą miłość i już miałam zamiar plunąć mu w oczy, lecz omyliłam się. — Amurat, pan połowy świata, a mój monarcha jest piękny i młody — zostaniesz jego kochanką. Jesteś córką

wielkiego hetmana, rozumiesz mnie? to koniecznie potrzebne do twego szczęścia.

— Nie, kłamstwem nigdy nie splamię mych ust — odrzekłam oburzona.

— Co ona mówi? — zapytał basza tłómacza.

Lecz ten nikczemny musiał nie powiedzieć prawdy, bo Albasi, rozśmiawszy się, rozkazał mnie odprowawadzić. Od tego dnia zaczęto się ze mną obchodzić łaskawie, pielęgnowano mnie, jak dziecko, moi dozorcy lękali się, aby niewygody nie zeszpeciły mego oblicza, bo wkrótce miałam ujrzeć sułtana.

Przybyłam do Stambułu, zamknięto mnie do haremu, otoczono strażą i murami, a jam jeszcze nie straciła nadziei i mówiłam sobie: przejdę cierpienia, mój Stcnisław mnie kocha, ojciec także, oni wydrą mnie z tego więzienia, choćby za cenę całego swego majątku.

— O moja najmilsza, nie powątpiewałaś o mnie?

— O, byłam ciebie pewna i nie omyliłam się. Wkrótce przedstawiono mnie sułtanowi. Amurat w towarzystwie jakiegoś starca wszedł do mej komnaty. Młody monarcha, ujrzawszy mnie, postąpił ku mnie, lecz starzec powstrzymał go kilkoma wyrazami, zrozumiałam tylko nazwisko Koniecpolski, lecz na te wyrazy zasępiło się czoło sułtana, długo patrzał na mnie ponuro, nareszcie podał rękę starcowi i wyszedł. Wtem wbiegły moje kobiety, a jedna z nich, którą najwięcej lubiłam, rzekła:

— Przeklinaj teraz swoje urodzenie, ono wydarło ci szczęście zostania kochanką sułtana.

— Jakto?

— Ten starzec, który ztąd wyszedł, jest wujem Amurata i słyszałam, jak mówił do niego: Córka wielkiego hetmana naszych nieprzyjaciół, tak groźnych nieprzyjaciół, powinna zostać nietykalną zakładniczką. A sułtan rozkazał przenieść cię do starego haremu.

Na te słowa upadłam na kolana, dziękując Bogu za jego opiekę nademną, teraz nadzieja moja o tysiąc razy urosła, kłamstwo Albasego ocaliło mnie; mimo tak wyraźnego niepodobieństwa, widzisz, że rozum skłamał.

Niedługo potem taż sama z mych kobiet wprowadziła do ogrodu haremowego derwisza, który, okazując mi twoje pismo, rozkazał w nocy być w ogrodzie obok starej baszty, miałam zostać wyswobodzoną, lecz Bóg chciał inaczej. Teraz rozum kazał mi lękać się o twoje życie, bom się dowiedziała, że cię ujęto, lecz mówiłam sobie; Bóg jest łaskawy, miejmy nadzieję.

Czyż obecne szczęście nie wynagradza dostatecznie minionych cierpień?

— O mój aniele opiekuńczy! tak miejmy nadzieję — mówił młodzieniec, całując dłoń swej miłej — już teraz nie wątpię o naszem szczęściu, jesteś moją wyrocznią, przepowiedziałaś mi jego pewność.

Tymczasem słońce wzniosło się wysoko i swemi promieniami zaczęło dopiekać coraz mocniej, nasi podróżni zatrzymali się pod rozłożystym kasztanem, służący rozpiął namiot, a stara niewiasta rozłożyła posiłek. Po kilku godzinach spoczynku, mały ten orszak puścił się w dalszą drogę.

Wkrótce przebył granice Bulgary i iWołoszczyzny i wjechał na rodzinną ziemię. Po przeprawie przez Dniestr pod Chocimem, Stanisław w pierwszej karczmie zapytał o nowiny.

— Nic nie słychać dobrego — odrzekł stary żyd, arendarz — raz wraz drogi są napełnione powracającymi z niewoli tureckiej, szlachta siedzi w zamkach, teraz nawet na łowy wyjechać niebezpiecznie.

— A to dlaczego?

— W naszych stronach, a szczególniej około Krzemieńczuka, Upska, Herbedejowego rogu, Misuryna i Stajków rozbija straszny zbójca Biały Grzegorz.

— A cóż na to szlachta, przecież niepodobna, aby mu nie mogli dać rady? — zapytał Stanisław.

— Jaśnie panie, tego nie wiem, ale to pewna, że on się nikogo nie lęka — odrzekł żyd z uśmiechem — o, mądry to ptaszek, nic nie czyni biednym, od których nie spodziewa się wiele dostać, ale bogatych okropnie skubie.

— To zapewne i drogi są niebezpieczne, arendarzu? — zapytała lękliwie Aniela.

— Jak dla kogo, pani, nędzny pachołek jak ja naprzykład, niczego się nie obawia, ale jaki magnat... zresztą każdy to najlepiej osądzi, policzywszy się z swoim workiem, bo Biały Grzegorz byle po co schylić się nie lubi. Niebardzo dawno, w bitwie z pancernymi spalił biednemu żydowi pod Stajkami stodoły i stajnie, to mu zato po królewsku wynagrodził.

— Nie słyszałeś też co o kasztelanie Białobrzeskim? — zapytała Aniela, przerywając mowę żydowi.

— Oj pani, ktoby nie słyszał, biedny to pan, Bóg go nawiedził.

— Czy mu się co złego stało?

— Pani taka niespokojna, co to jest? ażem się przeląkł, — zawołał żyd, wpatrując się w oczy dziewicy.

— Czy żyje! mów, mów, jak się ma? — wołała Aniela w najwyższej niecierpliwości.

— Żyje, jaśnie pani, żyje, — odrzekł arendarz spokojnie, — ale tatarzy przeszłego roku porwali mu jedynaczkę. To zapewne pani nią jesteś? zaraz się domyśliłem z tej niespokojności o zdrowie j. w. pana kasztelana.

— Stanisławie, jedźmy do Kromidowa, pragnę, jak najprędzej ujrzeć drogiego ojca.

— No po co do Kromidowa, starosta przed pół rokiem przeniósł się do Stajków, zamku nad Dnieprem, który dostał w podarunku od j. kr. mości z warunkiem uzbrojenia go i bronienia.

— Jedźmy śpieszniej, mój Stanisławie, już odpoczęłam, nie jestem zmęczoną, — mówiła z niecierpliwością młoda dziewica.

Stanisław rozkazał okulbaczyć konie.

W czasie tej śpiesznej podróży Aniela już nie pytała o ojca, bo była pewna wkrótce go oglądać, jednak jakaś tęsknota, jakieś przykre przeczucie zasępiło jej radość.

Piątego dnia nad wieczorem nasi podróżni przybyli do zamku starosty. Brama była zatarasowana. Stanisław zaledwie dowołał się, aby mu spuszczono most,

jakiś obcy mężczyzna, usłyszawszy, że córka kasztelana przybywa do domu ojca, pośpieszył przyjąć dziedziczkę.

— Jaśnie wielmożna kasztelanko, przyjm klucze, chleb i sól od sług swoich....

— Co to znaczy? — zawołała, przerywając mowę burgrabiego Aniela,—gdzie mój ojciec? jak się ma? co robi?... No cóż nic nie mówisz?

— Jaśnie wielmożna pani, nie wiem, co mam odpowiedzieć—odrzekł starzec.

— Dlaczego? pytam, gdzie jest kasztelan,

— Nie wiemy.

— Jakto? czy wyjechał?—zapytał Stanisław, wdając się w tę dziwną romowę.

— Nie, panie, wcale nie przyjechał, — odrzekł burgrabia.

— O mój Boże! co to wszystko znaczy? ten człowiek musi mieć pomieszanie zmysłów.

— Nie, j. w. kasztelanko! jestem przy zdrowym rozumie, lecz mówię to, co wiem, o czem nie słyszałem, tego powiedzieć nie mogę. Ojciec j. w. pani, j. w. kasztelan Marcin Białobrzeski, jadąc dla objęcia tego zamku, został na drodze rozbity przez okropnego bandytę Białego Grzegorza z kilkomaset żołnierzy, i nie wiadomo gdzie jest osadzony przez zbójcę.

— Stwórco miłosierny! — zawołała Aniela, — Stanisławie, nasz ojciec w więzach rozbójnika, o mój drogi, wykup go, wydrzyj, odbij! użyj sposobów, jakie osądzisz za najstosowniejsze, winnam ci życie i niech i powrócenie ojca winną będę!

— Anielo, wola twoja jest dla mnie świętem prawem, — odrzekł młodzieniec, potem odwracając się do burgrabiego, dodał: jak liczną macie załogę?

— Do trzydziestu ludzi.

— Czy to dostateczna liczba do uderzenia na tego łotra?

— O panie, j. w. kasztelan miał cztery razy tyle, a jednak został rozbity.

— A nie możnaby zgromadzić więcej wojowników?

— O bardzo łatwo, w gospodzie u Judki zbiera się licznie szlachta, wszyscy to śmiałki i chwaty, a każdy ostrzy zęby na tego łotra. Możnaby do jutra zebrać hufiec, do dwustu ludzi liczący.

— Więc, proszę cię, każ przyjść do kasztelanki dowódzcy załogi zamkowej, a urządzimy tę wyprawę.

— Stanie się według woli waszej j. w. pani, odrzekł kłaniając się burgrabia, — ich to obowiązkiem było przyjąć j. w. dziedziczkę, lecz ten nagły przyjazd, proszę mi darować...

Aniela ze smutkiem podziękowała starcowi za jego dobre chęci i udała się do swych komnat.

* * *

Tegoż samego dnia przed wieczorem, z rozkazu dziedziczki kasztelana, dowódzca załogi zamkowej zbierał ochotników w karczmie żyda.

Przed wjazdem powiewała chorągiew Białobrzeskiego i dwóch trębaczy dęło z całych sił w rogi, a każdy przejeżdżający zatrzymywał się dla usłyszenia ogłaszanej wiadomości.

W wielkiej gościnnej izbie, pan Adrjan Piekarski dowódzca załogi kasztelana, wzywał panów braci do wspólnej wyprawy przeciw rozbójnikowi i imiona osób życzących sobie być uczestnikami tej wyprawy zapisywał w wielką księgę.

— Panowie bracia, w kim płynie krew szlachecka ten pójdzie z nami!—wołał Jacenty, —dla męża podobnego, jak pan Białobrzeski, powinniśmy nietylko szable, ale głowy nasze poświęcić! panie Piekarski pisz wszystkich: pana Jana Wojnickiego, Wincentego, Bonifacego... wszak idziemy, panowie?

— Gdzie idzie o dobro bliźniego, nigdy nie jestem ostatni—odrzekł spokojnie Jan.

— Gdzie pan Jan, tam i ja—dodał Bonifacy.

— A gdzie potrzeba pałasza, tam ja jestem!—zawołał Wincenty,—wszak moja prawica przyda się na coś panie Piekarski, hę?...

— O nigdym nie przeczył męztwu pana Wincentego, jesteś najwaleczniejszy z naszego grona.

— Co?—zawołał Jacenty—a o mnie zapomniałeś, ujmujesz mi zasłużonej czci wobec panów braci.

— O bynajmniej, powiedziałem tylko, że Wincenty jest najwaleczniejszy.

— Najwaleczniejszy to znaczy ze wszystkich, nawet odemnie, mospanie, to jest obraza!

— Ależ, panie Jacenty, kto was zna dostatecznie, ten nie powątpiewa o waszem męztwie, dałeś go tak liczne dowody.

— Więc tym więcej zasłużyłem aby mnie szanowano. Bracia, kto mój przyjaciel: ten nie pójdzie z Piekarskim, lecz zostanie ze mną!

— Panie Jacenty, co czynicie, zastanów się przecie, nie Piekarskiemu, ale panu Białobrzeskiemu krzywdę wyrządzisz tem rozdwojeniem umysłów, czyż żadne nasze zebranie bez kłótni obejść się nie może? — rzekł Jan Wojnicki, wstępując pomiędzy zwaśnionych.

— Mamże, drzemiąc, znosić od byle kogo zniewagi?— odrzekł Jacenty.

— Ale ja nie chciałem was obrażać,—odezwał się Piekarski, — oddaję każdemu winną cześć.

— Panowie, pogódźcie się, podajcie sobie bratnie dłonie, urazy zapomniane!—rzekł Jan Wojnicki,—żydzie miodu!

— Przepraszam was, panie Jacenty!

— Zgoda, panie Piekarski.

— Żydzie, antałek miodu!—dodał Piekarski.

— Vivat miłość braterska!

— Vivat kasztelan Białobrzeski!

— Panowie bracia jutro da Pan Bóg doczekać, równo ze dniem proszę stanąć tu w gospodzie!—odezwał się Piekarski.

— Verbum nobile! skoro świt,—dodał Jacenty.

— Vivat, pomyślność naszej wyprawy!

— Vivat!

Szlachta piła późno w noc, przy kuflu wynurzali swoje wzajemne uczucia i układali plany, a Judka śledził każde ich słowo, każde postanowienie.

* * *

Nazajutrz zrana, gdy Stanisław w towarzystwie Piekarskiego na czele załogi zamkowej ciągnął do karczmy Judki, dla połączenia się z ochotnikami, w krzakach na końskiej równinie został napadnięty przez Białego Grzegorza. Walka była krwawa i zacięta połowa żołnierzy poległa na placu, a młodzieniec został pojmany.

ROZDZIAŁ XIX.

Upłynęło kilka tygodni, jak Białobrzeski jęczał w okowach, zamknięty w ciemnym lochu, żyjąc tylko spleśniałym chlebem i wodą. Przez ciąg swego więzienia nie widywał nikogo, prócz dozorcy, który co dzień, zrana przynosił mu pożywienie, dlatego gdy dziś po jego odejściu powtórnie zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy ciężkich drzwi podziemia, był prawie pewnym iż przychodzą, aby go prowadzić na śmierć z rozkazu Grzegorza, który, nie mogąc się zapewne doczekać okupu, pragnie pozbyć się bezużytecznego więźnia. Myśl, że wkrótce nadejdzie koniec jego cierpień, była niejaką pociechą niedoli, jednak wrodzona miłość życia zwróciła umysł kasztelana na minione szczęście i uciechy, na przyszłe nadzieję... dostojeństw, ujrzenia córki, — mimowoli westchnął i ukrył twarz w dłoniach.

— Cóż to, mości panie, strach?—zawołał z urąganiem przybyły, — a wstydź się, pamiętasz, jakeś sam dręczył w więzieniu niewinnych ludzi w Kromidowie?

— Milcz, nędzny zbójco!—rzekł Białobrzeski, podnosząc głowę z godnością, a sługa Grzegorza mimowoli spuścił oczy.

— Cóż to, możny kasztelanie, zdaje ci się, żeś w swym zamku?—odezwał się inny,—porzuć tę rozkazującą minę, wstawaj i pójdź z nami.

Białobrzeski nie mógł się podnieść, i zbójcy musieli mu dopomódz. Nieszczęsny więzień, leżąc blisko dwa miesiące w zamkniętym ciasnym lochu, bez żadnego ruchu i prawie bez pożywienia, oddychając zepsutem powietrzem, utracił zupełnie siły i z osłabienia zaledwie stawiał nogi. Zbójcy, wyprowadziwszy go po kilku wschodach, zawalonych gruzem, na długi korytarz gdzie były mieszkania bandy, rozkazali wejść do jednej z wielkich sklepionych sal, będących po obu jego stronach i pozwolili usiąść na kamieniu.

Starosta był posłusznym, a spojrzawszy wokoło siebie domyślił się, jaki los go czeka.

W jednym rogu stała ława, okryta dywanem a przed nią stary stół, na którym widać było srebrny kubek Grzegorza i ogromny dzban cynowy: Przez kółko żelazne, umocowane na środku sklepienia, przewleczona była linka, w drugim rogu stała fajerka pełna rozżarzonych węgli, miech, obcęgi, sznury i inne przedmioty.

Kilku ludzi Grzegorza krzątało się po sali, szepcząc pomiędzy sobą zcicha, czasami głośne ich śmiechy, lub brzęk żelaznych narzędzi, przerzucanych po kamiennej posadzce, rozlegał się pod sklepieniem, a piekielne te dźwięki odbijały się aż w duszy nieszczęśliwego więźnia.

Wtem rozwarły się podwoje i wszedł Grzegorz z Tomaszem, Mańkutem i Rudym. Bandyta zatrzymał się na środku, spojrzał na kasztelana, po jego obliczu mignął jakiś przelotny wyraz jakby politowania lub współczucia, potem zbliżył się wolnym krokiem do stołu, usiadł na ławie, napełnił kubek, wychylił go duszkiem i zaczął pilnie przypatrywać się więźniowi.

— Panie kasztelanie — odezwał się łagodnie — od ciebie samego zależy polepszenie twego losu, a nawet zupełna wolność, lecz musisz uczynić ofiarę, która, lubo jest dosyć znaczną, ale nie uczyni zmiany w twoim stanie majątkowym.

— Jednem słowem — przerwał Białobrzeski — co chcesz odemnie, czy okupu?

— Tak jest.

— Wiele wymagasz?

— Nie chcę złota, ale oddasz nam twój zamek Stajki.

— Szalony! wszak to jest własność rzeczypospolitej, powierzona mej pieczy. Tobie oddać zamek, abyś jak wilk wypadał z niego grabić bezkarnie okolice! byłoby to więcej, jak zdradzić zaufanie króla i braci, jak dopomagać tobie, rozbójnikowi!

— Kasztelanie, pohamuj twe uniesienia. Biały Grzegorz nawet z twych ust nie ścierpi morałów, powiedz raczej tak, lub nie.

— Nie! — zawołał bez wahania Białobrzeski.

— Panie kasztelanie, nie kończ, bo ręczę, że zmienisz twą odpowiedź, mamy na to sposoby. Sam stajesz się powodem twego nieszczęścia, cierpliwość mo

ja przebiera się, jeżeli trwać będziesz w swym uporze, zakończysz życie w najokropniejszych mękach. Wiesz, że i bez ciebie mógłbym zagarnąć zamek w moje posiadanie, lecz pragnę uniknąć przelewu krwi, która spadnie na twą głowę, gdy staniesz się powodem, że ją wytoczyć będę musiał.

— Ty, krwiożerczy zwierzu, unikasz przelewu krwi, ty własnego ojca poświęciłbyś swej dzikiej wściekłości! O próżne twoje wybiegi, nic mnie nie skłoni do zdradzenia kraju i współobywateli.

— O nie domagaj się, kasztelanie, abym cię przekonał, że ja cię zmuszę — rzekł Grzegorz z ironicznym uśmiechem. — Miejże wzgląd na siebie, z żadnym z mych nieprzyjaciół nie obchodziłem się tak łagodnie i po ludzku. Pewne wspomnienia rodzą we mnie litość, nie zmieniajże tego uczucia w zemstę.

— Jestem w twojej mocy, lecz nie lękam się ani twych gróźb, ani zemsty, niech moją śmiercią okupię bezpieczeństwo i spokojność okolicy i uwolnię braci od plagi gorszej ognia i wody.

— Kasztelanie, porzuć nierozsądny upór i uprzedzenia, śmierć twoja nie przyniesie nikomu żadnej korzyści, wszak i bez twego zamku czynię, co mi się podoba, i jestem bezpieczny.

— Do czasu Bóg cierpi twe zbrodnie!

— Dosyć tego! pytam, czy oddasz nam Stajki?

— Słyszałeś już moją odpowiedź i nic mnie nie skłoni do zmienienia jej, jestem bezbronny, szarp mnie na części, nie usłyszysz pomyślniejszej.

— Weźcie go — rzekł surowo Grzegorz.

Oprawcy porwali swą ofiarę, wywlekli na środek lochu i zdarli z niej odzienie. Bandyta napełniał bez przerwy puhar i wypróżniał go duszkiem, służalcy tymczasem, skrępowawszy ręce nieszczęśliwemu, przywiązali je do końca linki, przewleczonej przez kółko, utwierdzone w sklepieniu, do nóg zaś przyczepili dwa ciężary ołowiane i czekali dalszych rozkazów.

— No, przyjacielu, trwasz jeszcze w swoim uporze, zdasz zamek? — zapytał Grzegorz, utkwiwszy swój ponury wzrok w oblicze nieszczęśliwego.

— Nie — odpowiedział cicho, lecz bez wahania kasztelan.

— Podnieście! — wrzasnął ze wściekłością bandyta.

Kilku silnych zbójców, uchwyciwszy za koniec linki, zaczęli ciągnąć z całych sił, a nieszczęśliwy wkrótce zawisł w powietrzu, lecz ciężary ołowiane uwiązane u nóg jeszcze dotykały ziemi. Wtedy oprawcy spojrzeli w oczy panu.

Grzegorz zdawał się być niespokojnym, rysy jego twarzy stały się ruchomemi, oczy iskrzały...

— Marcinie, miej wzgląd na siebie, porzuć uprzedzenia... — rzekł łagodnym głosem bandyta — żal mi cię; przykro mi pozbawiać życia tego, którego chleb jadłem kiedyś... wyrzeknij się zamku...

— Nikczemny!.. raczej umrzeć, niż okryć swe siwe włosy sromotą!

Grzegorz zgrzytnął zębami i dał znak ręką a zbójcy targnęli razem za linę, wszystkie członki nieszczęśliwego chrupnęły w stawach, żyły nabrzmiały, jak po-

wrozy, twarz tylko pobladła, oczy się przymknęły i głowa bezsilnie opadła na piersi.

Bandyta utkwił wzrok w nieszczęśliwego, spodziewał się zapewne usłyszeć bolesne jęki, to milczenie zadziwiło go. Przystąpił do męczennika, podniósł mu głowę i powtórzył zapytanie, czy odda zamek w moc jego, lecz nie odebrał żadnej odpowiedzi.

— O ptaszku, otworzymy ci usta, jeszcze nam zaśpiewasz — rzekł, poczerwieniawszy ze złości, zbójca i dał znak, a jeden z jego ludzi wydobył z fajerki rozpaloną blachę i przyłożył do boku nieszczęśliwego pod samą pachą.

Kasztelan drgnął całem ciałem, lecz nie wydał najmniejszego jęku. Bo, wycieńczony więzieniem, dawno utracił zmysły.

— Próżne nasze trudy, wodzu — odezwał się Mańkut — stary jak baba ze strachu samego umarł.

Grzegorz zerwał się z gniewem, rozkazał spuścić ofiarę i przyłożywszy rękę do jej serca, zawołał z radością:

— Jeszcze żyje!.. muszę koniecznie, cokolwiekby mnie kosztowało, wydobyć z niego rozkaz zdania mi zamku, nie udało nam się jedno, spróbujmy drugiego. Potrzeba go ocucić, przenieść na górę, aby oddychał świeżem powietrzem, a gdy odzyska siły, użyjemy kilku kropel gorącego oleju i ręczę, że zrzecze się zamku i sam mnie doń wprowadzi!.. Ryży, ty jako znający się na lekach, zajmij się nim i każ przenieść na górne piętra, tam dochodzi świeże powietrze, lecz obierz kom-

natę, gdzie jest wysoko okno, aby nie domyślił się po okolicy, gdzie się znajduje.

— Możemy go pomieścić, wodzu, w otchłani, tam będzie oddychał świeżem powietrzem i zarazem zostanie zupełnie bezpiecznym, bo nawet myśl ucieczki nie zrodzi się w jego głowie.

— Dobrze, lecz rozkazuję mieć o nim jak największe staranie, jeżeli on umrze, Rudy, ty mi odpowiesz za to; wiesz, jak ważnem jest jego życie dla naszego wspólnego dobra.

Otchłań była to mała sklepiona cela bez okien i drzwi, na szczycie zachodniej baszty, do której dochodziło świeże powietrze i światło tylko przez otwór w wypukłem nakształt kopuły sklepieniu; tym otworem wpuszczono nieszczęśliwego, złożono na łożu, usłanem ze świeżego siana, następnie Rudy umył jego ciało spirytusami i Białobrzeski po kilku godzinach spoczął snem lekkim.

Tymczasem Stanisław, wróciwszy do przytomności, domyślił się z milczenia i ciemności, jaka go otaczała, gdzie się znajduje. Podniósł się zatem na nogi i, namacawszy ścianę, obszedł tym sposobem w około swoje szczupłe więzienie i przekonał się, że niema żadnego wyjścia. Potem, położywszy się na ziemi, czołgał się po podłodze, lecz nie mógł odkryć drzwi.

Przekonawszy się o niemożności ratunku, padł na pęk wilgotnej słomy, mającej mu służyć za posłanie.

Myśl, że na zawsze rozstał się z światem, że umierać musi w tym ciemnym lochu, bez pociechy i nadziei, umierać wtedy, gdy szczęście w całym swym ponętnym

blasku zdawało się uśmiechać do niego, kiedy nadzieja połączenia się z Anielą tak bliską była ziszczenia, czyniła rozpacz jego okropną i sprawiła boleść nieopisaną.

Kiedy tak leżał na ziemi, zdawało mu się że do jego słuchu doleciał jakiś bolesny jęk; podnosi głowę i jego wzrok, przywykły już do ciemności, ujrzał małe zakratowane okienko w wysokości około 5 stóp od ziemi jęk ten ztamtąd zdawał się wychodzić.

Zerwał się przeto młodzieniec i pobiegł do okna, a wspiąwszy się, ujrzał w przyległej celi oświeconej przez otwór w wypukłem sklepieniu będący, siwo-włosego starca, który leżał na łożu, usłanem z siana. Stanisław krzyknął z zadziwienia i zgrozy na ten widok, bo w tem wybladłem obliczu i zmienionych rysach więźnia poznał kasztelana Białobrzeskiego.

Ojciec Anieli na głos młodzieńca podniósł głowę i od jednego wejrzenia spostrzegł swego chorążego.

— Boże! coż ja widzę!.. Stanisławie, czyż i ty w szponach tego nikczemnika, jakim sposobem?

— Panie, wczoraj powróciwszy z niewoli bisurmanów wraz z twą córką...

— Z moją córką! z Anielą! Więc Aniela powróciła!.. O mój Boże, już nie ujrzy ojca!

— Nie, kasztelanie! jeszcze uściśniesz twą córkę! miej nadzieję, panie, ten, który wyrwał ją z więzów niewiernych, wyswobodzi i ciebie. Kiedym powrócił do Stajków i dowiedział o tem porwaniu, poleciwszy zebrać kilkuset ochotników, pragnąłem uderzyć na bandytę, lecz szczęście mi nie posłużyło, gdym ciągnął z kilku-

nastu żołnierzami twej chorągwi, aby połączyć się z ochotnikami, zbójcy nas otoczyli, a postrach, jaki rodzi imię tego łotra, był przyczyną przegranej; moi ludzie mnie opuścili, zostałem pojmany, lecz wiedzą, że ruiny Balaklaju są schronieniem Grzegorza, że on porwał ciebie, i, posiadając dostateczne siły, nie pozostawią nas bez ratunku.

— Gdzie moja córka, Stanisławie, gdzieś ją zostawił, w Stajkach?

— Tak jest, kasztelanie!

— O Boże! Grzegorz ma zamiar dobywać ten zamek! Biedna Aniela!

— Próżna twoja obawa, panie, czyż podobna, aby banda kilkunastu zbójców zdołała zdobywać zbrojne zamki.

— Stanisławie, ty nie znasz Grzegorza! To jest szatan, ¡on zdolny do wszystkiego; co nie podoła siłą, uczyni przebiegłością, dla niego niema nic niepodobnego!

— Ale nim zdoła swój zamiar przywieść do skutku, wojska królewskie rozproszą jego hałastrę i będziemy wolni.

— O, Stanisławie, nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje, mam przeczucie, że, wpierw umrę, nim król przyśle wojsko na nasze oswobodzenie. W Warszawie nie mają nawet wyobrażenia o potędze Grzegorza, zdaje im się, że dla pokonania bandy złodziei, dosyć kilkunastu pancernych. Już raz hetman na zażalenia szlachty przysłał mały oddział towarzyszy, pod dowództwem jakiegoś walecznego młodzieńca, ale Białego Grzegorza nie

tak łatwo pokonać! Pancerni, nic nie uczyniwszy zbójcom, sami zostali po kilka razy pobici.., O tak, tak, Stanisławie, umrę wśród tortur, nim doczekamy pomocy...

— Wszechmocny Boże! ten nikczemny śmiałby!..

— Pragnie zmusić mnie męczarniani do oddania mu Stajków, gdzie spodziewa się być zupełnie bezpiecznym i niezwyciężonym. Ale, Stanisławie, ja nie zniosę tych męczarni; teraz, gdym odzyskał córkę, życie stało się dla mnie drogiem.

— Nie, kasztelanie! ty nie będziesz cierpiał dłużej, ja cię wyswobodzę, wyswobodzę mimo czujności straży Grzegorza, mimo tych kamiennych lochów. Bóg jest sprawiedliwy, On, który wyswobodził Daniela niewinnego ze lwiej jamy, trzech młodzieńców z pieca ognistego, użyczy mi sił Samsona, i wydrę tę żelazną kratę, oddzielającą mnie od ciebie, drogi mój dobroczyńco!

Mówiąc to, młodzieniec z całych sił szarpnął obiema rękami za pręty żelaza, które się zachwiały, i jeden hak, utrzymujący kratę, upadł na kamienną posadzkę.

Radość błysła na twarzy młodziana, podwoił sił, wstrząsnął powtórnie kratą, ale żelazo oparło się jego natarczywości.

Stanisław spuścił oczy ze smutkiem, wtem nowa myśl błysła w jego głowie.

— Ten hak—zawołał—będzie narzędziem naszego wyswobodzenia, nim wybiję dziurę w murze i uwolnię cię, kasztelanie.

— Zastanów się, Stanisławie, pomiarkuj twój zapęd — rzekł smutnie Białobrzeski — przebić mur za pomocą tak wątłego narzędzia jest przedsięwzięcie bardzo trudne i potrzebuje wiele czasu, codzień przychodzi tutaj dozorca z żywnością i spostrzeże zaczętą pracę. Nadto przypuśćmy, że zdołasz wydobyć się z tego miejsca, czy będziesz wolnym, czy nie, wpadniesz powtórnie w ręce nieprzyjaciół wśród tych ruin, zupełnie ci obcych.

— Lecz ja dokonam mej czynności w przeciągu jednej nocy, a Bóg dobry dopomoże mi w mojem dziele. O nie zrażaj mnie trudnościami, panie!.. zacznę od tego, aby połączyć się z tobą.

Czynność którą Stanisław przedsiębrał, była bezwątpienia trudną do wykonania, potrzeba było pracować wśród ciemności, używając tylko małego haka, a kamienie w ścianie były nadzwyczaj twarde i mocno spojone. Wyjęcie pierwszej cegły najwięcej trudu go kosztowało, pracował parę godzin, nim ją zdołał obruszać, po kilka razy wycieńczony trudem upadał na duchu, lecz myśl, że pracuje dla Anieli, że ojciec jej umrze w okrutnych mękach, jeżeli go nie oswobodzi, że on sam może już nigdy nie ujrzy świata, jeżeli wytrwałością nie wydrze się z więzienia, ożywiała jego odwagę, i Stanisław po chwili spoczynku brał się do dzieła z większą jeszcze usilnością.

Nareszcie pierwszy kamień wypadł, największa trudność już przezwyciężoną została, kasztelan nawet nie mógł powściągnąć radości młodzieniec, podwajając usiłowania z sercem ożywionem nadzieją, pracował z za-

pałem, nakoniec wyjął drugi kamień i trzeci, potem zepchnął na dół pręt kraty i przedarł się do więzienia kasztelana.

Starzec rzucił się w objęcia swego wyswobodziciela.

Białobrzeski dotąd nie żałował życia, pragnął nawet umrzeć dla dobra współobywateli, bo dla kogóż istnienie jego było drogiem, lub potrzebnem? Dziki nieprzyjaciel wydarł mu córkę, jedyną dziedziczkę, osłodę starych lat, dawniej jeszcze utracił syna i żonę, siły swoje stargał na usługach kraju, stał się już bezużytecznym społeczeństwu, lecz teraz, gdy dowiedział się o odzyskaniu Anieli, tej, którą najwięcej kochał po Bogu i honorze, zapragnął życia i wolności, a wyswobodzenie uważał za dar tak wielki jak przedtem mało dbał o niego.

— O mój Stanisławie, mój dobry, szlachetny młodzieńcze, jakże ci mam nagrodzić, jak podziękować za twe trudy, za takie poświęcenie, za powrócenie mi mej córki!

— Panie, sama rozkosz widzenia was tak szczęśliwym już mnie sowicie wynagradza, bo szczęście wasze, szczęście Anieli, więcej mi drogie, niż moje własne!

— Młodzieńcze! — zawołał kasztelan, spojrzawszy badawczo w jego oblicze — ty kochasz Anielę?

— Panie, kochać jej, jak się kocha każdą kobietę, nie śmiałbym, lecz uwielbiam twą córkę, jak świętość, jak anioła, jak istotę nadludzką!

Białobrzeski zamyślił się nieco, potem nagle czoło jego pokryło się smutkiem.

— Stanisławie, opowiedz mi niewolę Anieli, gdzieś ją znalazł, w czyjem była posiadaniu — zawołał z żywością.

— Bóg, który opiekuje się swymi sługami, strzegł Anielę i w niewoli Muzułmanów, kłamstwo Albasego uchroniło ją od wielu cierpień i stało się może powodem, że dziś ujrzy ojca. Han tatarski, porwawszy ją zdomu twego i spostrzegłszy jej piękność odesłał w podarunku baszy Erzerumskiemu, który, uderzony jej wdziękami, umyślił przedstawić ją sułtanowi, jako trofej swego udanego zwycięztwa nad Polakami, nazwawszy Anielę— córką w. hetmana. Amurat, widząc w tej brance znakomitą zakładniczkę, rozkazał zamknąć w starym haremie, gdzie zostawała aż do zawarcia pokoju.

Starosta, złożywszy ręce, wzniósł dziękczynne wejrzenie do nieba i łzy radości zrosiły jego oblicze.

— Panie — odezwał się Stanisław — już zapewne po północy, myślmy teraz o sposobie wyswobodzenia się. Ale, do czarta, z żadnej strony niema okna, niewiadomo, która ściana wychodzi na zewnątrz — dodał spoglądając wokoło siebie.

— Tak, niemasz żadnego otworu prócz tej zakratowanej dziury w sklepieniu — rzekł kasztelan — która służy za okno i drzwi zarazem.

Stanisław podniósł oczy do góry; przez okrągły otwór w pułapie, mający około jednego łokcia średnicy, widać było poszczerbione okna ruin, w które właśnie zaglądał księżyc swem jasnem obliczem.

— Ach, kasztelanie, jesteśmy wolni—zawołał z radością młodzieniec — ja na mych barkach podniosę cię

do tego otworu, z łatwością zdołasz wyrwać te ciężkie zawiasy drzwi tym hakiem i wyjdziesz ze zwalisk.

— A ty, Stanisławie, mam cię zostawić w rękach zbójców?

— Twoje życie, panie, ważniejszem jest od mego; zresztą przybywszy do Stajków możesz wziąć swych ludzi i uderzyć na Grzegorza.

— Mój odważny chłopcze, ty nie masz wyobrażenia o potędze tego łotra, w całej okolicy niema dostatecznych sił do stawienia jemu czoła.

— Więc, wyszedłszy ztąd, postaraj się gdzie o kawał sznura, który spuścisz... albo nie, nie narażaj się sam, biegnij do Stajków i przyślij przed świtem kilku odważnych ludzi; opowiedz, w którem znajduję się miejscu, a oni mnie wydobędą z tego lochu.

— Nie, Stanisławie, ja ciebie tu nie zostawię, podrzyj twoje szaty i zrób z nich drabinę, a tak obadwa uwolnimy się razem.

— Ach co za szczęśliwa myśl! — zawołał uradowany młodzieniec, i z zapałem rzucił się do pracy, w kilka chwil z podartych koszul prześcieradła i żupana, powiązali drabinę nakształt łańcucha. Stanisław podniósł na barkach Białobrzeskiego, który, zastawszy kratę w otworze nie zamkniętą, odepchnął ją, wyszedł i przymocował koniec drabiny; ale Stanisław zaledwie doszedł połowy wysokości, gdy drabina zerwała się i młodzieniec ciężko upadł na ziemię.

Wtem na górze dał się słyszeć szelest obcych kroków.

— Kasztelanie, uciekaj, na Boga zaklinam cię, chroń się! — zawołał młodzieniec — zachowaj życie twoje dla Anieli, ja położę się na twojem miejscu i oszukam zbójców, a później pośpieszę za tobą!

Białobrzeski wahał się jeszcze chwilę, lecz wspomnienie córki przeważyło jego niepewność i pobiegł ukryć się pomiędzy odłamami muru. Stanisław zasłonił otwór, wyrobiony w ścianie wyjętemi kamieniami, i położył się na posłaniu kasztelana! W tejże chwili zbliżył się do otworu jakiś człowiek z latarnią w jednem a koszem w drugim ręku.

— A do stu czartów! co to znaczy! — zawołał ujrzawszy koniec drabiny przyczepionej do kraty, — lisy wymknęły się z jamy! O do pioruna, co na to powie Grzegorz?... i aby się przekonać, dozorca spuścił wewnątrz latarnię, zajrzał w głąb lochu i spostrzegł Stanisława.

— Ach, bratku, jeszcześ nie zdążył umknąć! Bóg czy szatan sprowadził mnie w porę, trzeba jegomości pana kasztelana zamknąć mocniej, aby ptaszek nie zapragnął wolności.

To mówiąc, spuścił na haku kosz z żywnością, potem zatrzasnął kratę, zamknął ją na zamek i oddalił się, a po chwili słychać było, jak uchylił drzwi do więzienia Stanisława, zajrzał w głąb i nie znalazł nikogo.

— Do stu tysięcy djabłów! to ten przeklęty junak zemknął, czemuż lucyper nie zabrał go lepiej na gorące piekło wczoraj w czasie bitwy, nie zesłał na mój

kark!... ha trudno, trzeba wyspowiadać się z tego przed wodzem.

W kilka chwil przeniesiono Stanisława w bezpieczniejsze miejsce—do podziemnego lochu.

ROZDZIAŁ XX.

Ciągły smutek i nadzwyczajna zmiana charakteru Jędrzeja zatrwożyła serce kochającego go ojca. Na jego zapytania, na mowy, ukazujące synowi, uśmiechając się, nadzieję osiągnięcia u dworu znakomitych godności, zaledwie odpowiadał, postawa jego była tak smutna, tak znamionująca nieszczęście i znękaną cierpieniami duszę, iż zatrwożyłaby czułość każdego ojca, gdyby niepokoiła wyniosłości dygnitarskiej.

Po kilka razy już chciał Jędrzej dać poznać ojcu swoje cierpienia, lecz zimna powaga jego rozbrajała męztwo młodzieńca. Nareszcie jednego dnia odezwał się sam starzec:

— Jędrzeju! widzę, iż nudzi cię to gnuśne i bezczynne życie w domu rodzica, kocham cię za to, ja takim byłem zamłodu, kiedy człek nie czuł pancerza na piersiach i szabli przy boku, zdawało się, że powietrze przygniata łono. Przygotujże się waść, pojedziemy do Warszawy, przedstawię cię królowi jegomości i polecę jego opiecę i łaskom.

— Ojcze mój! — przerwał żywo młodzieniec — o żadną łaskę nie pragnę błagać monarchy, bo najwięk-

sze jego względy mniej są potrzebne do mego szczęścia, niż twoja miłość, nie wiesz, ojcze — dodał całując jego rękę z uczuciem — nie wiesz zapewne, jak bardzo czułość mi twoja potrzebna.

Starzec usunął rękę i odrzekł zimno:

— Przywiązanie rodzica, Jędrzeju, jest dobrem, które trudno utracić, bo je sama natura zaszczepiła w łonie ludzi; czujemy go nawet wtedy, gdy dzieci przestają na nie zasługiwać, lecz aby otrzymać łaskę swego monarchy, trzeba być jej godnym, zasłużyć na nią. Dlatego jest moim zamiarem towarzyszyć ci do Warszawy i poruczyć opiece królewskiej, jako syna człowieka, który życie poświęcił dobru Rzeczypospolitej.

— Ojcze, chętnie posłuszny jestem najmniejszej twej woli, lecz radbym cię błagać, abyś choć jedno z życzeń moich zechciał ziścić.

— Jędrzeju — odrzekł starzec surowym głosem — znasz doskonale serce ojca, a kiedy powątpiewasz o jego zezwoleniu, to zapewne sam czujesz, iż pobłażającym być nie powinienem. Przewiduję, że wielkie gotujesz mi zgryzoty. Ty, syn pierworodny i nadzieja moja, zmuszasz mnie, abym się rumienił za twoją prośbę!.. O, jeżeli ona taką jest, zamilcz lepiej, nie domagaj się, abym cię miał przestać cenić!

Ta zimna powaga i surowość zamykała otwierające się serce młodzieńca, który pragnął na łonie ojca wylać gorycz zatruwającą dni jego, lecz z drugiej znów strony miłość i wyobraźnia, przedstawiająca cierpiącą Julję, dodawała mu nowych sił, które za każdem na-

tarciem niszczyła potężna władza uszanowania, jakie wzbudzało w synu oblicze rodzica.

Tegoż dnia starzec wszedł z jakimś interesem do komnaty syna, Jędrzej siedział przy stole, mając lice, ukryte w obu dłoniach.

— Jędrzeju! — przemówił ojciec.

Jędrzej był jak martwy.

— Synu! — zawołał głośniej.

Młodzieniec, drgnąwszy całem ciałem, podniósł głowę, twarz jego była okropnie zmienioną i bladą.

Serce rodzica przestraszyło się tem cierpieniem.

— Jędrzeju, co tobie jest, tyś chory!

— Ojcze, jestem bardzo nieszczęśliwy!

— Nieszczęśliwy? ty nieszczęśliwy! gdy świat cały uśmiecha się do ciebie, gdy zaszczyty i godności oczekują cię bez trudów, gdy pozostaje ci chyba do życzenia zostać pierwszym w rzeczypospolitej.

— Ojcze, ja chętnie ustąpiłbym tych wszystkich darów fortuny za jedno twoje słowo, jedno zezwolenie!

— O nie wymagaj go! bo przewiduję, iż ono wstydem ma pokryć nasze czoła!

— Wstydem, ojcze?... podli tylko wstydzić się powinni, a bądź pewien, że syn twój nigdy podobnym występkiem się nie zhańbi!

— O, wierzę ci, Jędrzeju — zawołał rozczulony ojciec — wierzę, tylko cnota z podobną śmiałością tłomaczyć się może, poznaję w tobie godnego potomka Koniecpolskich. Mów, drogi synu, słuchać cię będę z ochotą.

I usiadł starzec, a Jędrzej, stojąc obok jego krzesła, z młodzieńczą szczerością mówił, jakim sposobem poznał Śladkowskiego i jego córkę, jak cnoty i wdzięki Julji zajęły jego młodą wyobraźnię, a potem i serce.

— Ach, ojcze, gdym ujrzał tę młodą dziewicę jaśniejącą niebiańską pięknością anioła, gdym poznał jej cnoty, bardziej jeszcze zniewalające, zostałem uwiedziony mimo mej woli, mimo oporu, bo, ojcze, i ja także wiedziony próżnym przesądem chciałem się uchronić przed niestosowną miłością, lecz później płoniłem się sam przed sobą, żem taką myśl powziął!

— Młody pustaku, tyś rozum stracił! bo inaczej wstydziłbyś się słów swoich!

— Nie, drogi ojcze! — mówił z zapałem Jędrzej — ten kto uwielbia cnotę, kto oddaje należny hołd niewinności i pokorze, ten wstydzić się nie powinien, wstyd niechaj będzie udziałem istoty zatwardziałej i nieczułej, którąby mogła widzieć anioła i nie zgiąć przed nim kolana!.. Ach, ojcze, dozwól mi skończyć — mówił dalej ze wzrastającym zapałem, widząc iż ten z groźnym wyrazem przerwać mu zamierzał — nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Jednego dnia Śladkowski oddawał mi rękę córki, ona zezwalała, a szczęście było w mej mocy, odmówiłem go, poświęciłem się na gniew sprawiedliwy ojca i rozpacz córki niewinnej, zniosłem wszystko, aby bez twego zezwolenia nie zostać szczęśliwym.

— Półgłówku! — zawołał starzec z zarumienionem obliczem — powiedz raczej, żeś nie miał jeszcze tyle

szaleństwa, aby wobec świata okryć się śmiesznością. Ty, z którym związek za honor poczytywały by sobie pierwsze rodziny w kraju, mógłbyś pomyśleć o połączeniu się z córką zagrodowego szlachcica! duch opiekuńczy familji naszej strzegł kroki twe od upadku. O szczęście twoje, bo wyparłbym się ciebie, odrzucił...

— Ojcze! — przerwał Jędrzej, wyciągając błagalnie ramiona — miej litość!

Dygnitarz spojrzał na syna, na to zmienione i wybladłe oblicze, na ten kwiat zwiędły przed rozwinięciem i zamilkł, ścisnęło się serce rodzica a myśl, że zbytnia surowość może pozbawić go pierworodnego syna, rozbroiła jego gniew.

— Jędrzeju, uspokój się, wierzę ci, że cierpisz, pojedziesz ze mną do Warszawy, król wysyła poselstwo do Wiednia po narzeczonę, przyszłą monarchinię naszą, potrzeba, abyś i ty należał do orszaku poselskiego, którego głową będzie brat królewski. Mam nadzieję że czas rozerwie, wyleczy cię z tej gorączki, jeżeli się zaś mylę, jeżeli zawsze trwać będziesz w twych uczuciach, postaramy się ułożyć rzecz tę jak najdogodniej.

— O drogi ojcze! jakże ci mam podziękować za twoją łaskę! — zawołał z radością młodzieniec — o gdybyś znał Julję tak, jak ja, anibyś pomyślał, że czas, że inne rozrywki, inne kobiety, mogą zatrzeć ją w mej pamięci; chętnie poddaję się twej woli, jadę do Warszawy, do Wiednia, na koniec świata, wszędzie, gdzie każesz, drogi ojcze! za jednę nadzieję tylko.

*

* *

Dnia 26 lipca 1637 roku przybył królewicz Jan Kazimierz w licznem gronie paniąt polskich, świetnego rycerstwa i z przepysznym dworem do Wiednia i zajął przeznaczony sobie przez cesarza pałac Eggenberski, a po uroczystej audyencyi u cesarza Ferdynanda III i Cecylii Renaty siostry jego, arcy-księżniczki austryackiej i po odebranem zezwoleniu od papieża Urbana VIII na jej małżeństwo *) z Władysławem IV, stanęła w Wiedniu ugoda ślubna między cesarzem Ferdynandem III, naznaczającym posagu Cecylii siostrze swej 100,000 złp., zrzekającej się przy tym akcie wszelkich pretensyi do dziedzicznych praw Austryackich, i Władysławem królem polskim.

Następnie dnia 9 sierpnia po południu odbyły się zaślubiny Cecylii Renaty z królewiczem Janem Kazimierzem, osobę brata swego zastępującym, wobec cesarza, jego familii i wielu panów niemieckich i polskich. Błogosławił tę dostojną parę ksiądz Jan Lipski biskup chełmski.

Następujące trzy dni, poświęcone były, zabawom i uroczystościom, a po wielu wspaniałych ucztach, wyjechała królowa z Wiednia 13 sierpnia, odprowadzona przez brata, Ferdynanda III, kilka mil za stolicę, przez księcia Dietrichsteina, do granic polskich, a przez arcyksiężnę, Klaudyę Tyrolską, i biskupa Jawarzyńskiego, aż do Warszawy.

Skoro tylko wjechała, królowa na ziemię polską, została przyjęta przez oczekujących ją z licznym or-

*) Cecylia była siostrą cioteczną Władysława.

szakiem panów i rycerstwa polskiego: Jakóba Zadzika biskupa krakowskiego, Jerzego Osolińskiego, wojewodę sandomierskiego, i tęczyńską kasztelankę Wojnicką, matkę wojewody krakowskiego. W Krakowie, przyjmowana z największą okazałością, wjeżdżając przez bramy, witaną była przez mowy, od panów polskich, duchowieństwo, akademje i mieszczan.

Nareszcie, w miasteczku Iłży, o 18 mil od Warszawy, sam król z małym orszakiem przyjechawszy, powitał narzeczoną prywatnie, lecz niedługo wrócił do Warszawy.

Wkrótce stanęła Cecylja w pałacu ujazdowskim, gdzie ją królewicz, Karol Ferdynand, królewna Anna Konstancja, imieniem królewskim, przyjmowali. Trzeciego dnia odbył się, uroczysty wjazd do Warszawy, w czasie którego wytworność i bogactwa, panów polskich w pojazdach, dworzanach i koniach, zadziwiała cudzoziemców. Stolica ożyła niezwykłym ruchem, bo urzędnicy, dygnitarze i magnaci korony, i Litwy, zebrani w jej murach, postanowili zdumieć gości, zbytkiem, nie do uwierzenia, bogactwy, hojnością i wspaniałością.

Dnia 13 września prymas Jan Wężyk potwierdził ślub Władysława osobiście z Cecylją Renatą, a nazajutrz ukoronował w kościele Św. Jana, z powszechną wszystkich obecnych radością, pomnożoną odgłosem dział.

Przez kilkanaście dni trwały uczty, fajerwerki i widowiska.

Dla uprzyjemnienia pierwszych chwil pobytu królowej w Warszawie, na zamku królewskim, dawane by-

ły widowiska teatralne *). Naumyślnie na tę uroczystość napisana została tragedja o świętej Cecylji. Z wystawą tej sztuki nic nie mogło iść w porównanie, zgasła florencka świetność *Wyprawy Ruggiera i Dafny*. Cudzoziemcy obecni i posłowie zagraniczni przyznali zgodnie, że niewidzieli nigdzie, równego zbytku i przepychu teatralnego **).

Widowisko to tak się podobało, iż, dla dogodzenia, powszechnemu upodobaniu, wystawiono drugą tragedję Polską *Królowa Jadwiga*, w której młodzież bawiąca przyjęła role. Przedstawienie cnotliwej Jadwigi poruczono Julji Śladkowskiej—nieśmiała dziewica długo czyniła trudności, nie mogła odważyć się wystąpić wobec całego dworu i monarchy, lecz powszechnie nalegana uledz musiała większości głosów.

Przy wyuczeniu się ról, każdy dokładał starania, aby godnie odpowiedzieć zaufaniu i popisać się wobec tak licznego zebrania. Wyniosły, i tyle święty dla każdego rodaka przedmiot dzieła dodawał aktorom ducha, wszyscy przejęli się charakterami swych ról, próby odbyły się, z wielką akuratnością. Z niecierpliwością oczekiwano dnia przedstawienia, Julja tylko z bojaźnią go wyglądała. Szybko zbliżyła się owa pożądana chwila, już wszyscy aktorzy we właściwych kostjumach

*) Za Władysława IV kwitnęła sztuka dramatyczna w Polsce, król sam od młodu szczególnie ją miłował, a na teatrze w zamku warszawskim grywano opery i balety. W sztukach polskich młodzież znakomitsza i dworzanie przyboczni przyjmowali role. Obacz badania starożytności polskich i ruskich.

**) Tamże.

zeszli się do sali, dla nich przeznaczonej, brakowało tylko przedstawiającego. rolę księcia Wilhelma, oczekują go, nareszcie wchodzi ojciec aktora, z jakimś młodzieńcem, okrytym płaszczem, i mówi, że syn jego dziś z rana przez rozhukanego konia został śmiertelnie pokaleczony.

— O mój Boże! cóż się stanie z widowiskiem, za pół godziny, król przybędzie! — zawołał dyrektor teatru.

— Ten pan, tak dobry, że przyjął na siebie zastępstwo.

Nieznajomy zrzucił płaszcz i ukazał się, w zupełnej zbroi, jak wymagała treść sztuki. Wszyscy z zadziwieniem spojrzeli na nowego towarzysza, unosząc się nad wspaniałością jego postawy i wytwornem ubraniu. Julja, stanęła jak martwa, a nieznajomy utkwił w niej swój wzrok.

— Panie... Jędrzeju, to ty jesteś? — rzekła ledwo dosłyszanym głosem.

— Dla widzenia ciebie, pani, przyjąłem tę rolę.

— O mój Boże, co się ze mną dzieję!.. ja nie będę mogła grać — rzekła zcicha spuszczając oczy.

— O Juljo—odrzekł, takimże głosem Jędrzej — będę grał lepiej, bo dusza moja, jest jakby w harmonijnym związku z rolą, pani, ja cię tak kocham, jak Wilhelm Jadwigę!

— Jędrzeju, na miłość Boską, co mówisz!.. ty... o mój Boże! patrz, słuchają nas... drogi Jędrzeju... nie, ty będziesz moim Jagiełłą.

— Aniele! moja Juljo, miejmy nadzieję!...

Wtem odezwała się muzyka i aktorzy pośpieszyli na swoje miejsca, kurtyna się podniosła, widowisko rozpoczęte.

Pierwsze zaraz sceny zyskały zupełne zadowolenie, każda wzniosła myśl, każdy ruch Julji, okrywano pochwałami. Jej postawa, pełna wdzięku, miłe oblicze, łagodne wejrzenie, odpowiadały roli, — taką właśnie, wyobraża sobie każdy tę cnotliwą królowę, taką powinna być Jadwiga.

I Jędrzej grał wybornie, bo wzrok Julji, ciągle na nim spoczywał, dźwięk jej głosu odzywał się w jego duszy, nadto: charakter młodzieńca był takim, jak wymagała rola, waleczny, wspaniały, w położeniu tym Wilhelm, byłby podobnie postąpił, podobnie mówił.

Julja była w ciągłem zachwyceniu, w osobie Jędrzeja widziała księcia, którego przedstawiał, i sama, przestała być Julją, ale stała się Jadwigą.

W takim stanie umysłu zostawali oboje, gdy zbliżała się scena, w której Wilhelm, będąc świadkiem zaślubin, dawnej swej narzeczonej, z Jagiełłą, w rozpaczy targnął się na własne życie, a przyjaciele jego, przez dziwny zbieg wypadków wnoszą go, do ogrodu XX. Franciszkanów, gdzie znajdowała się królowa z Tęczyńską. Widok ten przeraża Julję, gdybyżto miała być prawda, pomyślała, gdybyśmy w rzeczy samej wystawieni zostali na taką próbę!.. W tej chwili Jędrzej podnosi głowę, wzniósł ku niej piękne swe oczy, w których tak wymownie malował się wyraz nieszczęśliwej miłości, gdy według roli, gasnącym wyrzekł głosem.

— Jadwigo, zdradziłaś przysięgę!..

Julja zadrżała, nogi pod nią się ugięły, w oczach poczerwieniało, przedmioty zaczęły się poruszać i, wymawiając z boleścią:

— Wilhelmie, jesteś niesprawiedliwy! — zemdlała, i padła obok niego.

Szmer powstał w sali, widzowie rozumieli, iż rzeczywiście takie było zakończenie sztuki, ganiono autora, iż tak niezgodnie z prawdą i charakterem królowej skreślił ostatnią scenę, lecz nikt nie domyślał się istotnej prawdy.

Wszyscy dziękowali Julji, biedna dziewica mimo znękania musiała słuchać czczych pochwał, które więcej ze zwyczaju jak z serca pochodzą. Sam monarcha winszował Śladkowskiemu tak miłej córki — a ta okazja zbliżyła go do dworu.

Władysław polubił ojca dziewicy.

ROZDZIAŁ XXI.

Opuśćmy Warszawę, znużoną ciągłemi uroczystościami, a pośpieszmy razem z powracającą szlachtą na Ukrainę i wejdźmy wraz z nimi do gospody Judki. Niech nas nie zrażają głośne krzyki i gwarna rozmowa panów braci, opowiadających sobie nawzajem przy kuflu wypadki, zaszłe w stolicy, nowiny, spostrzeżenia i wnioski, ztąd wyprowadzone.

Każdy zapatruje się na rzeczy właściwym sobie sposobem, ztąd różność zdań i sądów, ztąd sprzeczki i rozdwojenia, ztąd partye, bitwy.

Podobna przyczyna poróżniła współbiesiadników w karczmie Judki. Jedno stronnictwo pod naczelstwem pana Jacentego, z groźnemi postawami, w czapkach na bakier i wąsem podniesionym, otoczyło wielki stół naprzeciw drzwi, drugie, którego głową był Piekarski, dowódzca załogi zamku Misury, zajmowało miejsce pod piecem i chociaż mniej liczne, jednak równie głośne i głośne.

— Vivat starosta międzyrzecki! — zawołał Jacenty, wychodząc z podniesionym kuflem przed stół, około którego siedzieli jego zwolennicy.

— Vivat! — powtórzyła partya z pod pieca.

— Aha! przecież przekonałem waszmościów — odezwał się Jacenty — że tylko pan Białobrzeski mógł osiągnąć starostwo Międzyrzeckie.

— Jako żywo! — odparł Piekarski — powtórzyliśmy toast za zdrowie starosty, którym jest pan Śladkowski, a nie kto inny.

— Fałsz, za co, za jakie zasługi! co za współzawodnictwo z panem kasztelanem Białobrzeskim.

— Chyba dla ładnych oczu jego córki, która grała komedye przed królem.

— Czy to nie Śladkowski na wojnę przeciw turkowi swym kosztem zebrał i wyprowadził szlachtę z powiatu! — odezwał się Piekarski. —

— Albo nie Białobrzeski odparł tatarów aż za Dniestr, nie dla ogólnego dobra ucierpiał tyle od zbójców?

— Vivat Białobrzeski!

— Vivat Śladkowski, starosta międzyrzecki!

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł pan Jan Wojnicki podczaszyc.

— Ach jak się masz, panie bracie! powracasz przecie, cóż nowego słychać w Warszawie? — zawołał Jacenty, wyciągając rękę na przeciw przybyłemu — zapewnie do nas należysz?

— Cóż to za sprzeczka, o cóż idzie panowie bracia?

— Ci ichmościowie utrzymują, że Śladkowski miał otrzymać starostwo międzyrzeckie, mimo kasztelana Białobrzeskiego, który o nie konkurował.

— Tak jest, prawdę mówią, o tem wszyscy wiedzą w stolicy i nikogo to nie dziwi.

— Protestuję! — wrzasnął Jacenty — co za niesprawiedliwość, pan kasztelan Białobrzeski tyle zasług położył, tyle ucierpiał dla nas!

— Panie Jacenty, zastanów się, taka wola króla nie przeczę, że pan Białobrzeski położył niejakie zasługi, ależ Śladkowski w stosunku swego położenia większe jeszcze uczynił; kasztelan, jako urzędnik czyni to niejako z powinności, co Śladkowski tylko z własnej woli przez gorliwość o dobro powszechne, dlatego powinien być wynagrodzonym.

— Fałsz, niesprawiedliwość! — wrzeszczał Jacenty — król dla ładnych oczu córki rozdaje starostwa ich ojcom, zasługi zostają bez zapłaty, zbrodnie bez kary, zbójcy niszczą kraj, nikt im nic nie mówi!..

* * *

Tymczasem Adam Śladkowski nie zważając na czcze gadania zawistnego tłumu, spokojne pędził życie w Misurynie; zdało się, że fortuna polubiła pobyt w jego zamku. Starosta opływał w dostatki, w niczem nie spotykał przeciwności zawistnego losu, jednak często, pogrążony w dumaniu, po parę godzin przesiadywał w swej komnacie, a gdy wyszedł z niej, widziano świeżą łzę na jego powiekach.

Jedyna córka starosty, Julja, dziecię lube, w której swą Rozalję, kochaną żonę z odrodzonemi wdziękami widział, ona, dla której połowę życia by oddał, zawsze smutna, zawsze zamyślona, tęskna, ani uśmiechu nigdy nie ujrzysz na jej licu, ani wesołości na jej czole, tylko łzy i dumanie. Jakieś przykre przeczucie wystawiało przed oczy dziewicy przyszłość, powleczoną czarnym kirem żałoby, tęsknota spędzała uśmiech z jej ust i wesołość z czoła, a obraz Jędrzeja prześladował ją we dnie i w nocy. Dlatego codzień stawała się smutniejszą, codzień więcej myślącą i bardziej nieszczęśliwą.

Rok ten był nieurodzajnym, szarańcza zniszczyła plony wieśniaka, a zgniła gorączka grasowała niezmiernie. W czasie wiosny susza wypaliła pola, w lecie wylewy pochłonęły resztę zasiewów, a na jesień jakby na dopełnienie ostatniego nieszczęścia zaraza i morowe powietrze spadły na Ukrainę.

Nieszczęście bliźnich rodzą współczucie w sercach czułych. Teraz Julja znalazła niejako ulgę, znalazła rozkosz, która zapełniła jej nieczynne życie, litościwa

dziewica poświęciła się czuwaniu nad rodzinami biednych kmiotków swoich.

Już nieszczęśliwy rolnik wyciągnął ostatnie ziarno z komory, ostatni kłos ze stodoły, już dobytek wyniszczał dla braku paszy — znikąd żadnej pomocy, bo w tak smutnym czasie każdy myśli tylko o sobie. Nędza rozszerzyła się po Ukrainie, a zniechęcenie ludu, z powodu uciemiężenia przez szlachtę, powiększało jeszcze nieszczęście. Niebrakło wprawdzie kozakom pieniędzy, lecz trudne było sprowadzenie z dalekich stron zboża — a potem, w czasie głodu, każdy lęka się ogałacać z zapasów.

Wtedy Julja jak anioł pocieszyciel poświęciła siły i zdrowie z narażeniem własnego życia wsparciu cierpiących, a czyniła to nie dla żadnej chluby, nie dla nagrody, bo jakąż nieszczęśliwi ofiarować mogli prócz wdzięczności, lecz dla niej te łzy były droższemi nad skarby, bo one łagodziły jej cierpienia, wlewały błogą spokojność w duszę i nagradzały poświęcenie.

Ona — słaba dziewica, poznała, iż może być użyteczną bliźnim, sama rozdawała żywność, opatrywała cierpiących, zarazą dotkniętych, była matką dla dziatek, pozbawionych rodziców, i starców bez wsparcia.

Nadaremnie starosta czynił jej uwagi, aby była ostrożną, aby strzegła życia i zdrowia, Julja zamiast odpowiedzi, całowała ojca w ręce, prosząc o nowe dla biednych zasiłki.

Lud ukraiński kochał ją i uwielbiał jak opiekuńcze swoje bóstwo, a Julja szczęśliwą była jego przywiązaniem. Szybko rozszedł się odgłos cnot dziewicy, mó-

wiono ze czcią o córce Śladkowskiego, lecz zawiść ludzka, która nieomieszka korzystać z każdej rzeczy, upatrzyła w tem uwielbieniu, jakiem otoczoną była rodzina Śladkowskich, sposób pognębienia niebezpiecznego współzawodnika.

ROZDZIAŁ XXII.

Już ustał w Warszawie ruch i gwar koronacyjny, ucichły zabawy i widowiska, panowie urzędnicy rozjechali się do domów, a stolica utraciła ten magiczny i przynęcający wdzięk, bo nagła zmiana uczyniła ją tem więcej ponurą, smutną i pustą, jak ciemność jesiennej nocy po jasnym dniu lata.

Przemianę tę i czczość po niej następującą najwięcej może czuł Jędrzej. Już od miesiąca przeszło Śladkowski, otrzymawszy starostwo międzyrzeckie, opuścił Warszawę wraz z córką, a młodzieniec uczuł się smutnym i opuszczonym — jakiś okropny ciężar spadł na jego łono.

Pewnego dnia wieczorem Jędrzej, wracając z miasta do zamku, spotkał chorążego Bieńkowskiego, ze znacznym poczetem kawaleryi wyjeżdżającego ku Wiśle; objuczone konie zwróciły jego uwagę.

— A dokąd to, panie chorąży? — zapytał Jędrzej.

— Żegnaj mi, hetmaniczu, jadę w daleką podróż, na Ukrainę — odrzekł Bieńkowski, wyjmując z zanadrza opieczętowany zwój pargaminu — wiozę podarunek królewski.

— Gdzie? na Ukrainę, po co?

— Wybaczcie mi, panie, jest to interes wielkiej wagi, polecenie królewskie, którego rozgłaszać nie jest mi wolno, ale wy powinniście o tem słyszeć od ojca, interes ten dotyczy waszych znajomych.

— Kogo, starosty międzyrzeckiego? — zawołał Jędrzej z żywością.

— Tak, tak, ale proszę, nie badajcie mnie, nic mi powiedzieć nie wolno.

— O Boże! panie chorąży, zmiłujcie się, zaklinam was na honor, powiedźcie mi, przysięgam, że dochowam tajemnicy.

— O mój panie, czegóż odemnie wymagacie!

— Jakóbie, ty mi nie odmówisz? — na Boga, czy nieszczęście zagraża staroście i jego córce?

— Ach, więc Śladkowski ma córkę?.. biedna dziewica — rzekł, westchnąwszy stary chorąży — o tak, grozi im wielkie niebezpieczeństwo, wiecie, że starosta jest zdrajcą.

— Co mówisz? — zawołał, cofając się wstecz z zadziwienia, Jędrzej — to być nie może, ja znam dokładnie tego człowieka, trudno być cnotliwszym i więcej przywiązanym do króla i kraju.

— Mylicie się, panie, wiarogodni świadkowie przysięgli, dowody potwierdziły prawdę. Starosta starał się pochlebstwy przyciągnąć do siebie kozaków, mając zamiar na wiosnę podnieść broń przeciw monarsze i wybić się z pod panowania króla polskiego, jako udzielny książę i władzca Ukrainy.

— O mój Boże! więc jedziesz, aby go uwięzić?

— Tak jest, oto rozkaz królewski.

— Ach, a ja nie mogę im pomódz, oni zginą! lecz ręczę, że starosta jest niewinny!.. nie, ten człowiek niezdolny do zdrady!

— Być to może, starajcie się przeto wykryć jego niewinność, wasze twierdzenie ma znaczną wagę, zwłaszcza gdyby go wasz ojciec chciał poprzeć — lecz ja muszę robić swoje, bywajcie zdrowi, hetmaniczu, proszę o tajemnicę — rzekł chorąży, wjeżdżając na most.

— Bądź zdrów, przyjacielu, proszę cię miej wzgląd na starostę i jego córkę, a wybadawszy prawdę na miejscu, donieś mi o tem, albo zatrzymaj się, ja napiszę kilka słów do Śladkowskiego.

— Wybaczcie mi, panie, czas nagli, za ośm dni mam stanąć na miejscu.

— Ach cóż uczynię! — rzekł zakłopotany młodzieniec — jedź zwolna, poślę za tobą pismo przez mego hajduka.

— Dobrze!

— Bądź zdrów, jedź z Bogiem, mój Jakóbie — rzekł wzruszony młodzieniec — ale, chwilkę jeszcze, proszę cię, nie wymieniaj przed starostą mego nazwiska.

— Życzenie wasze prawem dla mnie. Żegnam was, panie.

Młodzieniec pobiegł do swego mieszkania, porwał pióro, ćwiartkę papieru i napisał następne słowa:

„Starosto!

„W tej chwili dowiedziałem się o wiszącem nad głową waszą niebezpieczeństwie. Obwiniono was o zdradę kraju. Znając wasz szlachetny i prawy charakter,

jestem pewny, że to jest fałszem. Na Boga, zaklinam cię, panie, donieś mi o prawdzie, jeżeli jesteś niewinnym, będę się starał, aby i król był o tem przekonany, jeżeli zaś jest inaczej, przysięgam, że do grobu poniosę tajemnicę, lecz dla waszego dobra pragnę wiedzieć prawdę!

Jędrzej.

Potem uderzył w dłonie i wszedł jego wierny hajduk.

— Janku! — rzekł do niego — weź konia i bież co tchu na Pragę ku Lublinowi, spotkasz oddział jazdy i oddaj to pismo jego dowódcy, panu chorążemu Bieńkowskiemu.

Przeszło dwa tygodnie Jędrzej w okropnej niepewności oczekiwał listu chorążego; przed dowiedzeniem się prawdy, nie śmiał uczynić żadnego kroku w obronie starosty. Ojciec Jędrzeja domyślał się może, że młodzieniec posiada okropną tajemnicę, która miała stanowić o losie jego kochanki, smutek i ponurość zdradzały niepokój jego duszy, lecz ani syn, ani ojciec, nie śmieli wyrzec pierwszego słowa w tak drażliwym przedmiocie.

Nareszcie nadeszło owo pożądane pismo, młodzieniec rozerwał śpiesznie pieczęć.

„Wielmożny panie bracie hetmaniczu!

„Uczyniłem swoje — starosta uwięziony, ale nie uwierzysz, panie Jędrzeju, jak przykro mi było dopełnić tego ciężkiego obowiązku; jestem pewny, że Śladkowski niewinny, jego zadziwienie, gdym mu oznajmił, o co jest obwiniony, to szlachetne oburzenie, te łzy, któremi uczu-

cie obrażonej niewinności zrosiło jego oczy — o jak wymownie świadczyły, że jest praw. Jego poddani i kozacy żałują swego dobroczyńcy, lecz nie oburzają się, jak buntownicy za uwięzienie swego herszta.

„Starosta bez oporu poddał się wyrokowi króla, musiałem być świadkiem rozdzierającej duszę sceny rozstania się ojca z córką. Ach, ta córka, panie Jędrzeju, to anioł dobroci!.. prosiła mnie, abym oznajmił jej bratu Kazimierzowi o nieszczęściu ojca, ma on być w Warszawie przy dworze królewicza Jana Kazimierza, wyręcz-że mnie, hetmanicu, proszę cię. Starosta po odczytaniu twego pisma okazał zadziwienie i zapytał mnie: kto jest ten Jędrzej? Odpowiedziałem, że nazwiska swego odkryć mi zabronił, lecz zaręczyłem słowem honoru szlachcica za prawość waszą. „To musi być jakieś paniątko — rzekł po chwili, w tem piśmie przebija się jakieś nawyknienie dumy, prośba ma coś imponującego.“ — O panie starosto, przychyl się do niej — zawołałem prosząc go — nie wiem czego od was wymaga, lecz ręczę, że jego zamiary są czyste i jedynie do waszego dobra zmierzają, bo on, gdy będzie posiadał wiadomość, której od was wymaga, może wam dopomódz, jest możnym, wiele uczynić potrafi i pragnie, jestem tego pewien, bom widział jego boleść na oznajmienie o waszem przyaresztowaniu. — „Dobrze, odpiszę mu“ — odrzekł i wkrótce wręczył mi list, który, załączając przy moim, zostaję na zawsze dla wielmożnego pana brata:

Z winnym respektem

Chorąży Bieńkowski. mpp.

List starosty był w tych słowach:

„Młodzieńcze!

„Nie znam cię dostatecznie, lecz ufam twojej prawości. Chcesz wiedzieć, czy jestem winny? chyba tem tylko że starałem się być prawdziwym ojcem i opiekunem poddanych włościan. O zamiarach, które mi przypisują, nie słyszałem nawet i brzydzę się niemi, jak każdy prawy obywatel Rzeczypospolitej i wierny poddany jego królewskiej mości Władysława IV. Słowa te pochodzą z mej duszy i są istotną prawdą, za którą ręczę mem słowem prawego slachcica; słaba to może rękojmia, lecz innej dać ci teraz, młodzieńcze, nie mogę.“

Rozjaśniało się czoło Jędrzeja, gdy przeczytał te wyrazy.

— O chwała wszech Stwórcy, on jest niewinnym! — zawołał, wstając z krzesła — muszę go uwolnić, Bóg nakazuje wspierać cierpiącą niewinność.

I pobiegł do komnat ojcowskich.

Stanisław Koniecpolski, kasztelan krakowski, wielki hetman koronny, starosta Buski, Barski, Bytomski, Kowalski, Płoskirowski, ulubieniec króla, szanowany przez obywateli, kochany przez szlachtę i wojsko, był niemal pierwszą osobą w królestwie. Właśnie odebrał polecenie od Władysława IV wystawienia kosztem skarbu publicznego twierdzy Kudak przy ujściu rzeki Samary do Dniepru, po wyżej Porochów, jako miejscu najobronniejszem, oraz do powściągnienia i zmuszenia do posłuszeństwa kozaków najprzydatniejszem; przeglądał

papiery i plany tej twierdzy przez inżeniera Baupleau wystawione, gdy wbiegł syn jego Jędrzej.

— Ojcze, starosta jest niewinnym! — zawołał młodzieniec z zapałem — ręczę za to mem życiem, wierz mi, to zawiść nieprzyjaciół wymyśliła tak piekielną potwarz!

— Co mówisz, kto niewinny? — zapytał wielki hetman, zdziwiony zapałem syna, tak, że nawet nie pojmował jego wyrazów.

— Mówię, że Śladkowski nie miał zamiarów, o które go oskarżono!

— Jakież dowody jego niewinności? — zapytał zimno Koniecpolski.

— Moje własne przekonanie, pismo chorążego Bieńkowskiego i słowa starosty! czytaj, ojcze, czy zdrada i fałsz podobnemi przemawia słowy?

— Zbyt jesteś młody, Jędrzeju, abyś mógł z kilku wyrazów, sądzić o sposobie myślenia i duszy ludzi dojrzałych.

— Ja Śladkowskiego znałem oddawna, znałem blisko, bo rok cały przepędziłem pod jego dachem i oddałbym moje życie za jego prawość! przeczytaj, ojcze, te pisma, a przekonasz się sam, że on musi być niewinnym.

Hetman zaczął czytać, po chwili rzekł do syna:

— Być może, że oskarżenia przeciw Śladkowskiemu są fałszywe, lecz potrzeba tego dowieść aby go uwolnić.

— A czemże dowiedli ci, którzy zanieśli skargę przeciw niemu? — zapytał młodzieniec.

— Stawili świadków, którzy należeli do spisku, lecz, zwierzywszy się, zostali skłonieni do odkrycia zdrady.

— Ci świadkowie mogli być przekupieni, lub skłonieni do tego postępku przez osobistą urazę, zemstę lub inne pobudki.

— Będą badani, a prawda wykryć się musi, czyżeś słyszał, aby kiedy bez oczewistych dowodów potępiono kogo?

— Tak, nie wątpię, że prawda zostanie wyświeconą, bo Bóg czuwa nad niewinnymi, ale to nastąpi za rok, a tymczasem Śladkowski jęczy w okowach, wszyscy się nim brzydzą, jak zdrajcą, sąsiedzi rzucili na cały ród klątwę hańby, biedna jego córka, odłączona od ojca umrze ze zgryzoty, bez pociechy, bez wsparcia! a to wszystko niesłusznie!.. Ojcze, zaklinam cię na Boga, dopomóż, staroście! — zawołał młodzieniec, padając do nóg jego — wierz mi, że życie Śladkowskiego jest sprawiedliwe i bez zmazy!

— Powstań, Jędrzeju! — rzekł hetman łaskawie — będę się starał...

— Nie, drogi ojcze, nie wstanę, dopóki nie usłyszę z twych ust słowa pewnej nadziei, przyrzeczenia, że weźmiesz Śladkowskiego pod swoją opiekę, że go uwolnisz!

— Czegóż wymagasz, nierozsądny, może nie zdołam tego uczynić?

— O jestem pewny że możesz wszystko, co zapragniesz, ojcze, jedno słowo!..

— Wstańże, Jędrzeju, przyrzekam ci, zajmę się tą sprawą i będę się starał uczynić wszystko, co tylko będzie można. Świadkowie już ściągnięci, za kilka dni będę niejako zapewniony, czy należy mieć nadzieję, czy można uwolnić z pod straży Śladkowskiego lub nie.

— O dzięki ci, ojcze, dzięki! jestem pewny, iż wkrótce sam się przekonasz o prawości Śladkowskiego i rozkażesz go uwolnić.

Znów upłynęło kilka dni oczekiwania i niepewności, dni długich i ponurych, które Jędrzej radby w jednę chwilę skrócić, nareszcie pewnego wieczora Koniecpolski rozkazał przywołać syna.

Młodzieniec z bijącem sercem udał się do komnat ojcowskich. Oblicze hetmana było zasępione, czoło pokryte gęstemi zmarszczkami, głowa wsparta nad papierami na ręku, a umysł tak mocno zajęty, że Koniecpolski nie spostrzegł przybycia syna.

Jędrzej zadrżał, ujrzawszy ojca w tym stanie, zimny pot wystąpił na jego czoło, nadzieja upadła.

— Ojcze — rzekł drżącym od wzruszenia głosem.

— Mój synu, mylimy się, Śladkowski jest zdrajcą! wszystko tak przekonywa!

— O mój Boże!.. biedna Julja!.. I niema żadnej nadziei?

— Żadnej, badano dziewięciu świadków po szczególe, wszyscy mówią zgodnie, nie wszyscy należeli do spisku, nie wszyscy wiedzieli o celu swego działania, lecz wszyscy zeznali, że czynili, co im polecił starosta, czytaj oto protokóły, rozkazałem je sobie przynieść do przejrzenia.

Młodzieniec uchwycił papiery z chciwością, utkwił wzrok w piśmie i zdawało się, że pożerał wyrazy. Ojciec milczał, wpatrując się w blade oblicze syna.

— Ojcze, czytałżeś uważnie i porównywał te zeznania! — zawołał po półgodzinnej przerwie Jędrzej.

— Tak jest, przeglądałem je.

— I nie znalazłeś nic godnego uwagi?

— Nie... dlaczego?

— Ci świadkowie są oszusty, przekupieni, przysięgam na to, słuchajże, ojcze!

— Jednego dnia, zeznaje pierwszy, otrzymałem wezwanie od starosty stawienia się w Misurynie; pan Śladkowski — rzekł do mnie: Wasilu, potylekroć oświadczyłeś, że gotów jesteś życie mi poświęcić, dziś pytam cię czy zechcesz dotrzymać obietnicy? Mów śmiało, ale szczerą prawdę? Przysiągłem, że dla jego dobra poświęciłbym ostatnią kroplę krwi, bo prawdziwie kochałem starostę. Wtedy Śladkowski — rzekł do mnie: Przyjacielu, użyję cię za narzędzie ważnej sprawy, sprawy, która tyczy losu całej Ukrainy, jestto dowodem, o ile ci ufam. Dziś w wieczór odkryję wam moje plany, idź przeto, sproś na ucztę poświęconych mi ludzi, którym można zaufać, bądź czynnym i roztropnym, a wdzięczność moja i nagroda będzie królewska. Słowa te przestraszyły mnie, nie wiedziałem, co czynić, nie miałem siły zdradzić położonego we mnie zaufania i byłem posłuszny staroście. Tego dnia kilkudziesięciu szlachty i możniejszych swobodnych kozaków biesiadowało późno w noc w komnatach koszarnych zamku Misuryn. O północy wezwani zostaliśmy do apartamentów Śladkowskie-

go. Weszliśmy, sam starosta odkrył nam cel zebrania, powiedział, że w święta Wielkanocne zamierza podnieść bunt przeciw Rzeczypospolitej i ogłosić się samowładnym panem Ukrainy, etc.

— Następny znów mówi, starosta międzyrzecki dnia 24 grudnia pod pozorem swych imienin, wezwał na ucztę do zamku wielu swych przyjaciół, nas, biedniejszą szlachtę i kozaków częstował w koszarach swych żołnierzy, o północy, gdy ci, którzy nie wiedzieli o prawdziwym celu zebrania (bo dla nie poznaki zaprosił przyjaznych i nawet przeciwnych sobie) upojeni trunkiem, naumyślnie poddawanym przez jego służbę, posnęli na podłodze, wszedł starosta i wezwał nas z sobą do własnych komnat. Tam zastaliśmy zebranie kilkunastu osób, należących do spisku, pan Śladkowski odkrył nam swój zamysł wyzwolenia Ukrainy z pod władzy króla polskiego, przyrzekł swobody, zniesienie Unii i zupełną wolność wyznawania wiary. Uniesieni zapałem, olśnieni obietnicami, przysięgliśmy mu całą duszą pomoc i posłuszeństwo, etc.

Trzeci zeznaje: w wigilją Bożego Narodzenia, a w dzień imienin pana Śladkowskiego, była wielka uczta na zamku Misuryn, my szlachta i kozacy biesiadowaliśmy z żołnierzami starosty, przy kielichu uważałem, że niektórzy z panów braci, a szczególniej ci, którzy częściej odwiedzali zamek w tajnych interesach, pili mniej i mniej mówili, lecz za to byli baczniejsi na rozmowy innych. Spostrzeżenie to zainteresowało mnie mocno i odbiegła ochota zabawy, a kiedy późno w noc niektórzy z naszych kolegów posnęli, rozmarzeni miodem

i wódką, starosta oznajmił reszcie, w jakim celu nas zebrał u siebie. Przyjaciele — rzekł — wielkie czeka nas dzieło, was wybrałem za swych towarzyszy do jego dopełnienia. Ukraina wzywa naszej pomocy! ja ogłaszam się jej protektorem, przyrzekam powrócić jej dawne swobody i religię.

— Ojcze, racz teraz porównać te zeznania, wprawdzie wszystkie dążą do jednego celu, aby potępić Śladkowskiego, lecz ta zgodność jest tylko pozorna, wszystkie różnią się w tych drobnych, niedostrzeżonych na pierwszy rzut oka odcieniach, a te małoznaczące na pozór okoliczności, rzucają wyraźną myśl, że ci świadkowie są oszuści, są podstawieni potwarcy, których nauczono, co mają mówić, lecz nie przewidziano tak małych szczegółów, nie przewidziano, że one mogą ich odkryć.

Pierwszy mówi, że starosta polecił mu wezwać tylko samych poświęconych sobie ludzi.

Drugi, że żadnego nie czynił wyboru, aby nie zdradzić swych zamiarów, a dopiero gdy nie wcieleni do tajemnicy posnęli opojeni, wtedy wszedł sam Śladkowski i wezwał pozostałych do swych komnat, gdy pierwszy powiedział, *o północy wezwani zostaliśmy do apartamentów starosty*, nie oznaczając przez kogo, lecz wyraźnie twierdzi, że nie przez Śladkowskiego.

Trzeci w zeznaniu swem mówi, *a kiedy późno w noc niektórzy z naszych kolegów posnęli upojeni miodem i wódką, starosta oznajmił nam, w jakim celu nas zebrał u siebie,* co zdaje się oznaczać, że w tem samem miejscu, gdzie biesiadowali.

Widzisz, drogi ojcze, czy w tych trzech protokółach nie dają się spostrzegać wyraźne sprzeczności, czy zaprzeczenia wszystkich sług Śladkowskiego nie utwierdzają podejrzenia; przecież trudno, aby zdołał ukryć przed nimi, co się działo w pośród nich samych. Proszę cię na Boga, rozważ tylko te kwestye, to oszustwo tak jasne, wikłania się świadków podstawionych tak wyraźne, racz polecić, aby rozłączono natychmiast uwięzionych świadków, a potem zapytaj każdego po szczególe.

Gdzie odebrali zwierzenie Śladkowskiego, w koszarach czy w jego komnatach, niech z drobnostkami opiszą salę, jej położenie i osoby obecne.

Kto wzywał ich z komnaty biesiadniczej, czy sam starosta, czy który z jego sług i jak się nazywał.

Jeżeli we wszystkiem się zgodzą, uwierzę, że Śladkowski winien.

Koniecpolski, pogrążony w myślach, podniósł nareszcie głowę, na jego obliczu jaśniała zorza tryumfu, z zapałem uchwycił rękę syna.

— Jędrzeju, masz słuszność! Sam zaczynam spostrzegać w tem jakieś sprzeczności. Bóg natchnął cię tą zbawienną przezornością, niewinny mógłby cierpieć, potrzeba z całą ścisłością przekonać się o jego występku, sam będę obecny przy badaniu, a dojdziemy prawdy mimo chytrości tej piekielnej intrygi.

Koniec tomu pierwszego.

Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Mikulskiego Wrocław

Dolnośląska Biblioteka Publiczna we Wrocławiu

100275324